

Grób z niespodzianką

Charlaine Harris

Książka II z Harper Connelly



calibre 0.9.27

HARRIS CHARLAINE

Grób z niespodzianką

Grave Surprise

Tłumaczyła: Dominika Schimscheiner

Książkę tę dedykuję niewielkiemu ułamkowi amerykańskiej populacji – ludziom, którzy przeżyli porażenie piorunem. Drodzy członkowie tego niewielkiego, wyjątkowego klubiku, część z Was przez resztę życia usiłuje przekonać lekarzy, że niezliczone dolegliwości, jakie dręczą Was w następstwie tego zdarzenia, nie są czczym wymysłem. Inni starają się po prostu żyć dalej, choć każdego z Was doświadczenie to w jakiś sposób odmieniło. Życzę Wam wszystkim, abyście uwolnili się od bólu i lęku. Dziękuję także, że zechcieliście podzielić się ze mną swoimi przeżyciami.

Wiele osób służyło mi informacjami podczas pisania tej książki, a choć może nie wykorzystałam tej wiedzy w należyty sposób, chciałabym podziękować wszystkim za dobrą wolę oraz czas, jaki mi poświęcili. Największe wyrazy wdzięczności należą się mojej przyjaciółce, Trevie Jackson, która pomogła mi w dopracowaniu szczegółów tej oraz innych powieści. Także jej córce, która od czasu do czasu dorzucała coś od siebie. Koledze po fachu, Robinowi Burcellowi za wsparcie – nie tylko dał mi wskazówki co do policyjnych procedur, ale także przedstawił agentowi FBI, George'owi Fongowi, który nie przypomina tego opisanego przeze mnie w książce. Mojemu przyjacielowi ze studiów, Edowi Uthmanowi, który dostarczył mi zabawnych wspomnień o czasach, gdy studiował w Memphis. Julii Wray Herman i Rochelle Kirch za to, że tak subtelnie prostowały moje błędne wyobrażenia o judaizmie. Wszystkim Wam bardzo dziękuję za pomoc.

Clyde Nunley nie podobał mi się od pierwszego wejrzenia. Nie chodziło o jego powierzchowność. Błękitne dżinsy, ciężkie buty, bezkształtny kapelusz, flanelowa koszula i puchowy bezrękawnik były strojem odpowiednim na łagodną zimę południowego Tennessee, a tym bardziej na okazję, jaka sprowadzała nas na stary cmentarz. Nie odpowiadało mi zachowanie doktora Nunleya. Traktował mnie w lekceważący, przesadnie grzeczny sposób, którym dawał do zrozumienia, że uważa mnie za hochsztaplerkę i zaprosił w charakterze obiektu drwin.

Podał mi rękę, lustrując przez chwilę twarz moją i mego brata. Najwyraźniej miał niezłą uciechę, każąc nam czekać na dalsze instrukcje. Doktor Clyde był wykładowcą w Instytucie Antropologii na uczelni Bingham oraz inicjatorem zajęć pod nazwą „Otwarty umysł – myślenie nieszablonowe”. Oczywiście, dostrzegłam ironię.

– W zeszłym tygodniu zaprosiliśmy medium – zakomunikował.

– Na lunch? – spytałam i zostałam nagrodzona chmurnym spojrzeniem. Zerknęłam na Tollivera. Zmrużył lekko oczy, dając mi do zrozumienia, że cała sytuacja go bawi, ale i upominając, żebym była miła. Gdyby nie obecność tego bubkowatego doktora, nie ukrywałabym niecierpliwości. Odetchnęłam głęboko, spoglądając ponad ramieniem Nunleya na podniszczone, omszałe nagrobki. Lubiłam takie miejsca. Cmentarz był stary jak na amerykańskie warunki. Rosnące tu drzewa miały pewnie po jakieś dwieście lat. W czasach, gdy na dziedzińcu kościoła św. Małgorzaty chowano zmarłych, niektóre z nich były prawdopodobnie siewkami. Teraz rozłożyste korony zwieńczające grube, wysokie pnie, dawały latem mnóstwo zbawienego cienia. Ale jesień ogołociła gałęzie, a pożółkłą trawę pokrywały opadłe liście. Listopadowe niebo miało barwę chłodnej, ołowianej szarości, budzącej w sercu smutek.

Pewnie byłabym tak samo przygaszona jak reszta zebranych, gdyby nie podniecenie tym, co miało niedługo nastąpić. Stele, które jeszcze stały prosto, były rozmieszczone dość chaotycznie, i różniły się rodzajem kamienia, z którego zostały wykonane. W ziemi pod nimi czekali na mnie zmarli. Nie padało od tygodnia czy dwóch, więc zamiast ciężkich butów włożyłam adidasy. Nawiązałabym lepszy kontakt, gdybym je zdjęła, ale doktor i studenci poczytaliby to za kolejny dowód mojego ekscentryzmu. Poza tym było trochę za zimno na chodzenie boso.

Podopieczni Nunleya przybyli na cmentarz, by obserwować moją „demonstrację”. Właśnie dla nich miałam ją robić. W tej dwudziestoosobowej grupie dwoje uczestników odstawało wiekiem. Kobieta o szczerzej twarzy, mniej więcej czterdziestoletnia, przyglądała mi się z zaciekawieniem. Mogłabym się założyć, że przyjechała tu minivanem. Staromodny samochód stał pośród innych, zaparkowanych przy połączonych łańcuchem białych słupkach, odgradzających wyżwirowany plac od kościelnego trawnika. Drugi nietypowy student, mężczyzna po trzydziestce, miał na sobie sztruksy

i melanzowy sweter. Przybył zapewne błyszczącym pikapem Colorado. Stara toyota stanowiła przypuszczalnie własność Clyde'a Nunleya. Pozostałe cztery małe poobijane auta należały pewnie do jakichś studentów z gromadki. Choć kościół znajdował się na terenach kampusu, od budynków uczelni dzieliła go spora przestrzeń, na której usytuowano korty tenisowe, niewielki stadion oraz boisko. Nic dziwnego więc, że ten, kto miał taką możliwość, wołał przyjechać niż iść piechotą, szczególnie w tak chłodny dzień. Poza tamtą dwójką, reszta studentów była w typowym wieku akademickim – mieli od osiemnastu do dwudziestu jeden lat. Uświadomiwszy sobie, że są niewiele młodszy ode mnie, poczułam się trochę dziwnie. Ich „umundurowanie” składało się z niebieskich dżinsów, ocieplanych kurtek oraz sportowego obuwia – ja i Tolliver byliśmy podobnie ubrani. Tolliverowi, przy czarnych włosach, zawsze pasowały intensywne kolory, a kupiona w Lands End czerwona kurtka z niebieskimi wykończeniami dobrze chroniła przed listopadowym chłodem. Ja miałam na sobie błękitną z podpinką. Była miękka, miła i lubiłam ją nosić, tym bardziej że dostałam ją od Tollivera.

Ludzie byli barwnymi plamami na tle panującej wokół szarzyzny. Drzewa otaczające wiekową kaplicę, dziedziniec oraz przykościelny cmentarz dawały poczucie odosobnienia, jakbyśmy byli rozbitkami na krańcu kampusu. – Panno Connelly, nie możemy doczekać się pokazu pani umiejętności – powiedział doktor Nunley, niemalże śmiejąc mi się w twarz. Uczynił szeroki gest w stronę nagrobków. Wbrew temu, co mówił, studenci wyglądali raczej na zmarzniętych, znudzonych i niezbyt zaciekawionych. Zastanawiałam się, kto był tym zaproszonym wcześniej medium. Niewielu posiadało prawdziwy dar.

Ponownie rzuciłam okiem na Tollivera. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu na widok jego miny. Miał wypisane na twarzy „pieprzyć go”. Wszyscy studenci trzymali podkładki do pisania z przypiętymi klipsami planami cmentarza, na których dokładnie zaznaczono i opisano poszczególne kwatery. Choć tej informacji ich notatki nie zawierały, wiedziałam, że istnieje szczegółowy rejestr pogrzebów; ewidencja, gdzie zapisywano również przyczyny zgonu każdej pochowanej na tym cmentarzu osoby. Pastor prowadził go przez czterdzieści lat pracy w parafii, przejąwszy zwyczaj swojego poprzednika. Ale doktor Nunley zapewnił mnie, że ostatni zapis pochodzi sprzed pół wieku i od tamtej pory nikogo tu nie pochowano. Na pudło z księgami metrykalnymi natrafiono przed trzema miesiącami w zapomnianym magazynie biblioteki uczelnianej. Nie było więc możliwości, żebym знаła ich treść. Doktor Nunley, który zorganizował zajęcia z parapsychologii, gdzieś o mnie usłyszał. Nie powiedział dokładnie w jakich okolicznościach moje nazwisko obito mu się o uszy, co wcale mnie nie zaskoczyło. Istnieją strony internetowe podlinkowane do innych, na których znajdują się linki do kolejnych, a w pewnych wąskich kręgach jestem bardzo znana.

Nunleyowi wydawało się, że robi mi przysługę, umożliwiając prezentację dla kursantów „Otwartego umysłu”. Przyjmował, że uważam się za jakąś mistyczkę albo wikanę. Co, oczywiście, było bzdurą.

To, co robię, nie ma nic wspólnego z okultyzmem. Nie modłę się do żadnych bogów przed nawiązaniem kontaktu ze zmarłym. Owszem, wierzę w Boga, ale nie poczytuję moich zdolności za

dar niebios.

Mój specyficzny talent pojawił się po porażeniu piorunem. Tylko ktoś, kto postrzega zjawiska natury jako wynik działań boskich, może uznawać, że otrzymałam go od Niego.

Miałam piętnaście lat, kiedy przez otwarte okno łazienkowe wpadł piorun, który mnie poraził.

Mężem mojej matki był wtedy ojciec Tollivera, Matt Lang, z którym miała jeszcze dwójkę dzieci, Gracie oraz Mariellę. Poza tą nową, zreorganizowaną komórką społeczną w naszej klitce czynszowej tłoczyła się także czwórka dzieci z pierwszych małżeństw – ja i moja siostra Cameron, Tolliver oraz jego o siedem lat starszy brat, Mark. Nie pamiętam, jak długo mieszkał z nami Mark. W każdym razie tamtego wieczoru nie było go z nami. To Tolliver reanimował mnie do czasu przyjazdu karetki. Ojczym zrobił Cameron piekło za wezwanie pogotowia. Oczywiście nie posiadaliśmy ubezpieczenia, więc musiał zapłacić. I to sporo. Lekarz, który chciał mnie zabrać na obserwację, został wyśmiany. Nigdy więcej go nie widziałam, podobnie jak żadnego innej osoby, które przeżyły podobny wypadek dowiedziałam się, że medycy i tak by mi nie pomogli. Wyzdrowiałam niemal całkowicie. Niemał. Po tamtym wydarzeniu na klatce piersiowej oraz prawej nodze pozostał mi czerwony ślad w kształcie pajęczyny. Ta noga jest słabsza, często mi dokucza. Czasem drżą mi ręce i miewam silne bóle głowy. Dręczą mnie też różne lęki. I potrafię odnajdywać ciała zmarłych.

Wykładowcę interesowało to ostatnie. Posiadał opis przyczyn śmierci niemal każdej osoby pochowanej na cmentarzu. Do tego wykazu ja rzecz jasna nie miałam dostępu. W ten sposób mógł przeprowadzić swój eksperyment – idealny test, który miał zdemaskować mnie jako oszustkę. Z butną miną powiódł naszą małą grupkę przez zdezelowaną, żelazną furtkę na cmentarz.

– Gdzie mam zacząć? – zapytałam grzecznie. Rodzice, zanim zaczęli brać narkotyki, dobrze mnie wychowali. Clyde Nunley uśmiechnął się znacząco do studentów.

– No, niech będzie tu. – Wskazał grób po prawej stronie. Kopczyka nie było na nim prawdopodobnie już od jakichś stu kilkudziesięciu lat, a napisu na płycie nie dało się odcyfrować, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Może mogłabym go odczytać, gdybym się pochyliła i przyjrzała dokładniej. Ale i tak nie chodziło o nazwisko zmarłego. Miałam określić przyczynę śmierci. Słabe brzęczenie, które słyszałam w głowie odkąd znalazłam się w okolicach cmentarza, wzmogło się, gdy stanęłam na mogile. Drgania powietrza odbierałam jeszcze zanim przekroczyłam zardzewiałą furtkę. Teraz stały się intensywniejsze, wyczuwałam je tuż pod skórą. Zupełnie tak, jakbym zbliżała się do ula.

Przymknęłam oczy, żeby lepiej się skoncentrować. Kości leżały dokładnie pode mną. Czekają. Sięgnęłam moim szóstym zmysłem w głąb ziemi pod stopami. Ogarnęło mnie swojskie uczucie, gdy informacje zaczęły napływać, wypełniając mnie wiedzą.

– Przewrócił się na niego wóz – powiedziałam. – Miał około trzydziestki. Ephraim? Jakoś

podobnie? Zmiażdżyło mu nogi, doznał szoku i się wykrwawił.

Przez dłuższą chwilę wszyscy milczeli. Uniosłam powieki. Doktorek już się nie uśmiechał. Studenci z zapalem robili notatki. Jedna z dziewcząt wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczyma.

– No dobrze. – Pogardliwa ironia Nunleya gdzieś się ulotniła. – Spróbujmy z następnym.

Ha, mam cię, pomyślałam.

Kolejna mogiła należała do żony Ephraima. Nie powiedziały mi tego szczątki. Tożsamość kobiety wydedukowałam z podobieństwa sąsiadujących ze sobą kamieni nagrobnych.

– Izabela – rzekłam bez wahania. – Izabela. Zmarła przy porodzie. – Mimowolnie musnęłam dłonią brzuch. Izabela musiała być w ciąży, kiedy jej mąż uległ wypadkowi. Cholerny pech. – Chwileczkę... – Skupiłam się, żeby wychwycić i odczytać słabe echo dochodzące spod ciała Izabeli. Miałam gdzieś, co sobie o mnie pomyślą. Zzułam buty, ale ze względu na ziąb zostałam w skarpetkach. – Jest tam też jej dziecko. Biedne maleństwo – dodałam cicho. Nie cierpiało, umierając.

Znowu otworzyłam oczy. Grupa obserwatorów ścieśniła się, jednocześnie odsuwając ode mnie.

– Który teraz? – zapytałam.

Clyde Nunley zacisnął usta i wskazał na grób tak stary, że niegdyś biała, marmurowa stela leżała w trawie pęknięta na pół.

Tolliver położył mi dłoń na plecach i razem podeszliśmy do mogiły.

– Powinien się chyba odsunąć – zaprotestował jeden ze studentów. – Co, jeśli jakoś przekazuje jej informacje?

Głos należał do trzydziestolatka w swetrze. Mężczyzna miał brązowe włosy z kilkoma pasemkami siwizny, szczupłą twarz i szerokie barki pływaka. Nie powiedział tego tonem zarzutu, raczej rzeczowej uwagi.

– Racja, Rick. Panie Lang, może pan stanąć tak, żeby panna Connelly pana nie widziała?

Poczułam lekkie ukłucie irytacji, ale skinęłam głową, dając Tolliverowi znak, żeby odszedł dalej. Wrócił na parking i oparł się o nasz samochód. W tej samej chwili na placyk wjechało jeszcze jedno auto, a właściwie rżech – poobijany i podrapany, choć czysty. Wsiadł z niego chłopak z aparatem fotograficznym.

– Cześć wszystkim! – zawołał. Kilkoro studentów mu pomachało. – Przepraszam za spóźnienie.

– To Clark – przedstawił mi go doktor. – Zapomniałem pani powiedzieć, że gazetka studencka chce zamieścić kilka zdjęć z pokazu.

Nie wierzyłam, że zapomniał. Po prostu nie interesowało go uzyskanie mojej zgody.

Namyślałam się przez chwilę. Właściwie nie miałam nic przeciwko temu. Owszem, korciło mnie, żeby posprzeczać się z Nunleyem, ale nie o taką bzdurę. Wzruszyłam ramionami.

– Nie ma sprawy – rzuciłam. Weszłam na grób, całą uwagę skupiając na tym, co znajdowało się pode mną. Zadanie okazało się trudniejsze niż poprzednie. Ciało leżało tu od bardzo dawna – trumna rozpadła się, a kości rozsypały. Nie zdawałam sobie sprawy, że kręcę głową, drży mi ręka, a mięśnie twarzy kurczą się i rozkurczają.

– Nerki – oznajmiłam. – Coś z nerkami. – Ból w plecach stał się prawie nie do wytrzymania, a potem nagle zniknął. Odetchnęłam. Otwierając oczy, zwalczyłam chęć zerknięcia na brata.

Jedna ze studentek zbladła jak ściana. Musiałam ją nieźle wystraszyć. Uśmiechnęłam się do niej uspokajająco, ale chyba nic nie wskórałam, bo cofnęła się jeszcze dalej. Westchnęłam, wracając do pracy. W ciągu następnych minut zdiagnozowałam kobietę zmarłą na zapalenie płuc, dziecko z infekcją wyrostka, niemowlę z wrodzoną wadą serca i kolejne, z chorobą hemolityczną – prawdopodobnie drugie dziecko pary z konfliktem serologicznym – a także jedenasto – lub dwunastolatka, który nie przeżył jakiejś choroby zakaźnej, możliwe, że szkarlatyny. Przez cały czas słyszałam pstrykanie aparatu, ale mnie to nie rozpraszało. Nie troszczy się o to, jak wyglądam podczas pracy.

Cały pokaz trwał pół godziny, może trochę dłużej, a z każdą trafnie określoną przyczyną zgonu Nunley wydawał się nabierać przekonania co do moich umiejętności. W końcu wskazał grób w najdalszym narożniku cmentarza.

Mogiła znajdowała się tuż przy ogrodzeniu, które w tym miejscu przewróciło się zupełnie. Nagrobek częściowo przesłaniały zwisające gałęzie zimozielonego dębu wirginijskiego, a w zakątku panował półmrok.

Poznawanie pisałam dziwny odczyt. Zmarszczyłam brwi i otworzyłam oczy.

– Dziewczyna – powiedziałam.

– Ha! – Nunley uznał, że to jego szansa na rehabilitację. Był tak szczęśliwy, mogąc wykazać swoją rację, że aż tryskał złośliwą satysfakcją. – A właśnie, że nie! – uradował się Pan Otwarty Umysł.

– Jestem tego pewna – rzekłam, ale raczej do siebie niż do niego czy studentów. Zaprzętała mnie tkwiąca pod ziemią zagadka. Usiłowałam ją rozwikłać.

Zdjęłam skarpetki, a stopy niemal od razu skostniały mi z zimna. Przystąpiłam w inne miejsce przy steli, żeby na świeżo odebrać przekaz. Mimo czyichś wysiłków, żeby wyrównać powierzchnię, od razu zauważyłam ślady łopaty. Ktoś niedawno rozkopywał ten grób.

A to co? Przez chwilę stałam bez ruchu, starając się zrozumieć sens odczytu. Tknęło mnie złe przeczucie. Coś złowrogiego czaiło się tuż na granicy świadomości – jakieś nieszczęście, które czyha tuż za drzwiami, gotowe w każdej chwili wyskoczyć zza nich z krzykiem.

Młodszy studenci szeptali między sobą, a dwójka starszych prowadziła przyciszoną rozmowę. Cofnęłam się, chcąc zobaczyć inskrypcję. Ś. P. JOSIAH POUNDSTONE, 1839-1858, UKOCHANY BRAT, POKÓJ JEGO DUSZY. Ani słowa o żonie, innym pochówku, czy...

No dobrze, ziemia została poruszona, więc może ciało spoczywające w grobie obok jakoś się przesunęło.

Ponownie wstąpiłam na mogiłę i kucnęłam. Jak z daleka słyszałam pstrykanie aparatu, ale nie miało to dla mnie znaczenia. Przyłożyłam dłoń do pożółkłej trawy. Nie mogłam uzyskać większej łączności, chyba że położyłabym się na grobie. Spojrzałam w stronę Tollivera.

– Coś tu nie gra – powiedziałam na tyle głośno, żeby usłyszał. Ruszył w moją stronę.

– Jakiś problem, panno Connelly? – zapytał Nunley z przekazem. Ten człowiek uwielbiał mieć rację.

– Owszem. – Zeszłam z grobu, wyrzuciłam z umysłu poprzednio zebrane informacje i znowu spróbowałam. Stałam nad ciałem Josiaha Poundstone'a i dotknęłam ręką ziemi. To samo.

– Tu leżą dwa ciała, nie jedno – stwierdziłam. Oczywiście, Nunley próbował znaleźć jakieś wytłumaczenie.

– Pewnie trumna z grobu obok się rozpadła albo coś w tym stylu – oświadczył zniecierpliwiony.

– Nie, zwłoki, które leżą niżej, pochowano w trumnie. – Wzięłam głęboki oddech. – Te na wierzchu pogrzebano bez niej. I to niedawno. Widać ślady. Ktoś rozkopywał ten grób. Studenci ucichli, zaciekawieni. Doktor Nunley zerknął w papiery.

– Kogo pani tam... widzi?

– Ten poniżej to... – Zamknęłam oczy, próbując sięgnąć umysłem wskroś szczątków znajdujących się bliżej powierzchni. Pierwszy raz robiłam coś takiego. – To młody mężczyzna, Josiah. Odniósł ranę, wdało się zakażenie, zmarł w wyniku posocznicy. – Po minie Nunleya widziałam, że mam rację. Choć ksiądz nie wpisał dokładnej przyczyny śmierci Josiaha, współczesna nauka potrafiła rozpoznać symptomy. Ale duchowny mógł nie wiedzieć, że rana została zadana nożem, w bójce. Widziałam, jak nóż zatapia się w ciele. Czułam, jak mężczyzna tamuje krwotok. Jednak to infekcja go zabiła, nie rana.

– Drugie ciało, znacznie świeższe, to dziewczynka. Wszyscy umilkli. Słyszałam tylko odgłosy samochodów przejeżdżających pobliską drogą.

– Kiedy zmarła? – zapytał Tolliver.

– Najwyżej dwa lata temu. – Pokręciłam głową, starając się uzyskać lepszy kontakt. Nie „widzę” wieku kości, takie rzeczy oceniam po intensywności wibracji. Nigdy nie twierdziłam, że to naukowa metoda. Ale nie mylę się.

– O Boże – wyszeptała jakaś studentka, do której właśnie dotarł sens moich słów.

– Została zamordowana – ciągnęłam. – Nazywała się... Tabita. – Gdy usłyszałam własny głos, z całą mocą ogarnęło mnie przeczucie nieszczęścia. Upiór z przeszłości wyskoczył zza drzwi, krzycząc mi w twarz. Mój brat wystartował, pokonując dzielącą nas przestrzeń niczym rozgrywający, który jest tuż obok pola punktowego. Zatrzymał się przy grobie, ale na tyle blisko, by chwycić mnie za rękę. Napotkałam jego wzrok. Był równie wstrząśnięty jak ja, – Nie mów tylko, że... – zaczął, patrząc mi w oczy.

– Tak – potwierdziłam to, czego pewnie sam się domyślił. – W końcu odnaleźliśmy Tabitę Morgenstern. Studenci spojrzeli po sobie pytająco.

– Ma pani na myśli... tę dziewczynkę porwaną w Nashville? – odezwał się po chwili Nunley.

– Owszem. Dokładnie ją.

W grobie kryły się ciała dwóch ofiar mordu. Jedno zabójstwo miało miejsce w minionej epoce, drugie współcześnie. Zakłócenia w odbiorze wizji od starszych zwłok spowodował szok towarzyszący odnalezieniu Tabity. Odrzuciłam połączenie z Josiahem Poundstone'em, odkładając jego przypadek na później. Nikt z obecnych na cmentarzu św. Małgorzaty nie był zainteresowany zbrodnią sprzed wieków.

– Musi pani złożyć wyjaśnienia – powiedział śledczy. Delikatnie to ujął. Znajdowaliśmy się w biurze wydziału zabójstw. Obite wykładziną przepierzenia, dzwoniące telefony i flaga na ścianie kojarzyły się bardziej z wnętrzami centrali jakiegoś kwitnącego przedsiębiorstwa niż z siedzibą policji.

Zdarza mi się zemdleć, gdy odnajdę zwłoki osoby, która zginęła gwałtowną śmiercią. Żałowałam, że tym razem tak się nie stało. Byłam aż zanadto świadoma niedowierzania i oburzenia widocznego na twarzach obecnych funkcjonariuszy.

Początkowy sceptycyzm i gniew dwóch mundurowych, którzy pojawili się na cmentarzu, były całkowicie zrozumiałe. Nie mieściło im się w głowie, że ktoś żąda otwarcia wiekowego grobu, opierając się na słowie wariatki utrzymującej się z naciągactwa.

Jednak w miarę jak Clyde Nunley wyluszczał sprawę, ich niepokój narastał. Po dokładnych oględzinach mogiły i porównaniu jej powierzchni z sąsiednimi, potężny czarny gliniarz wezwał w końcu ekipę śledczych. Cały proces udzielania wyjaśnień rozpoczął się od nowa. Wszystko to trwało bardzo długo. Czekaliśmy z Tolliverem oparci o samochód, coraz bardziej zziębnięci i znużeni powtarzającymi się ciągle pytaniami. Wszyscy byli na nas wściekli. Wszyscy uważali nas za oszustów. Za każdym razem, gdy policjanci reagowali rozbawieniem, doktor Nunley bronił się coraz zajadlej i głośniejsze. Tak, to on zorganizował zajęcia, na których studenci spotykają się z osobami twierdzącymi, że potrafią komunikować się ze zmarłymi – łowcami duchów, mediami, jasnowidzami, tarocistami i innymi zajmującymi się parapsychologią oraz okultyzmem. Tak, rodzice naprawdę wysyłają swoje dzieci na studia, żeby te uczyły się takich rzeczy i słono za tę naukę płacą. Tak, rejestry cmentarne były trzymane w bezpiecznym miejscu i Harper Connelly nie miała szans poznać ich treści. Tak, gdy odkryto pudło z księgami metrykalnymi, było ono zabezpieczone. Nie, ani pani Connelly, ani pan Lang nie studiowali nigdy na tej uczelni.

(Nie mogliśmy powstrzymać uśmiechu, słysząc to zapewnienie). Nie zdziwiło nas „zaproszenie” na posterunek. Na miejscu po raz setny odpowiedzieliśmy na te same pytania, aż wreszcie porzucono nas na pastwę losu w pokoju przesłuchań. Z kosza na śmieci kipiały opakowania po batonach oraz styropianowe kubki po kawie, a ściany aż prosiły się o odnowienie. Jedna z metalowych nóg krzesła, na którym siedziałam, była wykrzywiona. Ktoś kiedyś musiał nim rzucić. Ale przynajmniej było

ciepło. Na cmentarzu przemarzałam do szpiku kości.

– Myślisz, że źle będzie wyglądało, jak sobie coś poczytam? – zapytał Tolliver. Mój dwudziestosiedmioletni przybrany brat co jakiś czas zapuszczał włosy, chodził z długimi, po czym całkowicie je ścinał. Aktualnie był w tej pierwszej fazie – czarne kosmyki związał z tyłu w krótki kucyk. Tolliver ma wąsy, a jego cerę znaczą wyraźne blizny po trądziku. Regularnie uprawia jogging, zresztą ja także. Oboje spędzamy dużo czasu za kółkiem, więc staramy się zrekompensować sobie ten brak ruchu.

– Owszem, wyjdzie na to, że jesteś bezduszny – odparłam. Popatrzył na mnie spode łba. – Pytałeś, to odpowiadam – skwitowałam, wzruszając ramionami. Przez chwilę siedzieliśmy w ponurym milczeniu.

– Ciekawe, czy znów będziemy musieli się spotkać z Morgensternami – zastanowiłam się głośno.

– Wiesz dobrze, że tak. Założę się, że już ich powiadomili. Pewnie są właśnie w drodze z Nashville.

Rozległ się dzwonek komórki Tollivera. Na jego twarzy odmalował się wyraz konsternacji, gdy odbierając, zerknął na wyświetlony numer.

– Cześć – powiedział do telefonu. – Tak, to prawda. Tak, jesteśmy w Memphis. Miałem do was zadzwonić wieczorem. Na pewno się spotkamy. Tak. Tak. W porządku, do zobaczenia.

Nie wyglądał na zachwyconego, zatrząskując klapkę. Oczywiście, byłam ciekawa, z kim rozmawiał, ale nie pytałam. Pochłaniały mnie własne kłopoty. I tak czułam się fatalnie, a myśl, że prędzej czy później będziemy zmuszeni zobaczyć się z Joelem i Dianą Morgensternami, przyprawiała mnie o dreszcze.

Kiedy uzmysłowiłam sobie, do kogo należą nadprogramowe zwłoki, ogarnęło mnie przerażenie, które całkowicie zdominowało satysfakcję z odniesionego sukcesu. Półtora roku temu zawiodłam Morgensternów. Mimo usilnych starań nie potrafiłam zlokalizować ciała ich córki. Teraz w końcu wykonałam zadanie, ale było to gorzkie zwycięstwo.

– Jak zginęła? – spytał Tolliver cicho. Nigdy nie wiadomo, kto słucha, szczególnie na posterunku policji. Zaliczaliśmy się do podejrzanych typów.

– Uduszenie – odrzekłam. – Niebieską poduszką – dodałam, gdy Tolliver milczał.

Widzieliśmy całe mnóstwo zdjęć Tabity – w wiadomościach, na ścianach jej pokoju, w rękach jej bliskich, na ulotkach, które nam dali. Była przeciętną jedenastolatką – przeciętną dla wszystkich,

prócz swoich rodziców. Miała duże, brązowe oczy, aparat na zębach i nadal dziecięcą figurę. Lubiła WF i plastykę; nie zносиła ścielić łóżka i wynosić śmieci. Pamiętam to wszystko z rozmów z Morgensternami – a raczej ich monologów. Joel i Diana prawdopodobnie sądzili, że jeśli poznam dobrze Tabitę, to włożę w jej odnalezienie więcej wysiłku.

– Myślisz, że została tam pochowana niedługo po zniknięciu? – odezwał się wreszcie Tolliver.

Morgensternowie wezwali mnie do Nashville wiosną zeszłego roku, miesiąc po zaginięciu córki. Policja, sprawdziwszy wszelkie możliwe miejsca, właśnie przerwała poszukiwania. FBI także odwołała większość swoich agentów. Ponieważ nikt nie skontaktował się z rodziną w sprawie okupu, zdemontowano sprzęt rejestrujący rozmowy telefoniczne. Po tak długim czasie nikt już nie spodziewał się tego typu żądań.

– Nie – odpowiedziałam. – Ziemię zruszono niedawno. Ale nie żyje chyba od tamtej pory. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Od śmierci dziecka gorsza jest tylko śmierć dziecka wcześniej torturowanego lub wykorzystanego seksualnie.

– Nie miałaś szans jej wtedy znaleźć.

– Wiem.

Jednak nie dlatego, że słabo się starałam. Morgensternowie poprosili mnie o przyjazd dopiero po wyczerpaniu wszelkich konwencjonalnych metod odnalezienia dziecka.

Tak, zawiodłam, ale naprawdę dałam z siebie wszystko. Obeszłam dom, podwórko, okolicę, posesje wszystkich uwzględnionych w bazach policyjnych osób, które mieszkały w sąsiedztwie. Czasem musiałam zakradać się tam nocą, bo właściciele nie chcieli mnie wpuścić. Narażałam się nie tylko na aresztowanie, ale także i fizyczne obrażenia. Pewnej nocy o mało nie pogryzł mnie pies.

Sprawdziłam pobliskie wysypiska, sadzawki, parki i cmentarze. W bagażniku porzuconego samochodu znalazłam przy okazji inną ofiarę zabójstwa (prezent dla miejscowej policji – byli przeszcześliwi, wciągając do ewidencji kolejne morderstwo) oraz bezdomnego z parku, zmarłego z przyczyn naturalnych. Ale nie odkryłam zwłok jedenastolatki. Pracowałam bez wytchnienia dziewięć dni, aż w końcu byłam zmuszona oznajmić Joelowi i Dianie, że nie jestem w stanie zlokalizować zwłok ich córki.

Tabita została porwana podczas ferii wiosennych z własnego podwórka w ekskluzywnej dzielnicy na przedmieściach Nashville. Ciepłego, słonecznego ranka podlewała kwiaty w donicach przy drzwiach frontowych. Gdy Diana wychodziła do sklepu, dziewczynki nie było w zasięgu wzroku. Ze

szlaucha wciąż lała się woda.

Jako córka starszego księgowego firmy obsługującej wielu piosenkarzy oraz osoby związane z przemysłem muzycznym w Nashville, Tabita cieszyła się szczęśliwym, beztróskim dzieciństwem. Choć nie była jedynaczką – pierwsza żona Joela zmarła, zostawiając mu syna – ustabilizowane życie rodzinne koncentrowało się na zapewnieniu zdrowia oraz szczęścia jej i przy okazji przyrodniemu bratu, Wiktorowi.

Dzieciństwo moje i Tollivera wyglądało zupełnie inaczej – przynajmniej od pewnego momentu. Nieszczęście zaczęło się, gdy nasi rodzice, prawnicy, zaczęli brać narkotyki i pić z klientami. Po pewnym czasie klienci przestali być klientami, stając się kumplami od igły i kieliszka. Ta podróż po równi pochyłej przywiodła mnie do punktu, w którym stojąc w łazience slumsów w Texarkanie, zostałam porażona piorunem.

Wędrówki ścieżkami wspomnień nie były dla mnie miłym spacerkiem. Prawie się ucieszyłam, kiedy śledczy Corbett Lacey wrócił, przynosząc nam obojgu kawę. Próbował metody „na dobrego glinę”. Prędzej czy później (raczej później) ktoś inny spróbuje metody „na złego”.

– Proszę mi powiedzieć, jak doszło do tego, że znaleźli się państwo dzisiaj rana na cmentarzu – zaczął Lacey. Był przysadzistym, łysiejącym blondynem o wydatnym brzuchu i rozbieganych, niebieskich oczach, które przypominały szklane kulki.

– Zostaliśmy zaproszeni przez doktora Nunleya. Miałam pokazać studentom swoje umiejętności.

– A konkretnie? – Sprawiał wrażenie osoby prostolinijnej, skłonnej uwierzyć w każdą moją odpowiedź.

– Odnajduję zmarłych.

– Podąża pani śladem nieboszczyków?

– Nie, odszukuję trupy. Pomagam zlokalizować ciała tych, którzy odeszli. – To był mój ulubiony eufemizm. Miałam ich spory zapas. – Jeżeli miejsce pochówku jest znane, potrafię określić przyczynę zgonu. Właśnie to robiłam dzisiaj na cmentarzu. – Jaka jest pani skuteczność?

Przyznaję, nie spodziewałam się tego. Wyszłam z założenia, że raczej parsknie śmiechem.

– Jeśli policja lub krewni są w stanie określić w przybliżeniu teren, na którym może znajdować się ciało, zawsze mi się udaje – odparłam rzeczowo. – Gdy już znam konkretne miejsce, potrafię określić przyczynę śmierci. W przypadku Tabity Morgenstern nie byłam w stanie tego zrobić. Dziewczynka została prawdopodobnie wciągnięta do samochodu i wywieziona, dlatego nie mogłam nawiązać

kontakty z jej ciałem.

– Jak pani to robi?

Kolejne zaskakujące pytanie.

– Wyczuwam ich wibracje – wyjaśniłam. – Im bliżej jestem zwłok, tym drgania są silniejsze. Gdy stoję dokładnie nad pochowanym człowiekiem, sięgam w głąb ziemi i mogę powiedzieć, jak zmarł. Nie jestem jasnowidzem. Ani też prekognitką czy telepatką. Nie widzę, kto ich zabił. Widzę jedynie sam moment ich śmierci i to tylko w bezpośredniej bliskości szczątków. Nie spodziewał się tak dokładnej, konkretnej odpowiedzi. Zapominając o kawie, pochylił się nad blatem, wlepiając we mnie wzrok.

– I ludzie w to wierzą? – zapytał sceptycznie. – Mam wyniki.

– Nie sądzi pani, że to dziwny zbieg okoliczności? Morgensternowie poprosili panią o pomoc w odnalezieniu córki, a teraz, kilka miesięcy później, twierdzi pani, że odnalazła ją w innym mieście? Wyobraża pani sobie, jak ci biedacy będą się czuli, gdy rozkopujemy grób i to wszystko okaże się bzdurą? Powinna się pani wstydzić. – Śledczy spojrzał na mnie z głęboką niechęcią.

– To nie są bzdury. – Wzruszyłam ramionami. – I nie mam się czego wstydzić. Ona tam jest. – Zerknęłam na zegarek. – Powinni już tu dojechać. Zadzwoiła komórka Lacey. Policjant szybko odebrał.

– Tak? – W miarę jak słuchał, na jego twarzy zachodziły zmiany. Wyglądał teraz dużo starzej i już nie tak łagodnie. Nieraz ludzie patrzyli na mnie tak, jak on teraz – z mieszanina odrazy, strachu, ale jakby i mniejszym niedowierzaniem.

– Odkopali plastikowy worek ze szczątkami – oznajmił poważnie. – Są zbyt małe jak na dorosłego. Bardzo starałam się zachować obojętną minę.

– Niecałe pół metra niżej znajdują się resztki drewna. Prawdopodobnie trumny, więc mogą jeszcze trafić na inne kości – westchnął ciężko. – Ślady wskazują, że ciało z worka pogrzebano bez trumny.

Skinęłam głową. Tolliver ścisnął moją rękę. – Jeśli to dziecko Morgensternów, za kilka godzin będziemy mieć wyniki wstępnej identyfikacji. Przefaksowano nam już jej kartę dentystyczną. Oczywiście, ostateczne potwierdzenie będzie możliwe dopiero po sekcji zwłok. Cóż... tego, co z nich zostało. – Lacey z głośnym stuknięciem odstawił swój ceramiczny kubek na wysłużony stolik. – Policja z Nashville wysłała nam samochodem jej prześwietlenia ze szpitala. Dotrą tu za kilka godzin. Agent FBI, który ma być obecny przy autopsji, jest już w drodze. Federalni zaoferowali, że zbadają ślady w swoich laboratoriach. A jeśli chodzi o was, to nikomu ani słowa zanim nie porozmawiamy z

rodziną, zrozumiano? Ponownie kiwnęłam głową.

– W porządku. – Tolliver odezwał się po to, by przerwać ciszę. Corbett Lacey zgromił nas wzrokiem.

– Dzwoniliśmy do jej rodziców i nawet nie chcę myśleć, jak będą się czuli, jeśli okaże się, że to pomyłka. Gdyby pani nie powiedziała na głos jej nazwiska przy wszystkich studentach, nie musielibyśmy informować Morgensternów, zanim to wszystko się nie potwierdzi. Ale wygląda na to, że niedługo zaczną o tym trąbić w telewizji.

– Przykro mi. Nie myślałam o tym wtedy. – Miał rację. Powinnam była trzymać język za zębami – Dlaczego w ogóle pani to robi? – zapytał zdziwiony, jakby naprawdę się nad tym zastanawiał. Nie wierzyłam w szczerłość jego zainteresowania, ale nie zamierzałam go okłamywać.

– Bo lepiej wiedzieć. Dlatego.

– I przy okazji nieźle zarobić – zauważył.

– Muszę z czegoś żyć, jak każdy. – Nie zamierzałam mieć wyrzutów sumienia, że biorę za swoje usługi pieniądze. Jednak prawdę powiedziawszy, żałowałam czasem, że nie pracuję w sklepie lub kawiarni, zostawiwszy zmarłych w nieodkrytych mogiłach.

– Joel i Diana wystartowali pewnie od razu – wtrącił Tolliver. Byłam mu wdzięczna za zmianę tematu. – Ile potrwa zanim tu dotrą? Lacey najwyraźniej nie zrozumiał pytania.

– Morgensternowie – wyjaśniłam. – De się jedzie z Nashville do Memphis? Popatrzył na nas dziwnie.

– To jakiś żart? Przecież wiecie. Dobra. Teraz ja nie miałam pojęcia, o co mu chodzi.

– Wiemy...? – Spojrzałam na brata, ale wzruszył ramionami, zdziwiony podobnie jak ja. Nagle przemknęło mi przez głowę możliwe wyjaśnienie. – Niech pan nie mówi, że nie żyją! – Lubiłam ich, a nieczęsto się zdarzało, żebym darzyła klientów bardziej osobistymi uczuciami. Teraz przyszła kolej na Lacey'a.

– Naprawdę nic nie wiecie? – zdumiał się.

– Nie wiemy, o czym pan mówi – zirytował się Tolliver. – Niech pan po prostu powie.

– Wkrótce po porwaniu Morgensternowie wyprowadzili mą z Nashville – zaczął Lacey, przeczesując dłonią rzadkie włosy. – Mieszkają w Memphis. Morgenstern zarządza filią

nashvillskiego biura rachunkowego, a jego żona jest w ciąży. Pewnie nie wiedzieliście, że Morgenstern i jego poprzednia żona pochodzili z Memphis? Rodzina Diany Morgenstern mieszka za granicą, więc przenieśli się tutaj. Kobiecie jest zawsze łatwiej, gdy ma w pobliżu krewnych, którzy pomogą.

Pewnie wpatrywałam się w niego z rozdziawionymi ustami, ale w tej chwili miałam to gdzieś. Nie mogłam ogarnąć myśli. Obecność Morgensternów w mieście zmieniała postać rzeczy. Sądziłam, że nasza sytuacja jest fatalna, ale to nic w porównaniu z tym, w jakim świetle to wszystko ich stawiało. Ciało Tabity odnaleziono tu, w Memphis, gdzie niedawno się przeprowadzili. A fakt, że to ja je zlokalizowałam, tylko pogarszał całą sprawę, bo kogo jak nie mnie właśnie zatrudnili półtora roku wcześniej? Nie przychodziło mi do głowy żadne wyjaśnienie, które mogłoby oczyścić tę parę z podejrzeń o współudział w zabójstwie córki.

Śledczy chyba poprawnie zinterpretował moją reakcję. Mina Tollivera jeszcze wyraźniej zdradzała jego myśli. Lacey skinął głową, jakby niechętnie nam jednak uwierzył.

Po tych wyjaśnieniach nie miał już więcej pytań. Wypuszczono nas z posterunku. Pojechaliśmy do naszego tymczasowego lokum – przeciętnego motelu średniej klasy, który wybraliśmy, gdyż był położony blisko międzystanówki oraz niedaleko uczelni. Po drodze, nie wysiadając z auta, kupiliśmy kanapki w Wendy's. Pod motelem wzięliśmy z tylnego siedzenia przenośną lodówkę z napojami i poszliśmy na górę. W naszym pokoju na pierwszym piętrze było przyjemnie cicho i ciepło. Natychmiast opróżniłam całą butelkę coca-coli – potrzebowałam cukru po doświadczeniach na cmentarzu. Oakiś czas temu, metodą prób i błędów odkryliśmy, że cukier pomaga mi szybko zregenerować się po wysiłku, jakiego wymaga moja praca). Gdy trochę odżyłam, mogłam spokojnie zjeść kanapkę. Poczułam się zdecydowanie lepiej. Po skończonym posiłku Tolliver wstał i wyjrzał przez okno.

– Reporterzy już tu są – poinformował. – Pewnie niedługo zapukają do drzwi. Powinnam była to przewidzieć.

– Nadadzą sprawie spory rozgłos – odparłam. Sądząc po minie brata, i ja, i on mieliśmy do tego ambiwalentny stosunek.

– Może powinniśmy zadzwonić do Arta? – zasugerował Tolliver. Art Barfield, nasz adwokat, mieszkał w Atlancie.

– Dobry pomysł. Ty z nim porozmawiaj.

– Nie ma sprawy. – Tolliver wybrał numer, a ja tymczasem podeszłam do umywalki i obmyłam twarz. Słuchałam rozmowy, czesząc się przed lustrem. Miałam włosy niemal tak ciemne jak brat. – Jego sekretarka mówi, że jest w tej chwili z klientem, ale oddzwoni tak szybko, jak to możliwe – oświadczył po zakończeniu połączenia. – A za przyjazd zedrze z nas pewnie jak za woły.

Oczywiście, jeśli uda mu się wyrwać.

– Przyjedzie albo poleci nam kogoś na miejscu. Zresztą prosiliśmy go o to tylko raz, a jesteśmy jego najbardziej efektywnymi klientami – zauważyłam rozsądnie. – Jak nie przyjedzie, jesteśmy ugotowani.

Art odezwał się godzinę później. Ze słów Tollivera wywnioskowałam, że adwokat nie jest zachwycony perspektywą podróży – nie był najmłodszy i lubił wygody domowego życia. Jednak gdy usłyszał o reporterach, dał się przekonać i obiecał, że zaraz wsiądzie w samolot.

– Corinne przekaze wam informacje dotyczące przylotu. – Nawet ja słyszałam tubalny głos Art'a. Donośny głos jest niewątpliwą zaletą prawnika występującego na rozprawach.

Art uwielbiał rozgłos niemal tak bardzo, jak pilota do telewizora i kuchnię żony. Rozsmakował się w sławie odkąd został naszym prawnikiem i masowo zaczął dostawać zlecenia. Jego sekretarka, Corinne, zadzwoniła kilka minut później, podając nam numer jego lotu oraz przewidywany czas lądowania.

– Raczej nie spotkamy się z nim na lotnisku – powiadomiłam Corinne, obserwując, jak na podjazd wtacza się kolejny bus jakiejś stacji telewizyjnej. – I chyba będziemy musieli zmienić hotel na jakiś lepiej strzeżony.

– Lepiej zróbcie to państwo od razu, a ja zarezerwuję panu Barfieldowi pokój w tym samym hotelu – zaproponowała Corinne roztropnie. – Skontaktuję się z nim po przylocie. Właściwie, to sama czegoś poszukam i załatwię pokoje wam wszystkim. Jeden czy dwa dla państwa?

Hotel prawdopodobnie będzie bardzo drogi. Normalnie optowałam za jednym pokojem. Zwykle tak właśnie robiliśmy. Ale jeśli reporterzy będą niuchali, na wszelki wypadek lepiej złożyć ofiarę bogini cnoty.

– Dwa – odrzekłam. – Obok siebie. A najlepiej apartament, jeśli to możliwe.

– Poszukam czegoś i zaraz się odezwę. – Corinne rozłączyła się i po chwili zadzwoniła z informacją, że mamy rezerwację w hotelu „Cleveland”. Tym samym potwierdziła moje obawy co do kosztów przeprowadzki. W tej sytuacji jednak byłam skłonna zapłacić, żeby mieć zapewnioną prywatność. Nie uśmiechała mi się rola gorącego tematu w wiadomościach. Owszem, reklama służy interesom, ale tylko ta pozytywna.

Opuściliśmy motel z minami tak zniesmaczonymi, jak to tylko było możliwe bez narażania się na podejrzenia o udawanie. Wymknęliśmy się bocznymi drzwiami, opatuleni po czubki nosów. Musieliśmy wyglądać dość żałośnie – Tolliver z przenośną lodówką, ja z ciężkimi bagażami – bo

czatujący reporterzy zwrócili na nas uwagę dopiero wtedy, gdy ruszaliśmy z parkingu. Dziennikarka o ustach tak błyszczących, że wyglądały jak pokryte politurą, przyskoczyła do okna kierowcy, zasłaniając widoczność. Powinniśmy skręcić w lewo, a przez nią Tolliver nie mógł wykonać manewru. Chcąc nie chcąc opuścił szybę, przywołując na twarz miły uśmiech.

– Shellie Quail z kanału trzynastego – przedstawiła się kobieta. Miała skórę koloru gorącej czekolady, a jej gładkie, krótkie włosy wyglądały jak czarny, lśniący hełm. Makijaż Shellie Quail przypominał barwy wojenne – intensywne kolory i wyraziste linie. Ciekawe, ile czasu zajmują jej poranne przygotowania do wyjścia z domu. Miała na sobie obcisłe tweedowe spodnie. Pomarańczowy rzucik na brązowej tkaninie kontrastował z jej cerą. – Panie Lang, jest pan menedżerem panny Connelly, tak? – zaczęła.

– Owszem – przyznał Tolliver. Wiedziałam, że kamera jest włączona. Ale wierzyłam w brata. Potrafił być uroczy w pewnych okolicznościach, szczególnie jeśli okoliczności te łączyły się z obecnością pięknej kobiety.

– Czy mogę prosić o komentarz do dzisiejszych wydarzeń na starym cmentarzu świętej Małgorzaty?
– Podstawiła Tolliverowi pod nos mikrofon, moim zdaniem bardzo agresywnie.

– Oczywiście. Czekamy właśnie na informację, czy odnalezione zwłoki uda się zidentyfikować.

Podziwiałam jego umiejętność panowania nad głosem. Mówił spokojnie, ale poważnie, tak, by jego słowa zostały potraktowane serio.

– Czy to prawda, że policja bierze pod uwagę możliwość, iż szczątki należą do Tabity Morgenstern?

Cóż, niedługo trzeba było czekać na przeciek. – Jesteśmy myślami i modlitwą z Morgensternami. Oczywiście, tak samo jak wszyscy, z niecierpliwością czekamy na wyniki badań – odparł dyplomatycznie.

– Czy to prawda, że pańska siostra stanowczo oświadczyła, iż jest to ciało zaginionej dziewczynki? Nie zamierzali nas oszczędzać.

– Uważamy, że tak właśnie jest – rzekł wymijająco.

– Jak pan wyjaśni ten zbieg okoliczności?

– Jaki zbieg okoliczności? – Nieco przesadził z tym zdziwieniem, jak na mój gust. Shellie Quail też zbiło to nieco z tropu, ale szybko odzyskała rezon.

– Pańską siostrę zatrudniono kilka miesięcy temu do poszukiwań Tabity Morgenstern w Nashville, a następnie do wysondowania grobów na cmentarzu w Memphis. Uważa się, że to zwłoki właśnie tej dziewczynki znaleziono dzisiaj.

– Nie wiemy, jak to się stało i czekamy, aż ktoś nam to wyjaśni – oświadczył Tolliver gniewnie, dając do zrozumienia, że się nami posłużono. Dziennikarka najwyraźniej nie była na to przygotowana. Tolliver wykorzystał moment, kiedy myślała nad kolejnym pytaniem i ruszył, skręcając w lewo.

Hotel „Cleveland” był wspaniały. I naprawdę zapewniał dyskrecję. Bałam się nawet myśleć o wyciągu z konta, który przyjdzie w przyszłym miesiącu. Boy hotelowy wziął kluczyki od auta, a my wpakowaliśmy do holu objuczeni bagażami, spiesząc się, by umknąć reporterom, którzy przyjechali za nami. Obsługa potraktowała nas z taką atencją, jakbyśmy korzystali z usług hotelu co najmniej cztery razy do roku. W mgnieniu oka znaleźliśmy się na piętrze poza zasięgiem dziennikarzy. Prawie rozplakałam się ze szczęścia, że wreszcie będę mogła spokojnie pomyśleć we względnie zacisznym i bezpiecznym schronieniu.

Apartament składał się z dwóch sypialni oraz wspólnego saloniku. Weszłam od razu do pokoiku po prawej, zrzuciłam buty i padłam na wielkie łóżce, moszcząc się wśród poduszek. Właśnie to podobało mi się najbardziej w dobrych hotelach – całe masy poduszek.

Po chwili leżałam wygodnie, rozkoszując się ciszą i ciepłem. Przymknęłam powieki, pozwalając myślom swobodnie szybować. Te, oczywiście, natychmiast poszybowały ku dziewczynce, którą odnalazłam na cmentarzu. O zniknięciu Tabity przeczytałam w gazetach, na długo nim Morgensternowie mnie zatrudnili. Już wtedy przypuszczałam, że dziewczynka nie żyje. Było to logiczne założenie, oparte na informacjach podanych w środkach masowego przekazu oraz moich własnych doświadczeniach. Właściwie prawie nie wątpiłam, że jej śmierć nastąpiła w ciągu kilku godzin po zniknięciu. Nie znaczy to, że triumfowałam, gdy moja hipoteza się potwierdziła. Nie jestem obojętna wobec śmierci, a przynajmniej tak mi się wydaje. Chyba mam do niej po prostu trzeźwy stosunek. Na własne oczy widziałam cierpienie Morgensternów. Współczułam im, dlatego tak uparcie kontynuowałam poszukiwania; znacznie dłużej, niż podpowiadał mi rozsadek i wystarczająco długo, by moje zyski ze zlecenia zdecydowanie zmalały. Tolliver nie wziął od nich pełnej kwoty. Nic mi nie powiedział, ale zauważyłam to dużo później, robiąc roczne zestawienie naszych wpływów i wydatków.

Pomyślałam, że skoro Tabita nie żyła od tak dawna, dla Joela i Diany lepiej będzie, gdy dowiedzą się prawdy o okolicznościach jej śmierci. Oby policjant z dochodzeniówki był wart sympatii, którą tak łatwo go obdarzyłam. Mogłam tylko mieć nadzieję, że wiedza o tym, co przytrafiło się dziewczynce przyniesie choć odrobinę ulgi zrozpaczonej rodzicom. Przynajmniej będą pewni, że ich dziecko nie trafiło w łapska jakiegoś szaleńca i nie cierpiało przed śmiercią. Zaczęłam żałować, że nie poświęciłam zwłokom Tabity więcej czasu. Byłam tak zaskoczona odkryciem tożsamości nadprogramowego ciała, że nie zdołałam wykorzystać całej energii na poznanie ostatnich chwil jej życia. Dostrzegłam tylko niebieską poduszkę i tych kilka sekund, podczas których Tabita straciła przytomność, a potem odeszła na zawsze – jak gdyby przenosiła się z iluzji śmierci w tę prawdziwą.

Nie wierzę w to, że życie i śmierć są dwiema stronami tej samej monety. Gówno prawda. Nie zamierzam mówić, że Tabita odeszła w pokoju, aby połączyć się z Bogiem. Bóg nie przekazał mi

takich informacji. Poza tym teraz mój odbiór był jakiś inny; bardzo rzadko doświadczałam czegoś takiego. Staralam się przeanalizować tę różnicę, ale nie doszłam do żadnych konkretnych wniosków. Wiedziałam, że nie przestanie mnie to prześladować póki nie zrozumiem, o co chodzi.

Widziałam wiele śmierci, *naprawdę* wiele. Śmierć jest w moim życiu czymś tak naturalnym, jak dla innych sen czy jedzenie. Śmierć pisana jest każdemu człowiekowi. Jest nieuchronną koniecznością, samotną podróżą w nieznaną. Ale Tabita wyruszyła w tę drogę zdecydowanie za wcześnie, a jej podróży na tamtą stronę towarzyszył strach i cierpienie. Ubolewałam nad tym, w jaki sposób opuściła ten świat. Te ostatnie chwile naznaczyły ją jakoś podczas przejścia, a ja musiałam zrozumieć, dlaczego. Na razie odłożyłam rozważania na później; może pomogłaby mi jeszcze jedna wizyta na cmentarzu. Choć to mało prawdopodobne, żebym miała jeszcze kiedyś styczność z ciałem.

Obróciłam się na bok i poprawiłam poduszkę pod głową. Skierowałam myśli na szlak, którym podążały tak często, że znaczyły go już koleiny. Prowadził on do mojej siostry. Twarz Cameron pamiętałam już tylko jak przez mgłę; czasem przybierała rysy z ostatniego szkolnego zdjęcia siostry, noszonego przeze mnie w portfelu.

Tak niespodziewane okoliczności odkrycia zwłok Tabity obudziły we mnie nadzieję, że kiedyś może uda mi się znaleźć szczątki siostry. Cameron zniknęła sześć lat temu. Podobnie jak Tabita, została nagle uprowadzona ze ścieżki swojego życia. Pozostał po niej tylko plecak szkolny. Tego dnia, gdy powrót Cameron opóźniał się znacznie, wyruszyłam na poszukiwania. Ocuciłam matkę na tyle, by przynajmniej przez chwilę mogła popilnować Mariellę oraz Gracie, a potem w duchocie i upale podążyłam drogą, którą siostra wracała z liceum. Gdy wyruszyłam, zaczynało zmierzchać. Cameron została w szkole dłużej niż ja – pomagała dekorować salę na jakąś imprezę, chyba bal pożegnalny dla ostatnich klas.

Znalazłam jej plecak wyładowany książkami, zeszytami, pożyczonymi od kogoś notatkami, połamanymi ołówkami i drobniakami, Policja trzymała go u siebie bardzo długo. Przeszukali dokładnie wszystkie przegródki, kieszenie, wypyтали mnie o każdą notatkę. Potem poprosiliśmy o zwrot tych rzeczy. Do dzisiaj wozimy z Tolliverem plecak Cameron w bagażniku. Kiedy wszedł do pokoju, leżałam na łóżku, wpatrując się w sufit i wspominając siostrę.

– Po Arta pojedzie samochód z hotelu – powiedział. – Wszystko załatwiłem.

– Dzięki. – Przesunęłam się, robiąc mu miejsce obok siebie. Zdjął buty i wyciągnął się na drugiej części wielkiego materaca. Dałam mu poduszkę. A po chwili drugą.

– Myślałem o tym, co się stało rano na cmentarzu – zawiesił głos, dając mi czas na skupienie uwagi na ostatnich wydarzeniach.

– No i? – odezwałam się na znak, że jestem gotowa słuchać.

– Zauważyłaś tego gościa, tego starszego?

– Tego faceta po trzydziestce?

– Ciemne włosy, około metr osiemdziesiąt, średniej budowy ciała.

– Uhm. Oczywiście. Trudno go było nie zauważyć. Wyróżniał się.

– Było w nim coś dziwnego, nie uważasz?

– Nie tylko on odstawał wiekiem – zasugerowałam, nie, żeby zakwestionować cel pytań Tollivera, ale go wybadać.

– Tak, ale tamta babka była zupełnie zwyczajna. A w tym facecie było coś innego. Nie przyszedł tam dlatego, że musiał. Miał w tym jakiś konkretny cel. Myślisz, że jest kimś w rodzaju zawodowego demaskatora? Chciał zobaczyć, jak nam pójdzie, a potem ogłosić, że jesteśmy oszustami?

– Cóż, na pewno właśnie o to chodziło Nunleyowi. W tym celu zorganizował te zajęcia, prawda? Nie po to, by zachęcać studentów do badania spirytyzmu i traktowania serio ludzi, którzy się nim zajmują, ale żeby dowieść, że to brednie.

– Ale nie tak... Nie wiem, po prostu miałem wrażenie, że ten gość specjalnie postarał się tam być. Że chciał dzięki temu uzyskać coś konkretnego.

– Wiem o co ci chodzi.

– Myślisz, że ktoś nas wrabia?

– Owszem, jestem o tym przekonana. Inaczej byłby to najbardziej niesamowity zbieg okoliczności w historii zbiegów okoliczności.

– Ale dlaczego? – Tolliver odwrócił głowę, żeby na mnie spojrzeć. – I kto? – skontrolowałam. Jego mina odzwierciedlała mój niepokój.

Interes taki jak nasz szybko padłby bez cichej reklamy. Ale musi być ona naprawdę cicha. Ludzie powinni dowiadywać się o mnie pocztą pantoflową. Gdybym wszędzie wlokła za sobą dziennikarzy, połowa osób, jakie korzystają z moich usług, nie chciałaby mnie w ogóle widzieć. Oczywiście, znaleźliby się też i tacy, którzy byliby tym zachwyceni, ale niewielu.

Większość klientów jest zakłopotana samym faktem, że się do mnie zwracają, bo nie chcą się wydać naiwniakami. Owszem, niektórzy są na tyle zrozpaczeni, że w ogóle o tym nie myślą. Ale

bardzo niewielu z nich chciałoby narażać się na wścibstwo osób trzecich.

Jakaś wyważona informacja w prasie od czasu do czasu nigdy nie zaszkodzi. Kiedyś naprawdę dobry dziennikarz napisał o mnie do czasopisma branżowego organów ścigania – do tej pory dostaję dzięki temu zlecenia. Wielu policjantów zachowało sobie ten artykuł. Jeśli zawiodą inne sposoby, zawsze mogą skontaktować się ze mną przez stronę internetową. Moje stawki niektórych odstraszaają, ale nie jestem prawnikiem i nikt nie wymaga, żebym pracowała społecznie.

Cóż, to akurat nie do końca prawda. Zdarza się, że ktoś mnie o to prosi. Ale odmawiam.

Nigdy jednak nie zaniedbuję informowania władz o odnalezionych szczątkach. Jeśli przy okazji poszukiwań znajdę inne zwłoki, zawsze to zgłaszam i nie liczę sobie za coś takiego. Ale jeśli media zainteresują się mną za bardzo, grozi to tym, że skończę, wykonując tylko zlecenia pro bono. Musiałabym to robić, żeby nie mieć złej prasy. A nie chciałam być do tego zmuszona.

– Kto mógłby nająć kogoś takiego? Jakiś niezadowolony klient? – zapytałam sufitu.

– Od czasu zlecenia Morgensternów odnaleźliśmy wszystkich. Tak, ostatnio miałam długie pasmo sukcesów – we wszystkich przypadkach otrzymałam wystarczająco dużo pomocnych informacji i wykazałam się dostateczną wytrwałością. Ciała odnalezione, przyczyny śmierci zdiagnozowane. Pieniądze zainkasowane.

– Może jakaś inspekcja uczelniana? Chcą sprawdzić, czy nikt nie wystawia studentów na niebezpieczeństwo?

– Możliwe. Albo ktoś ze Świętej Małgorzaty, kto bał się, że cmentarz może zostać zbezczeszczone. Umilkliśmy, skonsternowani i zatroskani zbyt wieloma problemami naraz.

– I tak się cieszę, że ją znalazłam – oświadczyłam. – Mimo wszystko. Brat jak zwykle zrozumiał, co chciałam przez to powiedzieć, zupełnie jakby czytał w myślach. – Tak.

– To dobrzy ludzie.

– Nigdy nie przyszło ci do głowy to, co podejrzewała policja...?

– Nie. Nigdy nie wierzyłam, że zrobił to Joel. Teraz zawsze najpierw biorą pod lupę ojca. Czy molestował córkę? – powiedziałam tonem spikerki. – Czy w tym pozornie normalnym domu rozgrywał się dramat dziecka? – Uśmiechnęłam się krzywo. Ludzie lubili wierzyć, że takie domy kryją mroczne tajemnice – uwielbiali dowiadywać się, że szczęśliwe, kochające się rodziny wcale takimi nie są. Rzeczywiście, czasami „dobre domy” miały wiele sekretów, więcej niż trzeba, żeby zadowolić wszystkich. Ale nie wątpiłam, że Joel i Diana byli naprawdę oddanymi rodzicami, a

napatrzyłam się wystarczająco na takich, których trudno w ogóle nazwać rodzicami.

– Nigdy w to nie wierzyłam – powtórzyłam. – Ale teraz są tutaj... W Memphis.

– Popatrzyliśmy po sobie. – Jak to się mogło, do diabła, stać, że ciało dziecka zostaje odnalezione w mieście, do którego przeprowadzili się rodzice? Chyba że ma to jakiś związek. Rozległo się pukanie.

– Przybyły posiłki – stwierdził Tolliver.

– Raczej posiłek.

Art miał aparycję wielce czcigodnego, jowialnego staruszka. Mocno łysiał – czaszkę okalały mu resztki kręconych, siwych kosmyków. Pomimo znacznej tuszy świetnie się ubierał.

Traktował mnie trochę jak przybraną córkę, choć ja zupełnie nie poczuwałam się do tej roli.

– Harper! – wykrzyknął, otwierając ramiona, a gdy podeszłam, przygarnął mnie do siebie. Cofnęłam się, gdy tylko mnie puścił. Tollivera uraczył klepinięciem w ramię i uściskiem dłoni. Zapytaliśmy co u jego żony, a on zreferował pokrótce, co Joanna teraz porabia (pomijając efekty tych działań). A więc, że bierze lekcje rysunku, zajmuje się wnukami, udziela się aktywnie w kościele i kilku organizacjach charytatywnych.

Nigdy nie mieliśmy okazji poznać Joanny osobiście.

Obserwowałam, jak Art usiłuje wymyślić, o kogo mógłby zapytać nas. Na pewno nie o rodziców – moja matka zmarła w zeszłym roku w więzieniu, na AIDS. Matka Tollivera zmarła na raka piersi jeszcze zanim się poznaliśmy. Ojcu Tollivera, a mojemu ojczymowi, też niewiele brakowało odkąd wyszedł z więzienia, gdzie odsiadywał wyrok za narkotyki. Mój natomiast nadal siedział w zakładzie karnym i miał pozostać tam jeszcze pięć lat. Sprzeniewierzył pieniądze klientów, żeby mieć na narkotyki, od których uzależnili się z matką. Naszych małych siostrzyczek nie widywaliśmy wcale, ponieważ ciotka Tollivera, Iona, nastawiła je przeciwko nam. Jego brat, Mark, miał własne życie i nie bardzo podobało mu się nasze, ale dzwonił do niego przynajmniej raz w miesiącu. Cameron przepadła jak kamień w wodę.

– Miło was widzieć. Świetnie wyglądacie – rzekł Art serdecznie. – A teraz zamówmy sobie coś do pokoju i opowiecie mi, co się tu dzieje. – Art uwielbiał posiłki w naszym towarzystwie. Nie tylko dlatego, że nie musiał płacić – przy okazji zyskiwał pewność, że ja i Tolliver jesteśmy normalnymi ludźmi, a nie jakimiś tam wampirami. Koniec końców jadaliśmy i piliśmy jak inni.

– Jedzenie powinno być za minutkę – poinformował go Tolliver, a staruszek zaczął pod niebiosa

wychwalać jego zapobiegliwość.

Naprawdę poczułam się bardzo dumna, że przewidując zamówiłam coś do jedzenia.

Podczas posiłku Art notował sobie wszystko to, co zapamiętaliśmy z poprzednich poszukiwań Tabity. Tolliver sprawdził nawet w ewidencji w laptopie, ile Morgensternowie zapłacili nam za bezowocną pracę.

Zapewniliśmy także Arta, że nie zamierzamy obciążyć ich żadnymi kosztami za dzisiejsze odkrycie. Prawdę mówiąc, sama myśl o tym wydawała mi się obrzydliwa. Ale Artowi wyraźnie ulżyło.

– Może dałoby się jakoś z tego wywinąć? Nie da się czegoś zrobić, żebyśmy wyjechali, unikając spotkania z Morgensternami i policją? – spytałam, wiedząc, że wyjdę na tchórza.

– Absolutnie nie – zaprotestował Art twardo. Tak naprawdę Art był bardzo stanowczy. – Im prędzej z nimi porozmawiacie, tym lepiej. Musicie też wydać oświadczenie dla prasy.

– Po co? – zdziwił się Tolliver.

– Milczenie budzi podejrzenia. Trzeba jasno powiedzieć, że nie spodziewaliście się tego odkrycia, że jesteście zszokowani i zasmuceni oraz że modlicie się za Morgensternów.

– Mówiliśmy to już kanałowi trzynastemu.

– Musicie powiedzieć wszystkim.

– Zrobisz to za nas?

– Tak. Napiszcie tekst, a ja odczytam go przed kamerami. Odpowiem też na kilka pytań. Udzielę kilku informacji, żeby publiczność was poznała. I nic poza tym. Zbyt dużo wiadomości mogłoby zaciemnić obraz sytuacji, szczególnie że i tak nie byłbym w stanie wyjaśnić wszystkiego. Spojrzałam na Arta. Musiałam mieć dość sceptyczną minę, bo chyba poczuł się urażony.

– Przecież wiesz, Harper, że nie wpędziłbym was w większe kłopoty. Ale musimy wyprostować pewne fakty, póki mamy szansę.

– Myślisz, że nas aresztują?

– Tego nie powiedziałem. Niekoniecznie. To znaczy, mało prawdopodobne. – Art wycofywał się na twardy grunt. – Mówię tylko, że powinniśmy to wykorzystać i zrobić na ludziach dobre wrażenie, póki jeszcze możemy. Tolliver przez chwilę obserwował go w milczeniu.

– Dobrze – zgodził się, dochodząc do takiego samego wniosku. – Poczekaj tu, Art, a my pójdziemy do sypialni napisać oświadczenie. Potem przejrzymy je wspólnie.

Nie zostawiając prawnikowi czasu na zmianę planów, zabraliśmy laptop i wyszliśmy do pokoju obok. Tolliver usiadł przy biurku, a ja wskoczyłam na łóżko.

– Doktor Nunley nie wspomniał nic o Tabicie, ustalając z tobą warunki zlecenia? – zapytałam.

– Ani słowa. Przecież bym ci powiedział. Opisał tylko cmentarz i wyjaśnił, że test naprawdę zweryfikuje twoje umiejętności, bo nie wiesz, kto tam jest pochowany i nie uda ci się zdobyć informacji o przyczynach śmierci. Chciał wiedzieć, czy się na to zgodzisz. Oczywiście, oczekiwał, że zacznę szukać jakichś wymówek, chcąc odrzucić jego propozycję. Był bardzo zaskoczony, kiedy odpisałem mu w mailu, że przyjedziemy. Niedawno zaprosił Xylde Bernardo, tę medium. Mieszka gdzieś tu w okolicy, pamiętasz? Spotkałam Xylde raz czy dwa podczas pracy, – Jak jej poszło? – zapytałam z czysto zawodowej ciekawości. Xylda, kobieta po pięćdziesiątce, była barwną postacią. Nosiła się w stylu cygańskim – mnóstwo biżuterii, kolorowe chusty, długie włosy w artystycznym nieładzie – przez co budziła nieufność w ludziach. Ale Xylda posiadała prawdziwy dar. Niestety, podobnie jak większość mediów, doprawiała wrodzony talent tanim efekciarstwem i teatralnymi gestami. Uważała, że to przydaje jej wizjom wiarygodności.

Spirytyści – ci autentyczni – odbierają wiele informacji, dotykając własności ofiary zbrodni. Problem w tym, że przekazy te są mętne i trudno z nich zrobić użytek, nie mając konkretnego punktu zaczepienia, („Ciało zakopane jest na środku pustego pola”), Nawet jeśli niektórzy mają wyraziste wizje, na przykład domu, w którym przetrzymywani są zakładnicy – dopóki nie zobaczą tabliczki z adresem, a policjanci nie stwierdzą, że mieszka tam ktoś podejrzany – obraz budynku jest nieprzydatny. Jest kilka mediów o takich talentach, ale po zlokalizowaniu miejsca przestępstwa muszą zawiadomić jeszcze stróżów prawa, a przede wszystkim przekonać ich, żeby im uwierzyli. Nie spotkałam bowiem spirytysty, który znałby sposoby działania brygad antyterrorystycznych.

– Z tego co mówił Nunley, tak jak zwykle – odparł Tolliver. – Wypowiadała się mgliście w stylu: „Twoja babka mówi, żebyś poszukał czegoś na strychu, czegoś, co sprawi ci radość”, albo: „Strzeż się bruneta, na którego niespodzianie się natkniesz, nie ufaj mu” i tym podobne rzeczy, które można dopasować do różnych sytuacji. Spłoszyła studentów, mówiąc, że musi mieć kontakt fizyczny z każdym, komu przepowiada. Nie chcieli, by trzymała ich za ręce. Ale to konieczne, dla Xylde dotyk jest przecież jedynym sposobem na uzyskanie odczytu. Myślisz, że naprawdę ma dar?

– Przeważnie wciska klientom jakieś bzdury, ale uważam, że miewa przebliski.

Nieustannie zastanawiałam się, czy gdyby piorun, który mnie poraził, był silniejszy, gdyby to było kilka woltów więcej, to czy umiałabym zobaczyć sprawców śmierci tych, których odnajduję. Czasem umiejętność taka wydaje mi się wspaniałym, cennym darem, innym razem mam wrażenie, że byłby to koszmar.

Co by się stało, gdyby piorun wniknął we mnie przez stopy lub trafił w głowę, a nie, jak to miało miejsce, przeskoczył po kablu lokówki, którą trzymałam w ręce? Co wtedy? Prawdopodobnie nie miałabym szans się o tym przekonać. Moje serce zatrzymałoby się na dobre, nie tylko na kilka sekund. Nie pomogłaby reanimacja. Może do tego czasu Tolliver ożeniłby się z jakąś miłą dziewczyną lubiącą dzieci i grilla z przyjaciółmi?

Idąc dalej tym tropem – jeśli nie przeżyłabym wypadku, może Cameron nie znalazłaby się wtedy na tamtej drodze i nic by jej się nie stało? Oczywiście, takie rozważania są bez sensu i do niczego nie prowadzą. Nie pozwalałam więc sobie na nie zbyt często. Tym bardziej, że teraz był nie najlepszy moment na gdybanie. Zamiast fantazjować, powinnam skupić się i pomóc Tolliverowi w napisaniu oświadczenia. To, co powiedziała Shellie Quail było esencją naszej polityki medialnej. Na tej kanwie osnuliśmy całość. Mało prawdopodobne, e ktoś da nam wiarę. Bo jakie są szanse, że ci sami ludzie, którym nie udało się znaleźć ciała w Nashville, trafią na nie w Memphis? Musieliśmy jednak spróbować.

Właśnie kończyliśmy drukować tekst, gdy zadzwonił telefon. Podniosłam słuchawkę.

– Panno Connelly, są tu ludzie, którzy chcieliby się z państwem zobaczyć. Przyjmie ich pani?

– Może pan podać nazwiska?

– Państwo Morgenstern. Towarzyszy im jakaś dama. Diana i Joel. Serce mi zamarło, ale wiedziałam, że nie uniknę spotkania.

– Tak, proszę ich przysłać na górę.

Tolliver wyszedł zawiadomić Arta o wizycie, ja zaś zabrałam wydruk. Prawnik przeczytał oświadczenie i wprowadził kilka niewielkich poprawek. Kilka minut później rozległo się pukanie.

Odetchnęłam głęboko, otworzyłam drzwi i przeżyłam kolejny wstrząs tego dnia obfitującego w wydarzenia. Śledczy Lacey wspomniał, że Diana spodziewa się dziecka, ale jego słowa w moim umyśle nie przeistoczyły się w obraz. Teraz ujrzałam to na własne oczy. Diana była w bardzo zaawansowanej ciąży, co najmniej w siódmym miesiącu. Nie straciła na urodzie. Włosy koloru ciemnej czekolady miała krótko obcięte i przygładzone, a duże ciemne oczy nie nosiły śladu makijażu. Małe usta i nos sprawiały, że przypominała trochę ślicznego, słodkiego lemura. W tym momencie jednak na jej twarzy malował się szok.

Jej mąż odznaczał się wysokim wzrostem i sylwetką zapaśnika. Zresztą uprawiał tę dyscyplinę w liceum – pamiętałam stojące w jego gabinecie trofea. Joel miał jasno-rude włosy, niebieskie oczy, rumianą cerę, kwadratową twarz i bardzo wąski, długi nos. Jak ta mieszanka tworzyła w rezultacie mężczyznę, którego kobiety nie potrafiły zignorować? Nie miałam pojęcia. Joel był typem osoby, która skupia całą uwagę na swoim rozmówcy. Może to właśnie stanowiło sekret magnetyzmu, którym

emanował? Na jego korzyść przemawiał też fakt, że albo wydawał się tego nieświadomy, albo uważał to za rzecz tak oczywistą, że nawet nie zwracał uwagi, jakie wrażenie robi na kobietach.

Już w Nashville dostrzegłam, jak – pomimo okoliczności – tłoczyła się przy nim żeńska część reprezentantów mediów. Może i uważały, że ojciec zawsze jest w takich sprawach podejrzany; może i usiłowały szukać dziur w jego zeznaniach, ale krążyły wokół niego jak kolibry wokół wielkiego czerwonego kwiatu. Nie ma się co dziwić, że policja tak dokładnie sprawdzała, czy Joel nie jest uwikłany w jakiś romans. Nie doszukali się niczego; wprost przeciwnie – każdy znajomy Joela powtarzał, jak bardzo jest on oddany Dianie. Poza tym wszyscy widzieli, jaką troską otaczał swą pierwszą, śmiertelnie chorą żonę.

Jeśli o mnie chodzi – może dlatego, że piorun usmażył mi mózg albo dlatego, że kierowałam się zupełnie innymi kryteriami w ocenie mężczyzn – Joel nie robił na mnie takiego wrażenia, jak na innych kobietach. Morgensternom towarzyszyła Felicja Hart, siostra zmarłej żony Joela. Zetknęłam się z nią w Nashville. Okazywała Wiktorowi, synowi Joela z pierwszego małżeństwa, wiele serca. Zdawała sobie sprawę, że jest podejrzewany o udział w zniknięciu Tabity i przez cały czas trwania śledztwa nie opuszczała domu Morgensternów. Może myślała, że w zaistniałej sytuacji Diana i Joel nie będą w stanie zatroszczyć się odpowiednio o potrzeby syna i zapewnić mu profesjonalnego wsparcia.

– Znalazłaś ją. – Joel z całej siły uścisnął mi dłoń. – Niech cię Bóg błogosławi, znalazłaś ją. Lekarz sądowy mówi, że nie może jeszcze oficjalnie potwierdzić tożsamości, ale analiza uzębienia wypadła pozytywnie. Mamy to zachować tylko dla siebie, ale doktor Frierson był tak miły, że zawiadomił nas osobiście. Dzięki Bogu, nareszcie skończy się ten koszmar niepewności. Reakcja ta była tak odmienna od tego, czego się spodziewałam, że nie potrafiłam wykrztusić słowa. Na szczęście Tolliver wykazał się większą przytomnością umysłu.

– Usiądźcie, proszę – zaproponował. Tolliver odnosił się do brzemiennych kobiet niemal z nabożeństwem.

Diana zawsze wydawała się słabsza z tych dwojga, a teraz, w zaawansowanej ciąży, sprawiała wrażenie jeszcze bardziej kruchej.

– Niech się najpierw z tobą przywitam – rzekła miękko i objęła mnie mocno. Gdy jej wystający brzuch dotknął mojego płaskiego, poczułam lekki ruch. Po chwili uzmysłowiłam sobie, że to kopanie dziecka. Coś ścisnęło mi serce; mieszanina lęku i tęsknoty. Puściłam Dianę i cofnęłam się, usiłując przywołać na twarz uśmiech.

Z ulgą zauważyłam, że Felicja nie zamierza okazywać mi podobnych czułości. Poprzestałyśmy na podaniu sobie rąk. Ale Tollivera już objęła. Właściwie to nawet coś mu szepnęła do ucha. Zamrugałam, zdziwiona.

– Miło was znowu widzieć – powiedziała ciut za głośno, kierując powitanie gdzieś w przestrzeń pomiędzy nami. Felicja nie była z nikim związana. Na oko oceniałam ją na jakieś trzydzieści, trzydzieści parę lat. Jej sięgające do brody błyszczące, brązowe włosy wywijały się lekko na końcach. Kosmyki fachowo przystrzyżonej grzywki układały się idealnie. Jako dobrze zarabiająca, samotna kobieta, mogła sporo na siebie wydawać, a strój i makijaż były tego potwierdzeniem. Z tego, co pamiętałam, Felicja zajmowała się doradztwem finansowym w jakimś państwowym przedsiębiorstwie. Choć nigdy dłużej z nią nie rozmawiałam, wiedziałam, że Felicja jest wystarczająco inteligentna i pewna siebie, by z powodzeniem pełnić tak odpowiedzialną funkcję.

Kiedy Diana i Joel zajęli sofkę, Felicja przycupnęła na podłokietniku koło Diany, my usiedliśmy w fotelach przy ławie, a Art usadowił się dość niewygodnie na krzeselku nieco z boku, uświadomiłam sobie, że powinnam jakoś zainicjować rozmowę.

– Tak mi przykro – powiedziałam, zgodnie zresztą z prawdą. – Żałuję, że znalazłam ją dopiero teraz, a tym bardziej, że stało się to w tak niepomyślnych dla was okolicznościach. Dla nas były one jeszcze mniej sprzyjające, ale to niezbyt odpowiednia chwila na roztrząsanie tej kwestii.

– Masz rację, ta sytuacja stawia nas w nie najlepszym świetle – zgodził się Joel, ujmując dłoń Diany. – I tak nas podejrzewali. Oczywiście, nie Felicję, tylko mnie, Dianę i Wiktora, a teraz... – Mówienie przychodziło mu z trudem. – Teraz, kiedy ciało Tabity odnalazło się tutaj, akurat w Memphis, policja pewnie uzna, że od początku mieli rację, iż to któreś z nas. I nie mogę mieć do nich o to pretensji. Wszystko wskazuje na nas. Gdybym sam nie wiedział, jak bardzo kochaliśmy Tabitę... – Westchnął ciężko. – Może sądzą, że uknuliśmy spisek, żeby zabić własną córkę? Muszą być podejrzliwi, w końcu za to im płacą. Nie znają nas, nie wiedzą, że coś takiego nawet przez myśl by nam nie przeszło. Ale dopóki będą się koncentrować na nas, nie zaczną szukać sukinsyna, który to zrobił.

– Właśnie – rzekła Diana, machinalnie gładząc okrężnymi ruchami brzuch. Z trudem oderwałam od niej wzrok.

– Kiedy policja zaczęła was podejrzewać? – zapytał Tolliver. Gdy przyjechaliśmy do Nashville, kilka tygodni po zniknięciu Tabity, policja nie kręciła się już tak bardzo koło Morgensternów. Ale serdeczna więź, jaka wytworzyła się pomiędzy Morgensternami a śledczą Haines – ostatnią pozostałą na placu boju policjantką – zrobiła na nas duże wrażenie. Nie przyszło mi wtedy do głowy, że inni stróże prawa mogli mieć odmienne zdanie w kwestii krewnych zaginionej dziewczynki. Haines dużo lepiej poznała Morgensternów niż jej koledzy z wydziału.

– Od pierwszej chwili – odparł Joel z rezygnacją. – Najpierw węszyli wokół Wiktora, a potem wzięli na celownik mnie i Dianę. Mogłam zrozumieć, że podejrzewali Joela czy nawet Wiktora, ale Dianę?

– Jak to możliwe? – wyrwało mi się nieopatrznie, a na twarz Diany wpełzł rumieniec. –

Przepraszam – powiedziałam szybko. – Nie chciałam przywoływać złych wspomnień. Nawet przez chwilę nie wątpiłam, że ty i Joel nie macie z tym nic wspólnego.

– Tego ranka zrobiłam Tabicie awanturę – wyjaśniła Diana, a z jej oczu popłynęły łzy. – Byłam zła, bo dopiero co dostała na urodziny komórkę, a już przekroczyła limit rozmów. Odebrałam jej telefon, a potem kazałam podlać kwiaty. Byłam rozdrażniona i chciałam, żeby na chwilę zeszła mi z oczu. Tabita też była wściekła. Ferie wiosenne, a ona bez możliwości kontaktu z trzema setkami swoich najlepszych przyjaciółek. Byłam trochę zaskoczona jej reakcją. Powiedziała: „mamo!” i wywróciła oczami – Diana otarła łzy chusteczką, którą podał jej mąż. – Myślałam, że okres buntu zaczyna się dopiero koło piętnastego roku życia, że jeszcze mamy na to czas, a tu proszę, ledwie przestała być małym dzieckiem, a już takie typowo nastoletnie zagrania... – Uśmiechnęła się przez łzy. – Nie chciałam o tym mówić policji, ale sąsiadka słyszała naszą kłótnię, bo akurat przyszła zapytać, czy przeczytaliśmy już dzisiejszą prasę. Musiałam więc opisać całe zdarzenie, a oni potraktowali mnie, jakbym ukryła przed nimi jakiś istotny dowód!

Oczywiście, taka sytuacja miała duże znaczenie w oczach policji. Fakt, że Diana o tym nie pomyślała, potwierdzał tylko, że nie myliłam się co do mej – nie była zbyt bystra. I założę się, że nigdy w życiu nie przeczytała ani jednego kryminału. Inaczej wiedziałyby, że tego typu incydent, a tym bardziej chęć ukrycia go, zawsze wzbudza podejrzenia policji.

Dowodziło to także, że Diana w ogóle nie miała kontaktu z kulturą masową, przynajmniej jeśli chodzi o książki i telewizję.

– Kiedy przeprowadziliście się do Memphis? – zapytał Tolliver.

– Mniej więcej rok temu – odpowiedział Joel – Potrzebowaliśmy wyrwać się z Nashville, nie potrafiliśmy mieszkać dalej w tamtym domu. – Wyprostował się i zaczął mówić, jakby recytował swoje credo. – Musieliśmy przyjąć do wiadomości fakt, że nasza córka odeszła i zacząć życie na nowo. Musieliśmy opuścić ten dom, nie chcieliśmy, aby dziecko przyszło na świat właśnie tam – to nie byłby dobry początek. Dorastałem w Memphis, więc dla mnie to raczej powrót do domu. Moi rodzice tu mieszkają. A także Felicja i pierwsi teściowie. Felicja jest bardzo związana z Wiktorem, więc doszliśmy do wniosku, że ta przeprowadzka jemu też dobrze zrobi. Bardzo to wszystko przeżył.

A więc wszyscy byli zadowoleni, prócz, prawdopodobnie, Diany. Dla niej nie był to powrót do domu, ale przeprowadzka do obcego miasta, z którym jej męża wiązało wiele wspomnień, także tych o zmarłej żonie.

– Długo chodziliśmy na terapię – wtrąciła Diana łagodnie.

– Całą rodziną – dodał Joel. – Nawet Felicja przyjeżdżała do Nashville, żeby brać czasem udział w sesjach. Też przeszłam kiedyś terapię. Szkolna psycholog była wstrząśnięta, gdy po zniknięciu Cameron wyszły na jaw warunki, w jakich mieszkaliśmy.

– Czemu się do mnie nie zwróciłaś wcześniej? – pytała ciągle. Raz potrząsnęła głową, mówiąc: Powinnam była sama zauważyć, co się dzieje. – W rzeczywistości nie było w tym jej winy. Robiliśmy wszystko, żeby ukryć prawdę o naszym życiu rodzinnym. Baliśmy się, że opieka społeczna nas rozdzieli. Może nawet w głębi ducha żywiłam nadzieję, że raczej zabiorą naszych wykończonych rodziców, a w zamian dostaniemy innych, dobrych, ale niestety, nie działa to w ten sposób.

– Kiedy termin? – zapytał Art wesolutkim tonem rodzica, któremu nie grozi już posiadanie kolejnych dzieci.

– Za pięć tygodni – odrzekła Diana, a na jej usta wypłynął mimowolny uśmiech. – Doktor mówi, że to zdrowy chłopiec.

– To wspaniale – powiedzieliśmy z Tolliverem niemal jednocześnie. Zerknęłam na Felicję, która podniosła się i stanęła za oparciem sofy. Myśl o dziecku najwyraźniej nie budziła w niej entuzjazmu; sprawiała nawet wrażenie nieco podminowanej. Może uważała, że niemowlę jeszcze bardziej odciągnie uwagę Morgensternów od Wiktora? Niewykluczone też, że ciężarne kobiety przejmowały bezdzielną Felicję lękiem jeszcze większym niż mnie.

– Ale dzisiaj musimy się zająć Tabitą – rzekła Diana, żeby ułatwić nam powrót do ponurej rzeczywistości związanej z odnalezionymi na cmentarzu zwłokami – Jak... Wiesz, jak zginęła?

– Uduszenie – wyrzuciłam z siebie, nie umiając inaczej tego ująć. Długotrwałe pozbawienie dopływu powietrza? Niedotlenienie ze skutkiem śmiertelnym? Nie dowcipkowałam, ale jak inaczej podać przyczynę zgonu, nawet dziecka, w dodatku jego matce?

Małżeństwo starało się przyjąć tę nowinę z kamiennymi twarzami, ale Dianie nie udało się zdławić jęku rozpacz. Felicja odwróciła wzrok, ukrywając emocje pod nieprzeniknioną maską obojętności.

Są o wiele gorsze rodzaje śmierci, ale nie stanowiło to pocieszenia dla zdruzgotanych rodziców. Świadomość, że ich córka została uduszona była dla nich straszna.

– To był moment – ciągnęłam, starając się mówić najłagodniej jak potrafiłam. – Bardzo szybko straciła przytomność. – Konfabulowałam, ale uznałam, że stan Diany usprawiedliwia moją chęć złagodzenia szoku. Bałam się, że wstrząs może wywołać bóle porodowe.

Art patrzył na mnie z dziwną miną. Tak, jakby zobaczył mnie po raz pierwszy; jakby prawda o mnie, o tym, co właśnie robiłam, uderzyła go z całą mocą w wielki brzuch, który nosił przed sobą godnie niczym oznakę swego majestatu.

– Powinniśmy poinformować Wika – powiedział Joel swoim miękkim głosem.

– Wybaczcie na moment. – Przetarł załzawione oczy i sięgnął do kieszeni po telefon. Kiedy Tabita została uprowadzona, Wik był chmurnym piętnastolatkiem. Widziałam go kilka razy w Nashville i zdążyłam zauważyć, że bardzo starał się zachować zimną krew w obliczu tej dramatycznej sytuacji.

– Daj mi go, jeśli będzie chciał ze mną rozmawiać – zaznaczyła Diana, gdy Joel odszedł kilka kroków i zaczął wystukiwać numer. Diana wydawała się darzyć pasierba szczerym uczuciem, zresztą praktycznie rzecz biorąc, to ona go wychowywała – Wiktor był mały, gdy jego ojciec ponownie się ożenił. – Jak Wiktor sobie radzi w Memphis? – spytałam Felicję tylko po to, by przerwać ciszę. Z Wiktorem łączyło mnie osobliwe wspomnienie. Incydent miał miejsce, gdy któregoś dnia podczas poszukiwań stałam w salonie Morgensternów. W pewnej chwili chłopiec wszedł do pokoju i przekonany zapewne, że jest sam, zaczął płakać. Kiedy się poruszyłam, przyłgnął do mnie, łkając. Musiał się pochylić, żeby ukryć twarz na moim ramieniu. Nie jestem przyzwyczajona, żeby ktoś mnie dotykał, więc zamarłam. Ale znałam cierpienie i wiedziałam, jaką ulgę przynosi płacz, więc objęłam go i trzymałam, dopóki się nie uspokoił. Czułam, jak jego łzy przesiąkają przez tkaninę mojej bluzki. Kiedy przestał szlochać, wyrwał się, speszony swoim załamaniem. Cokolwiek bym wtedy powiedziała, zabrzmiałoby fatalnie, więc tylko kiwnęłam głową. Odpowiedział nerwowym skinieniem i umknął. Felicja przyglądała mi się ze zdziwieniem. Pewnie była zaskoczona, że w ogóle pamiętam Wiktora.

– Tak sobie – odrzekła. – Diana i Joel posłali go do prywatnej szkoły. Trochę im pomagam. Wiktor to bardzo wrażliwy chłopiec, rozchwiany emocjonalnie. Jest w takim wieku, że łatwo naruszyć jego równowagę psychiczną. A teraz jeszcze to dziecko... – Urwała, jakby nie mogła znaleźć odpowiednich słów na dokończenie wypowiedzi, nie krytykując przy okazji Diany i Joela za decyzję o powiększeniu rodziny w tak nieodpowiednim momencie. Joel wrócił zaszepiony.

– Wiktor źle to wszystko znosi – powiedział, siadając obok żony. Na twarzy Diany odmalowało się znużenie, jakby przy tym wszystkim, co sama przeżywała, nie miała już siły, żeby podtrzymywać na duchu drugą osobę. – Wrócił ze szkoły wcześniej, po naszym telefonie. Nie chcieliśmy, żeby dowiedział się od kolegów, którzy słyszeli o sprawie w wiadomościach – wytłumaczył.

Wszyscy kiwnęliśmy głowami, pochwalając tę decyzję, choć ja myślałam o czymś zupełnie innym.

– Nie mieliśmy pojęcia o waszej przeprowadzce – zaczęłam, chcąc wyjaśnić pewne kwestie. – Byliśmy zupełnie zaskoczeni, gdy policjant nas o tym poinformował. Macie coś wspólnego z uczelnią Bingham? Studiowałaś tu, Diano?

– Nie, oboje z Joelem kończyliśmy Vanderbilt – odparła ze zdziwieniem. – Ale przecież ty uczyłaś się w Bingham, Felicjo? I Dawid też, prawda?

– Wieki temu. Tak, Dawid był ze mną na jednym roku. Nie poznałaś go chyba, Harper. To brat Joela.

– Rodzice Felicji także pochodzą z Memphis i też tu studiowali – przypomniała sobie Diana. – Podobnie jak moi teściowie. Sam Joel wywołał skandal rodzinną decyzją o kontynuowaniu nauki w Vanderbilt. Czemu pytasz?

– Usiłuję ustalić, jaki macie związek z tą uczelnią. Ktoś pogrzebał zwł... Tabitę na terenie Bingham i dopilnował, abyśmy to właśnie my dostali to zlecenie. Morgensternowie wpatrywali się we mnie okrągłymi oczami. Nie mogłam się powstrzymać od myśli, że teraz Diana jeszcze bardziej przypomina lemura. Ale choć kobieta wyglądała na przestraszoną, jej mąż wydawał się mocno poruszony i głęboko przejęty. Joel był bardzo żywiołowy, nawet w takiej chwili kipiał energią. Na twarzy Felicji odbijało się czyste niedowierzenie.

– To na pewno jakiś zbieg okoliczności – odezwała się po chwili, patrząc na mnie, jakbym cierpiała na urojenia. – Nie sądzisz chyba... Nie wyobrażasz sobie chyba, że ktoś uknuł tak skomplikowaną intrygę? Jak ktoś mógłby pochować tam Tabitę, odnaleźć was i ściągnąć tu, a potem sprawić, żebyś to ty właśnie ją znalazła? To nieprawdopodobne!

Milczeliśmy kilka sekund, spoglądając po sobie. Art przeniósł wzrok to na mnie, to na Felicję, jakbyśmy grały w ping-ponga.

– Owszem – przyznałam. – Ale nie potrafię znaleźć innego sensownego wyjaśnienia. Chociaż w tym też nie widzę wiele sensu.

– Powinniśmy ustalić, co powiemy dziennikarzom – oświadczył Art, zrozumiałwszy, że dyskusja utknęła w martwym punkcie. – Balansujemy na cienkiej linii, więc musimy wyważyć każde słowo. Nie możemy niczego pominąć, jak wcześniej zrobiła to Diana, ani wymyślać niestworzonych rzeczy, jak Harper. Zawiadomić o wszystkim, ale bez ujawniania osobistych opinii na temat tego, co mogło się wydarzyć. Jedynie Tolliver skinął głową na zgodę.

– Nasz prawnik czeka na dole – mruknęła Diana.

– Nie! – równocześnie wybuchnął Joel. – Nie! Musimy potępić tego, kto zrobił to naszej córeczce! I to w jak najostrzejszych słowach! – Diana i Felicja przytaknęły.

– Och, tak – zgodził się Art. – To także, naturalnie.

Włączyliśmy telewizor, żeby zobaczyć wystąpienie Arta. Wszystkie trzy lokalne kanały z Memphis wysłały swoich przedstawicieli na konferencję prasową. Spotkanie z dziennikarzami miało się odbyć na chodniku przed wejściem do hotelu. Na miejscu, prócz Arta, była już także prawniczka Morgensternów, Blythe Benson, elegancka kobieta w średnim wieku. Joel i Diana poinformowali nas, że nalegała na wydanie osobnego oświadczenia, choć miało być utrzymane w podobnym stylu. Benson i Art stanowili imponujący duet. On, z jego powagą seniora i ona z jej chłodnym profesjonalizmem, blond włosami oraz aparycją Anglosaski do entej potęgi. Diana wspomniała, że wersję oświadczenia ustalili z Blythe wcześniej, jeszcze w domu. Słyszając tę uwagę, Felicja rzuciła mi nieodgadnione spojrzenie. Zastanawiałam się, co to mogło oznaczać. Szwagierka Joela sprawiała wrażenie osoby dużo bystrzejszej niż Diana. Ciekawe, jaka była jej siostra, pierwsza żona Joela. Na dole, przed hotelem, Blythe Benson przygotowywała się do wygłoszenia mowy. Uzgodniliśmy, że ze względu na dobro Morgensternów uczyni to jako pierwsza.

– Diana i Joel Morgensternowie są zdruzgotani informacją, że ciało, odnalezione dzisiaj na cmentarzu Świętej Małgorzaty, może być ciałem ich córki. Choć od wielu miesięcy wyczekiwali przełomu w tej sprawie, nie ustawali w nadziei, że okaże się nim wieść o znalezieniu córki żywej. Zamiast tego usłyszeli o odkryciu szczątków, które – być może – należą do ich dziecka...

– Blondynka zawiesiła głos dla większego efektu. Reporterzy aż trzęśli się z niecierpliwości, żeby zadać pytania, ale Blythe kontynuowała: – Rodzina Morgensternów będzie wdzięczna za każdą informację, która może rzucić światło na sprawę zniknięcia Tabity. Choć z oczywistych względów nagroda nie dotyczy już informacji o miejscu ukrycia zwłok, nadal jednak jest przeznaczona dla osób, które pomogą ustalić okoliczności samego uprowadzenia dziewczynki. Nie bardzo mogłam się w tym połapać. Po fiasku poszukiwań nie kontaktowaliśmy się już więcej z Morgensternami, więc nawet nie wiedziałam, że w ogóle wyznaczili jakąś nagrodę.

Przekonana, że to koniec wystąpienia, odwróciłam głowę, żeby sprawdzić reakcję Tollivera i w tym momencie ponownie usłyszałam głos Benson. Skoncentrowałam uwagę na ekranie.

– Jeśli chodzi o to, co policja określa mianem „niezwykłego zbiegu okoliczności” czyli o fakt, że ta sama jasnowidzka, którą Morgensternowie zatrudnili wcześniej do poszukiwań Tabity, zlokalizowała jej ciało, choć w najmniej spodziewanym miejscu. Zgubiła wątek, pomyślałam.

– Życie jest pełne przypadków i właśnie mamy do czynienia z jednym z nich. To nie Diana i Joel Morgensternowie ściągnęli Harper Connelly do Memphis. Nie spotkali się także ani z nią, ani z jej menedżerem podczas ich pobytu tutaj. Nie wiedzieli w ogóle, że panna Connelly planuje tego ranka dać pokaz na cmentarzu Świętej Małgorzaty. Ani Diana, ani Joel Morgensternowie nie uczęszczali na uczelnię Bingham. Żadne z nich nie ma związku z wydziałem, na którego zaproszenie Harper

Connelly przybyła do Memphis. W istocie, przez ostatnie półtora roku, od czasu nieudanych prób odnalezienia Tabity, żaden z członków rodziny Morgensternów nie kontaktował się z panną Connelly, tudzież Tolliverem Langiem, jej bratem i menedżerem w jednej osobie. Dziękuję.

Choć Art nawet nie drgnął, kamera uchwyciła go wpatrującego się w Blythe Benson tak, jakby nagle wyrosły jej rogi. Rozumiałam jego zdumienie. Na początek sama kwestia tonu, jakim Benson wypowiedziała słowa „jasnowidzka” oraz „dać pokaz” – zupełnie jakby dotyczyły one czegoś ze wszech miar odrażającego i haniebnego. Następnie, bardziej niż wyraźnie zaznaczyła, że jej klienci nie mają z nami nic wspólnego. A na koniec zasugerowała, że jesteśmy zamieszani w śmierć dziewczynki. Nie zostawiła na nas suchej nitki.

Jak na komendę obejrzelśmy się z Tolliverem na siedzącą na sofie parę. Morgensternowie robili wrażenie nieświadomych aluzyjności odczytanego przed chwilą komunikatu. Oboje siedzieli jak zahipnotyzowani; w milczeniu, ze wzrokiem wbitym w ekran, czekali na wystąpienie Arta. Stojąca za nimi Felicja popatrzyła na nas przeciągle, wzrokiem z rodzaju: „Ha! A nie mówiłam!” Wymieniliśmy z Tolliverem spojrzenia pełne niedowierzania. Brat już otwierał usta, ale powstrzymałam go.

– Nie teraz – szepnęłam, kładąc mu dłoń na ramieniu. Nie byłam do końca pewna, dlaczego wolę siedzieć cicho, unikając bezpośredniej konfrontacji z Morgensternami. Nie wątpiłam, że nawet Diana jest na tyle inteligentna, by zdawać sobie sprawę, że właśnie wyparli się nas publicznie, w dodatku siedząc w tym samym czasie w naszym (przynajmniej chwilowo) salonie. Wydźwięk tego oświadczenia był taki: „Cokolwiek ci ludzie powiedzą, my nie mamy z tym nic wspólnego. Nie znamy ich, nie widzieliśmy się z nimi, nigdy z nimi nie współpracowaliśmy, a gdy ten jedyny raz poprosiliśmy ich o pomoc, zawiedli”.

Art zajął miejsce przy mikrofonie. Czulałam się nieswojo, widząc w telewizji znajomą osobę – nieczęsto miewałam takie okazje. Fakt, że człowiek, który dopiero co siedział z nami w pokoju, jest filmowany, koncentruje się na nim uwaga mediów, było dziwaczne i niepokojące. Zupełnie jakby po drugiej stronie ekranu stał się kimś innym, mniej niedoskonałym – mądrzejszym, bardziej wygadany, bystrzejszym.

Art miał kartkę z naszym oświadczeniem, ale w myślach, na gorąco, przed kamerami zmieniał jego treść. Poznałam to po tym, że nim zaczął mówić, na dłuższą chwilę opuścił wzrok, wyraźnie się koncentrując.

– Moja klientka, Harper Connelly jest zaskoczona i wstrząśnięta wydarzeniami, które miały dzisiaj miejsce. W tej chwili jest z rodzicami Tabity, którzy przyszli z głębi serca podziękować jej za wkład w odnalezienie ciała, które według wszelkich przesłanek należy do ich zaginionej córki. Ha! Sama tego chciałaś, Blythe! Twój ruch!

– Pani Connelly jest zasmucona tragicznym zakończeniem poszukiwań Tabity. Choć nie miała żadnego kontaktu z rodziną Morgensternów i choć nie wiedziała o ich przeprowadzce do Memphis,

pani Connelly ma nadzieję, że jej zupełnie przypadkowe odkrycie pozwoli ukoić nieco cierpienie dręczonych niepewnością rodziców. Może, dzięki mojej klientce, Morgensternowie w końcu zaznają odrobinę spokoju.

– Kiedy Harper Connelly będzie się mogła z nami spotkać? – zapytał reporter o niezbyt donośnym, lecz wyjątkowo przenikliwym głosie. Spojrzenie, które Art posłał dziennikarzowi, było czystym dziełem sztuki – mieszaniną wyrzutu i rezygnacji.

– Pani Connelly nie rozmawia z dziennikarzami – oznajmił, jakby fakt ten był dobrze znany. – Pani Connelly bardzo ceni sobie prywatność.

– Czy to prawda... – usłyszałam znajomy głos, a kamera obróciła się, ukazując migotliwą Shellie Quail.

– A niech to – mruknęłam. – Ta mała w brązowym wszędzie się musi wcisnąć.

Tolliver uśmiechnął się lekko. Upór niektórych dziennikarzy bawił go, może nawet wzbudzał podziw.

– ...że panna Connelly żąda gratyfikacji za odnajdywanie zwłok?

– Pani Connelly posiada prawdziwy dar i jest profesjonalistką – odparł Art. – Nie lubi znajdować się w centrum uwagi mediów, nigdy nie szukała rozgłosu. Całkiem niezłe, pomyślałam. Mało konkretne, ale zgodne z rzeczywistością.

– Czy to prawda, że pańska klientka będzie się domagała nagrody za odnalezienie ciała Tabity? – zaatakowała Shellie Quail. Uśmiech Tollivera zniknął jak kamfora.

– Nie omawialiśmy tej kwestii – uciął Art. – Na razie nie mam państwu nic więcej do powiedzenia. – Odwrócił się i wszedł do hotelu. Prawnika Morgensternów nigdzie nie było widać. Blythe Benson ulotniła się najwyraźniej chwilę wcześniej.

Miałam nadzieję, że nie zamierza do nas dołączyć.

W momencie, gdy stacja zaczęła nadawać inny program, w pokoju pojawił się Art, tym razem z krwi i kości. Znowu poczułam lekki szok.

– Niezłe poszło – podsumował Joel bez śladu ironii. Oboje z Tolliverem usiłowaliśmy zachować obojętne miny. – I oczywiście dostaniesz tę nagrodę. – Joel wstał, zerkając na zegarek. – Musimy iść do domu, Diano. Mamy sporo do załatwienia. Trzeba podzwonić do różnych osób. Zastanawiam się, kiedy będą pewni, że to... ciało Tabity. I kiedy je nam oddadzą. Felicja wstała, zabierając torebkę

swoją oraz Diany, gotowa pomóc ciężarnej w drodze do auta.

Diana podniosła się z trudem. Machinalnie pogładziła brzuch, jakby chciała uspokoić dziecko wewnątrz. Przypomniałam sobie, jak moja matka chodziła w ciąży z Mariellą i Gracie. A także, że w zeszłym tygodniu oglądaliśmy z Tolliverem – Dziecko Rosemary.

– Dziękuję, Felicjo – powiedziała Diana.

– Daj nam znać, co z Wiktorem – wypalił Tolliver ni stąd, ni zowąd.

– Proszę? – Felicja odwróciła się, wzrokiem przygważdżając Tollivera do ściany. – Ach tak, oczywiście. – Powiedziała to z dziwnym przekąsem. Przeniosłam wzrok na Tollivera, ale jego mina nic mi nie wyjaśniła.

– Wiktorowi jest jeszcze trudniej niż nam – wtrącił Joel. – Dzieci potrafią być okrutne.

– Be ma teraz Wiktor? Szesnaście lat? – zapytałam pogodnie, chcąc rozładować atmosferę. Nie wiem, po co. Powinnam milczeć, czekając aż wyjdą.

– Niedawno skończył siedemnaście. – Twarz Diany straciła nagle słodycz Madonny. Już przy pierwszym spotkaniu uderzył mnie jej stosunek do pasierba. Miała wyraźnie po uszy zmiennych nastrojów nastolatka. Teraz zacisnęła szczęki, co podkreśliło ostrość jej następnych słów. – Kocham tego chłopca, ale wszystko, co mówią o nastolatkach, to prawda, a on jest aż nazbyt modelowym przykładem. Od trzech lat chodzi wiecznie ponury i albo w ogóle się nie odzywa, albo pyskuje. Kiedy Tabita zaczęła zdradzać oznaki wchodzenia w ten okres, nie byłam na to przygotowana. Poniosło mnie. Półtora roku temu Wiktor był przyszczytym, lecz wysportowanym, atrakcyjnym chłopcem. Nie brał udziału w rozmowach dorosłych, stojąc zawsze nieco z boku z twarzą ściągniętą... strachem? Złością? Miałam nadzieję, że przez ten czas poprawiły mu się i cera, i nastawienie do świata. Byłam w stanie uwierzyć, że w emocjach i myślach Wiktora panował zamęt, a sytuacja go po prostu przerastała, ale tylko dlatego, że bardzo chciałam w to wierzyć.

– Jak możesz, Diano? – zaprotestowała Felicja, ale jej oburzenie nie było szczere. – Wychowywałaś go od małego. Na pewno kochasz go tak samo, jak ja.

– Oczywiście, że go kocham – odparła Diana ze zdziwieniem ciężarnej kobiety znużonej własną huśtawką nastrojów. – Traktuję go jak własne dziecko. Ty akurat powinnaś o tym wiedzieć najlepiej. Czułabym tak samo, gdyby był moim rodzonym synem. To nie jego wina, po prostu przechodzi trudny okres.

– Nie przepada za nową szkołą – dodał Joel. W jego tonie wyczuwało się to samo znużenie co w głosie jego żony, jakby i on stracił już cierpliwość do Wiktora. – Ale odnosi sukcesy w tenisie

zespołowym.

– Biedny Wiktor. Nie spodziewałam się, że Tolliver powie coś podobnego.

– Tak, dla niego cała ta sytuacja też nie jest łatwa – zgodził się Joel. – Nastolatki wszystko tak strasznie wyolbrzymiają. Kiedy policja zaczęła go przesłuchiwać nieco... ostrzej, był przekonany, że zostanie aresztowany i stracony.

– Uważali, że mógł to zrobić z zazdrości o uwagę, jaką poświęciliśmy jego przyrodniej siostrze, rozumiecie, jako naszemu wspólnemu dziecku. – Diana zamarła nagle, a ja na moment wpadłam w panikę, że może coś nie tak z jej dzieckiem. Ale chyba po prostu miała jeden z tych bolesnych skurczy, które pojawiają się znienacka niczym jastrząb, rozrywając ofiarę ostrymi szponami.

– Och, Tabita – jęknęła Diana cicho, głosem przesiąkniętym bólem. – Moja córeczka. – Jej piękne, ciemne oczy napełniły się łzami, które zaczęły spływać po policzkach.

Mąż otoczył ją ramieniem i wyszli razem. Zaraz za nimi, z bardzo nieszczęśliwą miną, podążyła Felicja.

Przez moment nie odrywałam oczu od zamkniętych drzwi, za którymi właśnie zniknęli. Zastanawiałam się, czy pokój dla nowego dziecka jest już gotowy. I co zrobili z rzeczami Tabity.

Po ich wyjściu wyczuwalne w pokoju napięcie wyraźnie zelżało. Popatrzyliśmy po sobie z ulgą.

– To świetna wiadomość, ta o nagrodzie. Z tego, co wiem, ostatnio podnieśli ją do dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Minus podatek, oczywiście. – Art rozpamiętywał w duchu popołudnie, poznałam to po sposobie, w jaki stukał palcami o blat. – Dobrze się stało, że mówiła pierwsza – podsumował. A po chwili dodał: – Słyszałem o tej Benson. Poruszyła kilka kwestii, które skorygowałem.

– Zauważyliśmy. – Tolliver wyjął z torby krzyżówki i zaczął przegrzebywać przegródkę w poszukiwaniu długopisu.

– Jeśli uważasz, że mogłem zagrać inaczej, to powiedz – zirytował się Art. Tolliver poderwał głowę zaskoczony jego tonem.

– Nie, świetnie z tego wybrnąłeś, Art. Jak sądzisz, Harper?

– Nie wspomniałeś, że Tolliver to także twój klient – wytknęłam Artowi Art usiłował udąć zdumienie, choć sądziłam, że dziwił się temu, że dostrzegłam to pominięcie.

– Osoba Tollivera nie wypłynęła dotąd przy tej sprawie. Starałem się utrzymać go po prostu z dala od tego – wyjaśnił. – Mam zadzwonić do reporterów ze sprostowaniem?

– Nie, Art, nie trzeba – zapewniłam go. – Ale na przyszłość bądź bardziej precyzyjny i nie pomijaj tego szczegółu.

– Tak jest – rzekł Art wesoło. – To był ciężki dzień, dzieci. Pójdę do pokoju, zadzwonię do biura i popracuję trochę.

– Pewnie – powiedział Tolliver, nie podnosząc głowy znad krzyżówki. – Jeśli nie wracasz dzisiaj do Atlanty, zjedź z nami kolację.

– Dziękuję, zobaczę, ile mam jeszcze do roboty. Może zamówię tylko coś do pokoju. Ale dajcie znać, gdy będziecie gotowi.

– To na razie, Art – pożegnałam go.

– Jak myślisz, co takiego słyszał? – zwróciłam się do brata, gdy zostaliśmy sami.

– Właśnie się zastanawiam. Może policja uważa, że przez cały ten czas wiedziałem, gdzie jest ciało Tabity, a potem przeniosłem je, chcąc dowieść, że jesteś prawdziwym jasnowidzem?

Patrzyłam na niego przez moment, a potem wybuchnęłam śmiechem. Pomysł był absolutnie niedorzeczny.

Tolliver odłożył długopis i skupił się na mnie. – Masz rację. No, bo gdzie miałbym trzymać zwłoki tego biednego dziecka przez półtora roku?

– W bagażniku – podsunęłam ze śmiertelną powagą, a Tolliver uśmiechnął się do mnie. Ucieszyłam się, widząc ten uśmiech – był naprawdę radosny, a brat nieczęsto się w ten sposób uśmiechał. Tolliver nie został porażony piorunem, jego własna matka nie próbowała oddać go dealerowi narkotyków w ramach zapłaty za prochy, ale też przeżył swoje i podobnie jak ja, nie lubił o tym rozmawiać.

– Ale fakt faktem, ciało Tabity musiało gdzieś być przez te półtora roku – stwierdził. – Albo w tym grobie, albo gdzie indziej.

– Czy mogła leżeć tam przez cały ten czas? – zastanowiłam się głośno. – Wątpię. Grób rozkopano nie tak dawno. Różnił się od innych. Nie był taki płaski i nie rosła na nim trawa.

– Ale coś się z nią działo przez kilkanaście miesięcy, to wiemy na pewno.

– Mogła żyć jeszcze przez jakiś czas po uprowadzeniu. Albo leżeć w zamrażarce, chłodni czy kostnicy. Albo pogrzebano ją w innym miejscu, tak jak mówisz. – Przemyślałam kolejno wszystkie opcje. – Sądzę jednak, że zginęła od razu albo bardzo niedługo po zniknięciu. I jestem niemal pewna, że nie leżała tu od początku. Nie rozumiem tylko, dlaczego ktoś ją tu przeniósł i jak to się stało, że to właśnie ja ją znalazłam. To brzmi dziwnie.

– Wręcz niewiarygodnie – podsumował Tolliver w zamyśleniu.

Poranek nie rozpoczął się optymistycznie. Pijąc kawę, włączyłam CNN, a leżąca przede mną gazeta otworzyła się na stronie, na której widniało stare zdjęcie Tabity, nowe Morgensternów i moje, zrobione mniej więcej dwa lata wcześniej, gdy pracowałam na innym miejscu zbrodni.

Sprawozdanie telewizyjne utrzymane było w podobnie sensacyjnym tonie co artykuł w gazecie. FBI wyraźnie zaznaczyło swój udział w początkowej fazie śledztwa nad sprawą porwania Tabity. Teraz zaoferowało policji z Memphis pomoc swoich biegłych oraz udostępniło laboratoria analityczne.

– Mamy zaufanie do policji z Memphis i wierzymy, że tamtejszy wydział zabójstw sprawnie poprowadzi śledztwo. – Agent, który udzielał wywiadu, wyglądał na prawdziwego twardziela. – Do Memphis został wysłany nasz pracownik, który zajmował się sprawą uprowadzenia Tabity. Zrobi wszystko, co w jego mocy, aby pomóc lokalnej policji. Pragniemy, aby rodzina dziewczynki doczekała się sprawiedliwości. Zastanawiałam się, czy pozwolono by nam wrócić do mieszkania w St. Louis. Oczywiście, najlepiej, gdyby udało nam się wymknąć i zaszyć gdzieś, gdzie nikt by nas nie znalazł. Co prawda nie bywaliśmy często w St. Louis, ale ten adres mieliśmy w dokumentach, więc media nie miałyby kłopotu z jego odszukaniem.

Nie wiedziałam, gdzie mamy kolejne zlecenie i czy w ogóle jakieś mamy. Tym zajmował się zawsze Tolliver. Zdażyłam już przeczytać jedyną książkę, jaką wzięłam z samochodu i zaczynałam odczuwać coraz większe zniecierpliwienie tą beczynnością. Normalnie poszłabym pobiegać. Ale nie było sensu nawet o tym myśleć. Choć nadal byłam nieco roztrzęsiona wydarzeniami poprzedniego dnia, miałam ochotę zrobić kilka mil. Ale nie bawiła mnie wizja biegania z ogonem.

Tolliver zapukał do drzwi mojej sypialni, kazałam mu wejść. Wycierał włosy ręcznikiem.

– Pobiegałem na bieżni w siłowni – powiedział, widząc moje pytające spojrzenie. – Lepsze to niż nic. Nie znoszę bieżni. Głupio się czuję, biegnąc w miejscu. Ale dzisiaj było mi to obojętne, bardzo potrzebowałam ruchu. Kiedy on zabierał się do porannej kawy, ja byłam już w drodze do windy, przebrana w koszulkę i szorty. W hotelowej siłowni znajdowało się kilka bieżni. Jedną zajmował mężczyzna, na oko po czterdziestce, o ciemnych włosach, które zaczynały siwieć na skroniach. Ćwiczył w skupieniu, z nieobecny wyrazem twarzy. Skinął machinalnie głową, a ja odpowiedziałam lekkim kiwnięciem.

Dokładnie przestudiowałam panel kontrolny oraz instrukcję, nie chcąc wygłupić się upadkiem z taśmy. Zaczęłam dopiero wtedy, kiedy upewniłam się, jak działa maszyna. Najpierw powoli, żeby przyzwycząić się do poruszającej się pod stopami gumy. Nie myślałam o niczym, koncentrując się na

rytmie kroków, a po chwili przycisnęłam guzik zwiększający prędkość. Szybko złapałam odpowiednie tempo i choć w czterech ścianach krajobraz się nie zmieniał, byłam nawet zadowolona. Zaczęłam się pocić i wreszcie poczułam wyczekiwane zmęczenie, które zapowiadało niedaleki kres wytrzymałości. Zwolniłam trochę, potem jeszcze bardziej, aż w końcu szłam.

Ledwo zauważałam, że pan skroniosrebrny nadal był na sali, przenosząc się z maszyny na maszynę z ręcznikiem hotelowym na szyi. Po skończeniu przebieżki podeszłam do stosu ręczników leżących na stoliku przy wyjściu. Właśnie osuszałam twarz, gdy usłyszałam czyjś głos.

– Takie poranne bieganie to dobra rzecz, prawda? Polepsza humor na początek dnia. Opuściłam ręcznik, żeby zobaczyć, kto mówi.

– FBI? – spytałam. Drgnął mimowolnie.

– Naprawdę jest pani jasnowidzem – rzekł po chwili życzliwym tonem.

– Nie, nie jestem – odparłam. – A jeżeli w ogóle, to w bardzo wąskim zakresie. Był pan tu także, kiedy ćwiczył Tolliver?

Uważnie zmierzył mnie ciemnoniebieskimi oczyma. Poczułam rozdrażnienie. Miał sporo czasu, żeby napatrzeć się na mnie, gdy biegałam. Nie oceniał mnie jednak pod kątem urody. Chodziło o coś innego.

– Doszedłem do wniosku, że jest pani bardziej przystępna. A już na pewno bardziej interesująca.

– I tu się pan myli.

Spojrzał na moją prawą nogę. Na udzie mam ślad, czerwone linie układające się w kształt podobny do pajęczyny. Moje spodenki sięgały połowy uda, więc znak był widoczny, jeśli się dobrze przyjrzeć. Mam w tej nodze lekki niedowład, więc tym bardziej muszę dużo ćwiczyć – Co to za ślad? Nigdy nie widziałem niczego podobnego – zapytał z naukowym zainteresowaniem.

– Został po porażeniu piorunem.

Poruszył się lekko zirytowany, jakby przypomniał sobie, że przecież czytał o tym w aktach. Albo po prostu mi nie uwierzył.

– Jak to się stało?

– Układałam włosy lokówką – wyjaśniłam. – Szłam na randkę – powiedziałam, jak przez mgłę przypominając sobie odległe wydarzenia. – Oczywiście, nigdy na nią nie dotarłam. Piorun pozbawił

mnie buta i zatrzymał akcję serca.

– Jak to się stało, że pani przeżyła?

– Brat mnie uratował. Reanimował mnie aż do przyjazdu karetki.

– Nigdy nie spotkałem kogoś, kto przeżył uderzenie pioruna.

– Jest nas całkiem sporo – rzuciłam, kierując się ku przeszklonym drzwiom.

– Proszę zaczekać – zatrzymał mnie. – Jeśli można, chciałbym z panią porozmawiać.

Odwróciłam się. Jakaś kobieta minęła nas w drodze na salę. Miała na sobie stare spodenki i spłowiały podkoszulek. Zerknęła na nas z zaciekawieniem. Byłam zadowolona, że nie jesteśmy sami.

– O czym?

– Pracowałem nad tamtą sprawą w Nashville. Dlatego właśnie teraz mnie tu przysłali. Czekałam.

– Chciałbym się dowiedzieć, skąd pani wcześniej wiedziała, że Tabita jest w tym grobie?

– Nie wiedziałam.

– Wiedziała pani.

– Nie dowodzi pan tym śledztwem, więc nie muszę z panem rozmawiać, prawda? I szczerze mówiąc, nie mam na to ochoty.

– Nazywam się Seth Koenig. – Powiedział to tak, jakbym powinna wcześniej słyszeć jego nazwisko.

– Nic mnie to nie obchodzi – oświadczyłam, wchodząc do windy. Nacisnęłam guzik i zanim zdążył zareagować, jechałam już na górę. Zaraz po prysznicu poszłam do sypialni Tollivera i opowiedziałam mu o wszystkim.

– Drań. To była zasadzka. – oburzył się brat.

– Trochę zbyt mocno powiedziane. Raczej strategiczne podejście. Tolliver rozpoznał Koeniga z mojego opisu. Pamiętał, że ten sam człowiek był na siłowni razem z nim.

– Uważał, że powinnaś rozpoznać jego nazwisko, tak? – spytał z namysłem. – Sprawdźmy. – Jego laptop był włączony. Wpisał w Google nazwisko agenta i dostał kilka wyników. Seth Koenig pracował przy kilku śledztwach dotyczących seryjnych zabójców. Grubsza ryba.

– Ale to wszystko dawne sprawy – zauważyłam, spojrzawszy na daty. – Nic z ostatnich czterech lat.

– Fakt. Ciekawe, co stało się mu na drodze kariery.

– A mnie ciekawi, po co tu jest. Nie słyszałam, żeby porwanie Tabity łączono z innymi tego rodzaju przypadkami. Zapamiętałabym, gdyby odnaleziono ciało innej dziewczynki na jakimś cmentarzu oddalonym od miejsca jej uprowadzenia, a szczególnie, gdyby pochowano ją w czyimś grobie. – Zatrzymałam się chwilę przy tej myśli. – Właściwie to poza tym dziwnym miejscem pochówku, przypadek Tabity niczym się nie wyróżnia. To straszne, że już w ten sposób ją klasyfikujemy. Tolliver nie był w nastroju do dyskusji o degeneracji amerykańskiego społeczeństwa, w którym samo pojawienie się seryjnego zabójcy było tak powszechne. Kiwnął tylko głową.

– Jest jakiś inny – dodałam. – Ten Koenig.

– To znaczy? Potrząsnęłam głową.

– Jakiś taki... bardziej zaangażowany. Jakby traktował to bardziej osobiście. Nie jak przeciętni gliniarze.

– Lecisz na niego?

– Nie – zaśmiałam się. – Za stary jak na mój gust.

– Czyli?

– Po czterdziestce.

– Ale mówiłaś, że nieźle się trzyma. Czasami nie lubię Tolliverowych przekomarzanek.

– Nie chodziło mi o jego wygląd. Raczej psychikę.

– Możesz sprecyzować?

– Mam wrażenie... – zawahałam się, bo sama myśl o ubraniu tego w słowa wzbudzała we mnie niepokój. – Mam wrażenie, że jego zainteresowanie wykracza poza czynności zawodowe. Jakby miał obsesję.

– Na twoim punkcie – stwierdził Tolliver bardzo obojętnie.

– Nie, Tabity. Nie jej konkretnie. – Szukałam sposobu, żeby lepiej oddać swoje odczucia. – Jakby maniacko chciał rozwiązać tę zagadkę. Wiesz, jak niektórzy pół życia próbują rozwiązać sprawę Lizzie Borden? [*Lizzie Borden – podejrzana o zamordowanie ojca i macochy, 4 sierpnia 1892 roku w Fall River w Massachusetts. Uniewinniona z powodu braku dowodów. Sprawa pozostaje nierozwiązana (przyp. red.)]. I jakie to bezsensowne, bo wszyscy, którzy byli w nią zamieszani, już nie żyją. A jednak nadal pojawiają się książki na ten temat. Myślę, że w ten właśnie sposób Seth Koenig traktuje przypadek Tabity. Popatrz na to. Nie pracował nad niczym dużym od jej porwania. I nagle pojawia się, kiedy jej ciało zostaje odnalezione. Nie z powodu samej Tabity czy Diany i Joela, tylko ze względu na tajemnicę. Tak jak tamci w Kolorado, pamiętasz? Gdy ta dziewczynka została zamordowana we własnym domu.

– Mała księżniczka. Myślisz, że Seth interesuje się Tabitą jak niektórzy tamtą?

– Tak, coś w tym stylu. I uważam, że to niebezpieczne. Usiadłam obok niego na łóżku i uświadomiłam sobie, że wpatruję się w zdjęcie w ramkach, które postawił na szafce nocnej. Przedstawiało ono Cameron, Marka, Tollivera i mnie. Wszyscy byliśmy uśmiechnięci, ale niezbyt radośnie. Mark patrzył trochę w dół, tęgą sylwetką i okrągłą twarzą odróżniał się od reszty. Cameron, stojąca po mojej lewej ręce, spoglądała w bok. Jasne włosy miała zebrane w koński ogon. Tolliver i ja staliśmy pośrodku, najbardziej do siebie podobni – ciemnowłosi, szczupli, o jasnej cerze. Na pierwszy rzut oka wyglądaliśmy na rodzeństwo, ale gdy się nam bliżej przyjrzeć, widać było różnice. Mam pociągłą twarz, podczas gdy szczęka Tollivera jest niemal kwadratowa. Oczy ma ciemnobrązowe, zaś ja – choć także dość ciemne i często brane za brązowe (ludzie zwykle widzą to, co spodziewają się zobaczyć) – ołowianoszare. Usta Tollivera są ładnie wykrojone, ale wąskie, moje – pełne. Tolliver jako nastolatek przechodził trądzik, który, nieleczone, pozostawił blizny. Moja cera jest gładka. Tolliver jest atrakcyjny, przyciąga uwagę płci przeciwnej, ja niezbyt.

– Przerażasz ich – rzekł Tolliver spokojnie.

– Myślałam na głos?

– Nie, po prostu wiem, o czym myślisz. Nie jesteś w tej rodzinie jedynym jasnowidzem. – Otoczył mnie ramieniem i przytulił.

– Wiesz, że nie lubię być nazywana jasnowidzem – wypomniałam mu, ale bez złości.

– Wiem, ale jak inaczej to określić? Rozmawialiśmy o tym nieraz.

– Jestem poszukiwaczem ciał – rzekłam z udawaną chełpliwością. – Nieboszczykowym licznikiem Geigera.

– Trzeba ci stroju superbohatera. Dobrze ci w szarym i czerwonym. Rajtuzy, peleryna, może też czerwone rękawiczki i wysokie botki? – Uśmiechnęłam się, wyobraziwszy to sobie. – Jak skończy się to zamieszanie z mediami, moglibyśmy wrócić do St. Louis na jakiś tydzień. Nadrobilibyśmy pranie i spanie.

Nasze mieszkanie nie było szczególnie piękne, ale wolałam je od hotelu, nawet najlepszego. Moglibyśmy sprawdzić pocztę (choć niewiele tego przychodziło), wyprać ubrania, zjeść domowy posiłek. To ciągłe życie w drodze zaczynało być coraz bardziej nużące. Podróżowaliśmy od pięciu lat, na początku niemal bez przerwy; mieliśmy sporo długów. Ale od trzech lat, gdy wieść o nas się rozniosła, dostawaliśmy regularnie zlecenia, odrzuciliśmy nawet kilka. Spłaciliśmy wszystkie długi i nawet zdołaliśmy sporo zaoszczędzić. Kiedyś, w przyszłości, chcieliśmy kupić domek, może w Teksasie, żeby być blisko naszych małych siostrzyczek – choć dzięki ciotce łonie i jej mężowi prawdopodobnie i tak nie moglibyśmy ich często odwiedzać. Ale bylibyśmy pod ręką w razie czego i jeśli spotykalibyśmy się od czasu do czasu, istniała szansa, że w Marielli i Gracie obudziłyby się lepsze wspomnienia z przeszłości.

Gdybyśmy mieli dom, kupilibyśmy kosiarkę do trawy – mogłabym co tydzień kosić trawnik. Miałabym duże donice, takie, które wyglądają jak ucięte beczki. Sadziłabym w nich kwiaty. Przysiadalyby na nich motyle, a nad nimi krążyłyby pszczoły. Chciałam też mieć jedną z tych wielkich skrzynek pocztowych, jakie można kupić w Wal-Marcie.

– Harper?

– Co?

– Znow masz to zamglone spojrzenie. Co jest?

– Myślałam o domu.

– Może w przyszłym roku.

– Naprawdę?

– Tak, mamy sporo na koncie. Jeśli nie przydarzy się żadna katastrofa... Błyskawicznie otrzeźwiałam. Ludziom takim jak my ciężko wykupić ubezpieczenie zdrowotne – nie mamy stałych posad, a porażenie piorunem jest zawsze traktowane jako wcześniejsze schorzenie. A to oznacza, że nie dostałabym odszkodowania za nic, co agencja ubezpieczeniowa uznałaby za skutki porażenia piorunem. W związku z tym płaciliśmy strasznie dużo za najbardziej podstawową polisę. Zawsze mnie to złościło. Robiłam wszystko, żeby utrzymać się w dobrym zdrowiu.

– Dobrze, nie rozbijemy auta, nie połamiemy nóg i postaramy się, żeby nikt nas nie zaskarżył –

powiedziałam. Na co dzień sami udzielaliśmy sobie pierwszej pomocy w przypadku skaleczeń czy mniej poważnych urazów. Gdy Tolliver złapał grypę, spędziliśmy tydzień w motelu w Montanie. Ale jedynymi poważnymi problemami, z jakimi musieliśmy się mierzyć, były moje dolegliwości, których przyczyną był tamten wypadek. Wydaje się, że gdy dojdzie się do siebie po samym porażeniu, to już koniec zmartwień. Większość lekarzy też tak uważa. Ale to nieprawda. Kontaktowałam się przez Internet z innymi osobami, które przeżyły uderzenie pioruna. Niektóre skutki spotkania z błyskawicą – takie jak utrata pamięci, bóle głowy, depresja, pieczenie w stopach, dzwonienie w uszach, utrata zdolności ruchowych i wiele innych, równie poważnych – mogą ujawniać się po długim czasie. Czy to, jak twierdzą lekarze, rezultat neuroz, czy tajemnicze reakcje organizmu na porażenie prądem o niewyobrażalnym napięciu i natężeniu – opinie na ten temat są podzielone. Mam własny zestaw dolegliwości i na szczęście dla mnie, są raczej niezmiennie.

Z tego co wiem, jestem jedyną osobą, u której w wyniku porażenia pojawiła się zdolność lokalizowania zwłok.

Miałam sporo czasu na prysznic, ubranie się i myślenie, co zrobić z resztą dnia, ale tę ostatnią kwestię rozwiązała za nas policja. Przyszli, żeby zadać nam dodatkowe pytania.

Śledczy Lacey pojawił się tym razem w towarzystwie przyzwoitki, Brittany Young. Policjantka miała koło trzydziestki, wąską twarz, krótkie, potargane, brązowe włosy oraz okulary. Jej ubranie, duża torebka i wygodne buty wyglądały na kupione co najwyżej w Searsie. Na lewej ręce nosiła złotą obrączkę. Rozejrzała się z zaciekawieniem po pokoju, a potem jeszcze dokładniej obejrzała sobie mnie.

– Zawsze zatrzymujecie się w takich hotelach? – zwróciła się do mnie, podczas gdy Lacey wypytywał Tollivera. Wyczułam, że mają jakiś plan. No, niesamowite, ciekawe jaki?

– Prawie nigdy. Zwiedzamy raczej przybyto w stylu Zajazdu Przy Drodze i Motelu 6. Ale tym razem potrzebowaliśmy lepszej ochrony. Kiwnęła głową, jakby rozumiała nasze położenie i nie brała nas za pretensjonalnych snobów. Śledcza Brittany Young miała za zadanie wypytać mnie i napisać raport. Uśmiechnęła się do mnie. Odpowiedziałam tym samym. Wiele razy przerabiałam takie scenki.

– Potrzebujemy wszelkich informacji, jakich może nam pani udzielić – powiedziała poważnie, ale z jej twarzy nie schodził uśmiech. – Najważniejsze dla naszego śledztwa jest ustalenie, jak ciało znalazło się na cmentarzu i jak doszło do tego, że to pani je odnalazła. Bez jaj. Starłam się nie pokazywać po sobie, że mam ją za kretynkę.

– Oczywiście, powiem wszystko, co wiem. Ale to chyba zrobiłam już wczoraj. Naprawdę, bardzo współczuję Morgensternom – dodałam szczerze.

– Czy uważa pani brata za osobę religijną? Muszę przyznać, że mnie zaskoczyła.

– To bardzo osobiste pytanie i nie potrafię na nie odpowiedzieć w imieniu brata.

– Czy określiłaby pani siebie jako chrześcijankę?

– Zostaliśmy wychowani w tej wierze. – Przynajmniej Cameron i ja. Nie miałam pojęcia, jaką edukację religijną odebrali Langowie. Po tym, jak matka wyszła za ojca Tollivera, wychowywanie dzieci w wierze nie było priorytetem w naszym domu. Prawdę powiedziawszy, pod koniec naszego wspólnego zamieszkiwania, matka nie była nawet w stanie określić, kiedy jest niedziela. Myśleliśmy o posłaniu Gracie i Marielli – choć były jeszcze małe – do szkoły niedzielnej, ale zarzuciliśmy ten pomysł z obawy, że wścibskie oczy aktywistek kościelnych dostrzegą prawdę o naszym życiu rodzinnym. Robiliśmy wszystko, żeby zostać razem. Ale i tak wszystko to na nic się nie zdało.

– Czy pani rodzice żywili jakieś uprzedzenia w stosunku do Żydów? Co?! – A to co za pytanie?

– Niektórzy chrześcijanie nie lubią żydów – oświadczyła Brittany Young, jakby ogłaszała mi jakąś nowinę. Starła się jednak mówić obojętnym tonem. Nie chciała odstraszyć mnie od wyrażenia szczerzej opinii w przypadku, gdybym była ukrytą antysemitką.

– Zdaję sobie z tego sprawę – stwierdziłam tak spokojnie, jak tylko potrafiłam.

– Ale nie zwracam uwagi na wiarę osób, z którymi mam do czynienia. – Nagle wszystko wskoczyło na swoje miejsce. – A więc Morgensternowie są żydami?

– spytałam szczerze zaskoczona. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, ale teraz przypominałam sobie, że w ich domu widziałam taki specjalny świecznik. Możliwe, że przegapiłam inne symbole i oznaki. Nie wiem zbyt wiele o judaizmie. Dzieci żydów, które znałam ze szkoły, nie były zainteresowane afiszowaniem się różnicami, jakie dzieliły nas na polu wiary. Śledcza Young obrzuciła mnie spojrzeniem, z którego sceptycyzm nie tylko wycierał, ale niemal wychodził na własnych nogach.

– Owszem – potwierdziła tonem, jakby była przekonana, że robię sobie z niej żarty. – Morgensternowie są żydami, jak pani wie.

– Wie pani, byłam chyba zbyt zajęta szukaniem ich córki, żeby prowadzić z nimi dysputy o kwestiach wiary. Pewnie mam odwrócony system priorytetów.

No dobrze, może przesadziłam z sarkazmem albo wyszłam na zadufaną w sobie, bo Young popatrzyła na mnie drwiąco. Chyba że zrobiła to specjalnie, żeby sprawdzić czy wyprowadzi mnie tym z równowagi. Odwróciłam się do Tollivera, którego Lacey odciągnął na drugi koniec pokoju.

– Hej, Tolliver – zawołałam. – Funkcjonariuszka Young mówi, że Morgensternowie to żydzi!

Wiedziałaś?

– Owszem – odparł Tolliver, podchodząc do nas. – Spotkałem w ich domu – ty chyba go nie widziałaś – jakiegoś Feldmana czy jakoś tak... W każdym razie przedstawił się jako ich rabin.

– Nie pamiętam go. – Naprawdę tak było. Tylko że nadał nie rozumiałam o co chodzi z tą wiarą Morgensternów. Nagle w moim umyśle zapaliło się światelko. – Ach, chodzi o to, że Tabitę pogrzebano na chrześcijańskim cmentarzu? Cmentarz Świętej Małgorzaty jest katolicki, albo episkopalny, tak?

Z tego co wiedziałam o żydowskich zwyczajach pogrzebowych, przywiązywano w nich wagę do szybszego pochówku niż w wypadku chrześcijan. Nie mam pojęcia, dlaczego. Policjanci sprawiali wrażenie osłupiałych, jakby pierwotny cel ich pytań został zupełnie wypaczony.

– Sądziłem, że bardziej będą się przejmować faktem, że to naprawdę Tabita, a nie jakimiś kwestiami religijnymi. – Wzruszył ramionami. – Ale w sumie nie wiem. Dla niektórych to ważniejsze niż cokolwiek innego. Choć nie przypuszczałem, że Morgensternowie są aż tak religijni. Nic nigdy na ten temat nie wspominali. Przynajmniej mnie. A tobie, Harper? Mówili coś takiego?

– Nie. Powiedzieli tylko: „Prosimy, znajdź naszą córeczkę”. Nigdy nie mówili:

„Prosimy, znajdź naszą żydowską córeczkę”.

Tolliver usiadł koło mnie na sofce. Teraz tworzyliśmy wspólny front przeciwko Young i Laceyowi.

– Nasz prawnik mieszka tuż obok – rzuciłam mimochodem. – Jak sądzisz, Tolliver, powinniśmy po niego zadzwonić?

– Uważacie, że jest wam potrzebny? – spytał szybko Lacey. – Dostajecie jakieś dziwne listy czy telefony? Ktoś wam groził? Spojrzałam na brata, unosząc brwi.

– Boisz się?

– Chyba nie. Nie – odparł jakby zdziwiony tym odkryciem. – A tak poważnie – zwrócił się do śledczej, jakbyśmy dotąd sobie żartowali. – Ktoś groził Morgensternom? Wznosił wobec nich jakieś antysemityczne hasła? Myślałem, że mamy to już za sobą. Nie zrozumcie mnie opacznie, kocham Południe, ale jest nieco zacofane pod względem tolerancji. Choć może się myłę. Czekaliśmy na odpowiedź, ale policjantka popatrzyła na nas z wypisanym na twarzy sceptycyzmem. W oczach Lacey'a malowała się głęboka niechęć.

– Pozwólcie, że wam coś wyjaśnię – rzekłam znużona tą grą. Policjanci siedzieli naprzeciw nas w fotelach. Choć Brittany Young była kobietą i to co najmniej dziesięć lat młodszą od partnera, oboje mieli w tym momencie identyczne miny. Wzięłam głęboki oddech. – Morgensternowie zatrudnili mnie kilka tygodni po zaginięciu córki. Owszem, czytałam wcześniej w gazetach o Tabicie, ale dopóki nie pojechałam do Nashville na ich zaproszenie, nie znałam ani Diany, ani Joela, ani żadnego innego członka ich rodziny. Nie wiedziałam, że skontaktują się ze mną w tej sprawie. Więc jak widać, nie mogłam mieć nic wspólnego z uprowadzeniem dziewczynki. Miałam wrażenie, że oświadczenie to nieco rozładowało atmosferę. Teraz Lacey przejął pałeczkę.

– Kto dokładnie do pani zadzwonił? Felicja Hart? Czy brat Joela Morgensterna, Dawid? A może ojciec Joela? Żadne z nich się do tego nie przyzna. Zaskoczył mnie.

– Tolliver...? – Nigdy nie rozmawiam z klientami telefonicznie, dopiero gdy docieraliśmy na miejsce zlecenia. Tolliver uważał, że to dodaje mi tajemniczości. Ja, że mnie to drażni.

– To było już jakiś czas temu – mruknął Tolliver. Poszedł do swojej sypialni i wrócił stamtąd z segregatorem pełnym wydruków. Wieczorami siedział długo przy komputerze. Zauważyłam, że stworzył nawet dla naszej firmy „Connelly Lang Recoveries” rodzaj dokumentacji. Przejrzał wszystkie nasze zlecenia od samego początku, umieszczając je w aktach. Na grzbiecie tego segregatora widniała nalepka „Akta spraw 2004”, a wewnątrz, każda pierwsza strona poszczególnego zlecenia (zielona) była zatytułowana „Pierwszy kontakt”. Tolliver przejrzał ją dla odświeżenia pamięci.

– Tak. Starszy pan Morgenstern skontaktował się z nami na prośbę swojej żony, Judy Morgenstern. Pan Morgenstern... – Tolliver wczytywał się w tekst przez kilka minut, a potem opowiedział policjantom, że starszy pan Morgenstern poinformował go o zaginionej wnuczce. – Pan Morgenstern zapytał, czy siostra mogłaby im pomóc w jej odnalezieniu. Gdy wyjaśniłem, czym dokładnie Harper się zajmuje, wściekł się i odłożył słuchawkę. Następnego dnia zadzwoniła szwagierka Joela.

– Felicja Hart? Tolliver sprawdził nazwisko, zupełnie niepotrzebnie zresztą.

– Tak, właśnie ta osoba się ze mną skontaktowała – potwierdził z twarzą pozbawioną wyrazu. Celowo przybrał taką minę. – Powiedziała, że nikt nie chce spojrzeć prawdzie w oczy, ale ona jest pewna, że bratanica już nie żyje. Chciała, żeby Harper podjęła próbę odnalezienia ciała. Uważała, że to pomoże rodzinie pogodzić się ze stratą.

– I co pan wtedy pomyślał?

– Że prawdopodobnie ma rację.

– A pani? Czy często się zdarza, że rodziny tak chętnie przyznają się do myśli, że ich bliski nie żyje? – Young skierowała to pytanie do mnie. Jak się wydawało, pytała z czystej ciekawości.

– Może to panią zdziwi, ale tak. Dzwonią do mnie po dłuższym czasie i wtedy faktycznie większość z ich bliskich już nie żyje. Muszą odzyskiwać choć trochę równowagi i kontaktu z rzeczywistością, skoro przychodzi im do głowy, żeby mnie za – i trudnić, wiedząc, czym się zajmuję. Bo robię dokładnie to – odnajduję zwłoki. Jeśli ktoś uważa, że poszukiwana osoba żyje, nie jestem mu potrzebna. Wtedy wynajmuje psy lub prywatnego detektywa. To logiczne. Policjanci nie wyglądali na wstrząśniętych. Sądziłam, że trzeba dużo więcej, by zaszokować pracowników wydziału zabójstw. Ale ich spojrzenia stwardniały.

– Oczywiście, rodziny, które spotyka taka tragedia, nie kierują się zbyt logiką – wtrącił Tolliver.

– To prawda – potwierdziłam, widząc, że Tolliver stara się złagodzić nieco moje słowa.

– Nie rusza to pani? – wyrwało się Young. Pochylona, wsparta łokciami na kolanach, ze splecionymi rękoma, wpatrywała się we mnie intensywnie. Nie było to łatwe pytanie.

– Odczuwam różne emocje, znajdując ciało. – Starłam się mówić szczerze. – Jestem zadowolona, gdy mi się uda, mam wtedy poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

– A potem dostaje pani pieniądze – stwierdził Lacey niemal ostro.

– Tak, cieszę się, gdy dostaję zapłatę – odparłam. – Nie mam się czego wstydzić. Świadczę usługi za pieniądze. I przy okazji mogę ulżyć zmarłym. – Rozmówcy patrzyli na mnie bezmyślnie. – Oni chcą być odnalezieni.

Wydawało mi się to oczywiste. Im, sądząc po minach, jednak nie.

– Wydaje się pani zupełnie normalna, a potem nagle wyskakuje pani z jakimś szaleństwem – mruknęła Young, a jej partner błyskawicznie przywołał ją do porządku ostrzegawczym spojrzeniem.

– Proszę wybaczyć – rzekła oficjalnym tonem. – Ciężko mi uwierzyć nawet w to, że w ogóle rozmawiam z kimś na taki temat. To wszystko wydaje mi się dość... osobliwe.

– Jestem przyzwyczajona do takich reakcji – stwierdziłam rzeczowo.

– Tak, wierzę.

– Pójdziemy już – oznajmił Lacey, machinalnie przesuwając dłonią po włosach, jakby polerował ulubioną ozdobę. – Jeszcze tylko jedno. Oboje z Tolliverem popatrzyliśmy na niego uważnie. Brat położył mi rękę na ramieniu i lekko ścisnął. Nie było to konieczne, sama wiedziałam, że teraz padnie najważniejsze pytanie.

– Czy od wyjazdu z Nashville rozmawialiście państwo z kimś z rodziny Morgensternów? Może przez telefon? Nie musiałam się nawet zastanawiać.

– Nie – odrzekłam i spojrzałam na Tollivera pewna, że powie to samo.

– Tak, rozmawiałem kilkakrotnie z Felicją Hart – oświadczył. Z trudem opanowałam się na tyle, by nie zdradzić zaskoczenia.

– A więc rozmawiał pan z Felicją Hart więcej na ten jeden raz, gdy poprosiła państwa o przyjazd do Nashville?

– Owszem. Zamorduję go, jak tylko wyjdą.

– Jakiego rodzaju rozmowy prowadziliście?

– Osobiste – odpowiedział Tolliver spokojnie.

– Czyli to prawda, że miał pan z romans z Felicją Hart.

– Nie.

– Więc dlaczego dzwoniliście do siebie?

– Spaliśmy ze sobą. Dzwoniła potem do mnie kilka razy. Czułam, że dłonie zaczynają zaciskać mi się w pięści. Z trudem rozprostowałam palce i przybrałam obojętną minę. Jeśli moja twarz przy okazji była nieruchoma i napięta, to cóż, nie mogłam nic na to poradzić. W każdym razie bardzo się starałam.

Tolliver cieszył się dużym powodzeniem i choć nigdy o tym nie rozmawialiśmy, chyba lubił seks, sądząc z tego, jak chętnie wykorzystywał każdą nadarzącą się ku temu okazję. Ja też nie unikałam miłości fizycznej, ale byłam bardziej wybredna jeśli chodzi o wybór partnerów. Z tego, co wiedziałam, Tolliver postrzegał seks jako rodzaj sportu, który można uprawiać drużynowo, z nieograniczoną liczbą osób w zespole. Ja miałam do tego bardziej osobiste podejście. Podczas miłości fizycznej trzeba odsłonić się przed drugą osobą. Niechętnie odsłaniałam się przed innymi – i dosłownie, i w przenośni.

Ale może to jego podejście było bardziej powszechne.

– Więc o czym chciała z panem rozmawiać? – zapytała Young, wpatrując się w Tollivera przymrużonymi oczyma. Nie podobało mi się to spojrzenie. Wyglądało tak, jakby uważała, że Tolliver ma coś na sumieniu.

– Potrzebowała sobie ulżyć, wygadać się komuś. Przejmowała się nastrojami w rodzinie, zniknięciem Tabity, martwiła się, że Wiktor tak bardzo to wszystko przeżywa – wyjaśnił Tolliver gładko. Kłamiesz, pomyślałam. Spuściłam głowę w obawie, że policjanci wyczytają to z mojej twarzy. Myślałam nawet, czy nie zacząć się dziwnie zachowywać, tak, by skonsternowani policjanci szybciej wyszli, ale byłam wściekła na Tollivera. Niech sobie sam radzi, jak wybrnąć z tej kabały.

– I co mówiła?

– Dokładnie nie pamiętam. – Wzruszył ramionami. – To było dawno temu i nie słuchałem jej zbyt uważnie. – Uświadomił sobie, że zabrzmiało to trochę nieelegancko, więc postarał się zatrzeć to wrażenie. – Nie wiedziałem, że przyjdzie mi to komuś powtarzać. Martwiła się nie tylko o Wiktora, ale też o Dianę, Joela i swoich rodziców. Nawet jeśli w pewnym sensie przestali być teściami Joela, to była ich wnuczka. I... hm. Wspominała, że dzieciaki w szkole rzucają oskarżenia, że Wiktor miał coś wspólnego ze zniknięciem siostry. Ponoć skarżył się wcześniej, że ojciec faworyzuje Tabitę, bo to córka Diany.

– Co pan odpowiedział?

– W zasadzie nic konkretnego. To nie były moje problemy, nie znałem ludzi, o których opowiadała. Miałem wrażenie, że po prostu chciała się wyzalić komuś z zewnątrz, a ja przypadkiem byłem wtedy pod ręką.

– Czy namawiała pana na powrót do Nashville?

– Nie było takiej możliwości. Mamy napięty grafik, a każdą wolną chwilę staramy się spędzać w naszym mieszkaniu w St. Louis. Przez większość roku jesteśmy w trasie.

– Macie aż tyle zleceń? – zdziwiła się Young.

Skinęłam głową. – Jesteśmy niemal bez przerwy zajęci – potwierdziłam. Zauważyłam, że uchylił się od odpowiedzi, ale nie zamierzałam mu tego teraz wytykać. Chciałam, żeby policjanci jak najszybciej wyszli Lacey i Young wymienili spojrzenia. Potrafili porozumieć się wzrokiem. Wydawało się, że ten mężczyzna w średnim wieku i młodsza od niego kobieta są dobrymi partnerami. Może podczas wcześniejszej współpracy odkryli pokrewieństwo duchowe i teraz pracowało ono na ich korzyść. Sądziłam, przynajmniej aż do teraz, że coś podobnego łączy mnie i Tollivera.

– Możliwe, że będziemy mieć do państwa jeszcze kilka pytań. – Śledczy Lacey starał się, by zabrzmiało to lekko, jakby każde kolejne pytanie miało dotyczyć błahostek – nic wielkiego, bez nerwów, nie ma się czego obawiać, wszystko jest w porządku.

– A więc zostajecie tutaj? – Young wskazała na podłogę, precyzując, że chodzi jej o pobyt w tym

konkretnym hotelu. Oczywiście podtekst był jasny: „Nie wyjeżdżać z miasta”.

– Tak sędzę – odparłam.

– Z pewnością będziecie chcieli iść na pogrzeb? – drążyła, jakby jakaś myśl właśnie przyszła jej do głowy.

– Nie – zaprzeczyłam. Przechyliła głowę, jakby myślała, że się przesłyszała.

– Proszę?

– Nie chodzę na pogrzeby – wyjaśniłam.

– Nigdy? – Nigdy.

– A pogrzeb matki? Słyszałam, że zmarła w zeszłym roku. Ach, więc wykonali kilka telefonów.

– Nie byłam na nim. – Nie chciałam znów czuć jej obecności, już nigdy, nawet zza grobu. – Do widzenia – powiedziałam z uśmiechem. Wydawali się nieco zbici z tropu. Tym razem spojrzeli po sobie niepewnie.

– Proszę zostać w mieście, dopóki się z państwem nie skontaktujemy – rzekła Young, zakładając kosmyk za ucho ruchem dziwnie przypominającym wcześniejszy gest partnera.

– Myślałam, że już to ustaliliśmy – odezwałam się słodko.

– Oczywiście, nigdzie się stąd nie ruszymy – zapewnił ich Tolliver bez śladu ironii w głosie.

Milczenie, które nastąpiło po wyjściu policji było najbardziej wymownym milczeniem, jakiego kiedykolwiek doświadczyliśmy w swoim towarzystwie. Nie miałam nawet ochoty patrzeć na brata, a co dopiero z nim rozmawiać. Staliśmy bez ruchu, aż w końcu to ja zrejterowałam. Warknęłam ze złością, odwróciłam się na pięcie i wymaszerowałam do swojej sypialni, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Sekundę później do pokoju wpadł Tolliver.

– No, to co miałem według ciebie zrobić? Wolałabyś, żebym skłamał? Rzuciłam się na łóżko. Tolliver wolał stać nade mną, podpierając się pod boki.

– Wiesz, wolałabym, żebyś nic nie musiał mówić. – Walczyłam, żeby zachować spokój, ale poddałam się szybko. Skoczyłam na równe nogi i spojrzałam na niego gniewnie. – Wolałabym, żebyś w ogóle nie musiał dzisiaj odpowiadać na to pytanie! A najbardziej wolałabym, żebyś kilka miesięcy temu wykazał się większą dyskrecją i rozsądkiem! Co ty sobie w ogóle myślałeś? I czy w ten proces był zaangażowany także twój mózg?

– Wyluzuj, musisz tak na mnie najeżdżać? – Tak! Muszę! Jedna, druga kelnerka... cóż, to obrzydliwe, ale w porządku. Jakaś podrywka w barze, nie ma sprawy. Każdy ma swoje potrzeby. Ale romans z klientką? Osobą związaną ze zleceniem? Przegiąłeś, Tolliver. Potrafisz w ogóle myśleć czym innym niż rozporkiem?! Tolliver wiedział, że mam rację, co tylko potęgowało jego wściekłość.

– To zwykła podrywka. Laska nie należała nawet do rodziny, a przynajmniej nie do tej najbliższej!

– Podrywka! To kobieta, a nie oprawka do dziury! Tak do tego podchodzisz? A co ze świadomym wyborem partnera? A co z refleksją „Czy to z tą kobietą chcę mieć dzieci” przed pójściem do łóżka? Bo z tym właśnie wiąże się seks, Tolliverze!

– O tym myślałaś, bzykając się z tym gliną w Sarnę? Czy chcesz mieć jego dzieci?

Cisza, która zapadła po tym stwierdzeniu miała inny wydźwięk niż poprzednio.

– Słuchaj... Przykro mi. Nie powinienem był tego mówić, – Jego gniew wyparował.

– A ja nie jestem pewna, czy jest mi przykro. Wiesz, że źle zrobiłeś. Nie możesz po prostu się do tego przyznać? Musisz się wykręcać?

– A ty musisz to tak drażnić?

– Tak. Bo to nie tylko twoja prywatna sprawa. Tu chodzi o interesy. Nigdy wcześniej tak nie postąpiłeś. No, przynajmniej z tego, co wiem.

– To nie Felicja nam płaciła. Nie jest tak naprawdę członkiem rodziny.

– Ale jednak.

– Tak, tak – ustąpił w końcu. – Masz rację. Była powiązana z tą sprawą. Źle zrobiłem. – Na jego twarzy pojawił się ten szczególny, promienny uśmiech, na który niemal odpowiedziałam. Niemal. – Ale ostro się do mnie przystawiała, a ja chyba byłem zbyt słaby, by się oprzeć. Była chętna, ładna, nie widziałem żadnych przeciwwskazań, więc pomyślałem: czemu nie? Pomimo wysiłków nie potrafiłam znaleźć na to odpowiedzi. Bo właściwie, czemu nie? Właśnie temu – bo tym razem życie erotyczne Tollivera odbije nam się czkawką. Nasza sytuacja wyglądała teraz jeszcze gorzej niż przedtem. I to dużo gorzej. Tolliver podszedł i przytulił mnie.

– Przepraszam – powiedział szczerze. Oddałam uścisk, wdychając znajomy zapach, opierając policzek na jego piersi. Staliśmy tak dłuższą chwilę, obserwując taniec drobinek kurzu w promieniach słońca. Wreszcie odsunęliśmy się od siebie.

– Wiesz, o co policja powinna cię zapytać? Kto zadzwonił do ciebie w sprawie pokazu na cmentarzu – zauważyłam.

– Doktor Nunley. I owszem, Lacey zapytał mnie o to na posterunku.

– Czy Nunley wspomniał, kto go do tego namówił? Czy może odniosłeś wrażenie, że to jego pomysł? – Wróciłam do saloniku po coś do picia. Zamyślony Tolliver podążył za mną.

– Raczej nie. Ktoś musiał mu zwrócić na ciebie uwagę, bo zadawał mnóstwo pytań. Gdyby sam wpadł na ten pomysł, wiedziałby o tobie więcej.

– No dobrze, więc musimy z nim porozmawiać. – Doskonale zrozumiałam grymas Tollivera. – Tak, masz rację. To dupek.

Tolliver wyjął z kieszeni komórkę i kilka świstków. Zawsze nosił po kieszeniach mnóstwo karteluszków i gdyby sam nie robił sobie prania, musiałabym przegrzebywać ciągle jego ubrania. W końcu odnalazł właściwą karteczkę i wystukał numer. Czekał aż ktoś odbierze, a gdy usłyszał sygnał sekretarki, nagrał wiadomość.

– Dzień dobry, doktorze, tu Tolliver Lang – zaczął żywo. – Chcielibyśmy z panem porozmawiać. Chcemy wyjaśnić kilka spraw związanych z wczorajszym odkryciem. Proszę oddzwonić.

– Będzie myślał, że chodzi nam o pieniądze. Tolliver zastanowił się przez moment.

– Tak, dlatego się odezwie. Pomyśl, jak nam nie zapłaci, wyjdziemy z tego z niczym. Zaczynam się cieszyć na tę nagrodę od Morgensternów.

– Wiesz, wolałabym na nią nie zasłużyć. Poklepał mnie po plecach. Wiedział, co miałam na myśli. Oczywiście, nie wątpił też, że weźmiemy te pieniądze. Zarobiliśmy je uczciwie.

– Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że zostaliśmy w to wciągnięci – kontynuowałam. – Mam tylko nadzieję, że to nie jest przypadek z trzynastoma czarnymi kotami przechodzącymi pod drabiną, by zbić lustro. Boję się, żeby nie spadła na nas czyjaś wina.

– Nie ma mowy, nie pozwolę na to – zapewnił Tolliver. – Wiem, że schrzaniłem, ale teraz zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby nie wiązano nas z tym morderstwem. Możemy dowieść, że nie mieliśmy z tym nic wspólnego, to proste, skoro to prawda. Właściwie, kiedy dokładnie Tabita zniknęła? – Sprawdziliśmy w Internecie, a Tolliver porównał daty ze swoimi aktami. Komputery to niebiański wynalazek. – Byliśmy wtedy w Schenectady – oświadczył z ulgą.

– To wystarczająco daleko – roześmiałam się. – Cieszę się, że prowadzisz dokładną dokumentację. Mamy jakieś rachunki na potwierdzenie?

– Tak, w teczce, w mieszkaniu.

– Na szczęście masz coś więcej niż ładną buźkę. – Ujęłam jego twarz w dłonie i pocałowałam go w policzek. Ale, niestety, radość trwała krótko. – Kto mógł to zrobić? Zabić dziewczynkę i pogrzebać ją tutaj? Możliwe, żeby w jednej sprawie było aż tyle zbiegów okoliczności? Potrząsnął głową.

– Nie wierzę w takie przypadki.

– Oboje wiemy, że taki hurtowy zbieg okoliczności jest mało prawdopodobny, ale ciężko mi sobie wyobrazić, żeby ktoś uknuł tak skomplikowaną intrygę.

– Mnie także.

Jakby ta sprawa była za mało dziwaczna, spotkaliśmy Xyldę Bernardo. Właśnie skończyliśmy jeść lunch. Nie był to najprzyjemniejszy posiłek w moim życiu. Przyłączył się do nas Art. Nie dość, że jadał zupełnie inne potrawy (preferował konkretny lunch, my raczej lekki), to lubił omawiać przy jedzeniu sprawy zawodowe. Wszystko to razem wzięte nie było zbyt miłe. Art postanowił wracać do Atlanty. Nic więcej nie mógł dla nas zrobić na miejscu. O ile zdołał to sprawdzić, policja nie zamierzała nas na razie o nic oskarżyć. A sprawdził dość dokładnie – zadzwonił do wszystkich osób

powiązanych z wymiarem sprawiedliwości, które znał w Memphis. I tak cała sprawa kosztowała nas już majątek – Art latał tylko pierwszą klasą, mieszkał w luksusowym hotelu, strasznie dużo dzwonił, no i wystąpił na konferencji prasowej. Ale ryzyko było za duże, żeby go tu nie ściągnąć. Nasz prawnik pochłaniał wielką sałatkę, pieczywo czosnkowe oraz ravioli z jagnięcina. Ja i Tolliver zadowoliliśmy się zupą i małą sałatką. Obserwując jak Art łyka wielkie kęsy chleba, usiłowałam sobie przypomnieć lekcje pierwszej pomocy. Art objaśnił nam, czego możemy się spodziewać.

– Prawdopodobnie będziecie musieli odtworzyć trasę od wyjazdu z Nashville. Zerknęłam na Tollivera i kiwnęliśmy głowami. Nie będzie z tym problemu. Przez kilka lat podróżywania nauczyliśmy się zachowywać każdy najdrobniejszy rachunek, każde potwierdzenie zapłaty kartą i rozmaite inne świstki. Przez ostatni rok byliśmy szczególnie skrupulatni. Na tylnym siedzeniu woziliśmy tekturową teczkę na papiery, żeby zawsze była pod ręką. No i wszystko zapisywaliśmy w laptopie. Regularnie wysyłaliśmy rachunki do Sandy Dierdoff – naszej księgowej z St. Louis. Sandy, pulchna blondynka po czterdziestce, tylko uniosła brwi i roześmiała się na wiadomość, jak zarabiamy na chleb. Spodobał jej się chyba nasz nietypowy styl życia. Podczas spotkań chętnie dawała nam dużo praktycznych porad dotyczących finansów. Artowi nie przyszłoby do głowy dzielić się wiedzą ze swoimi klientami. Sandy wysłała nam już maila z pytaniem o datę naszego corocznego spotkania; zima zbliżała się wielkimi krokami.

Żegnając się z Artem, myślałam o Sandy i przy okazji o naszym mieszkaniu w St. Louis. Oboje przyjęliśmy wyjazd prawnika z ulgą. Art co prawda był dumny, że nas reprezentuje – zupełnie jakbyśmy byli ludźmi show biznesu – ale jednocześnie nie czuł się z nami zupełnie swobodnie sam na sam.

Po jego wyjściu obsługa sprzątnęła naczynia, a ja zapytałam Tollivera, czy nie moglibyśmy wyjść na spacer. Nie wybaczyłam mu, co prawda, tej pomyłki w ocenie sytuacji, ale chciałam odsunąć myśli o tym na bok, dopóki się nie uspokoję. Wspólna przechadzka pomogłaby nam zapomnieć o sprzeczce. Tolliver kręcił głową, zanim jeszcze skończyłam mówić.

– Pomyśl, co się działo dzisiaj na siłowni – przypomniał. – Wiem, że nie chcesz tkwić cały czas w tym hotelu, ale jak gdzieś wyjdziemy, zaraz ktoś nas namierzy i zacznie nagabywać.

Zadzwoiłam do recepcji z pytaniem, czy dziennikarze nadal czają się przed hotelem. Recepcjonista odparł, że nie jest pewny, ale wydaje mu się, że mogą siedzieć w kafejce po drugiej stronie ulicy. Odłożyłam słuchawkę.

– Cholera – podsumowałam.

– A może założymy ciemne okulary, jakieś czapki i pójdziemy do kina? – zaproponował. Odszukał dodatek informacyjny dołączany do gazety, którą dostaliśmy dzisiaj rano i sprawdził repertuar kin. Uświadomiłam sobie, że patrzę na własne zdjęcie umieszczone na pierwszej stronie Metra. Celowo nie zajrzałam rano do środka. Ze szpalty spoglądała na mnie kobieta chuda, ciemnowłosa, z głęboko

osadzonymi oczyma, wyprostowana, z zaplecionymi na piersi rękami. Zauważyłam z niepokojem, że na zdjęciu wyglądam na więcej niż dwadzieścia cztery lata. Stojący obok Tolliver był wyższy ode mnie, masywniejszy i miał ciemniejszą karnację.

Ale oboje sprawialiśmy wrażenie zagubionych. Wyglądaliśmy jak uchodźcy ze środkowej Europy, którzy porzuciwszy cały swój dobytek, uciekli przed jakimiś prześladowaniami.

– Chcesz poczytać? – Tolliver wyciągnął gazetę w moją stronę. Wiedział, że nie przepadałam za czytaniem artykułów o nas, ale widać pomyślał, że tym razem mam na to ochotę, skoro wpatruję się tak intensywnie w pierwszą stronę.

Uniosłam rękę w geście odmowy.

Podał mi więc tylko stronę z repertuarem kin. Zaczęłam przeglądać tytuły. Oboje lubiliśmy kino akcji, science fiction oraz filmy o szczęśliwych rodzinach. Jeśli groziło im jakieś niebezpieczeństwo, oczekiwaliśmy zawsze, że uda im się wyjść z tego bez szwanku i może uśmiercą przy okazji kilku typków spod ciemnej gwiazdy. Nie znosiliśmy filmów o nieszczęśliwych ludziach, którzy stają się jeszcze bardziej nieszczęśliwi, nawet jeśli bohaterowie takich dramatów byli zwykle wspaniali. Nie cierpieliśmy także melodramatycznych romansideł. No i filmów zagranicznych. Nie potrzebowałam chodzić do kina, aby zgłębić naturę ludzką czy sens życia. Wystarczyło mi to, co o tym wiedziałam sama.

Bez trudu znalazłam odpowiedni film, co raczej nie było zaskoczeniem, biorąc pod uwagę nasze wymagania.

Założyłam wełnianą czapkę, kurtkę oraz okulary. Tolliver też się mocno okutał. Poprosiliśmy odzwiernego o wezwanie taksówki. Całe szczęście trafił nam się kierowca milczek. Dobrze prowadził i zawiózł nas pod multiplex na tyle wcześnie, że zdążyliśmy kupić bilety i wejść na salę przed samą projekcją.

Uwielbiam multipleksy. Zapewniają anonimowość i oferują tyle możliwości. Lubię obserwować nastoletnich sprzątaczy w jaskrawych koszulkach i śmiesznych czapczkach. Tolliver pracował raz w takim kinie, w Texarkanie. Przemyczał mnie na ciemne sale, gdzie mogłam posiedzieć spokojnie, zapominając o tym, co czeka na mnie w domu.

Byłam przeszczeniwa, kiedy zaczęły się zwiastuny. Siedzieliśmy, podając sobie popcorn (bez masła, słabo solony).

Zadowoleni oglądaliśmy historię ślicznej lekarki sądowej w opałach, wiedząc, że w końcu wyjdzie z opresji cała i zdrowa (mniej lub bardziej). Szturchaliśmy się znacząco, gdy miała poważne problemy z określeniem przyczyny śmierci przystojnego denata.

– Ty załatwiłabyś to w sekundę – szepnął Tolliver tak cicho, żebym tylko ja mogła go usłyszeć. Sala nie była szczególnie wypełniona, jak zwykle podczas popołudniowych seansów w dni powszednie. Nikt nie rozmawiał głośno, żadne dziecko nie płakało, więc dobrze się bawiliśmy. Gdy film się skończył – przestępca został zabity na kilka sposobów, zanim ostatecznie przestał uciekać – wyszliśmy z kina, wymieniając uwagi na temat efektów specjalnych i dywagując na temat dalszych losów bohaterów.

Uwielbialiśmy to robić. „Jak potoczy się ich życie po zakończeniu filmu?”

– Wróci do pracy, nawet jeśli się zarzekała – powiedziałam. – Umarłaby z nudów w domu po tych pościgach i strzelaninach. Nie jest typem kury domowej, w końcu rąbnęła tego gościa żelazkiem w głowę.

– Nieee, myślę, że wyjdzie za glinę, zostanie w domu i poświęci się gotowaniu rodzinie obiadków. Nigdy już nie zamówi chińszczyzny na wynos. Pamiętasz? Zdarła to menu ze ściany koło telefonu.

– Pewnie zaczniesz po prostu zamawiać pizzę.

Tolliver roześmiał się i wyłowił z kieszeni paragon za poprzedni kurs, na którym znajdował się numer korporacji taksówkowej. Nagle ktoś chwycił mnie za ramię. Powiedzieć, że się przestraszyłam, to mało. Odwróciłam się i spojrzałam prosto w twarz kobiety, która mnie trzymała.

Miała na sobie obszerny płaszcz w krzykliwą kratę. Ufarbowane na rudo włosy podpięła z boku, tak że wolno puszczane końce opadały jej kaskadą loków na ramię. Szminka wychodziła poza naturalny kontur ust, a kolczyki przypominały kryształowe żyrandole skrzące się w popołudniowym słońcu. Tolliver wykonał błyskawiczny zwrot, odruchowo kierując rękę ku jej gardłu.

– Muszę z tobą porozmawiać – wydyszała nieprzytomnie.

– Witaj, Xyldo. – Staralam się mówić uspokajająco, tak jak należy zwracać się do bardzo zdenerwowanych osób.

– Xylda. – Tolliver prawie warknął. Był gotów zaatakować i nagle musiał się błyskawicznie opanować.

Wcisnął telefon do kieszeni, wkładając w ten gest więcej siły niż było to konieczne. – Co możemy dla ciebie zrobić? Skąd się tu wzięłaś?

– Znajdujesz się w niebezpieczeństwie – wyrzuciła z siebie. – Straszliwym niebezpieczeństwie. Musiałam cię ostrzec. Jesteś taka młoda, kochanieńka. Nie wiesz, jak okrutny może być ten świat. W

rzeczy samej, wiedziałam. Nawet lepiej niż bym chciała.

– Jesteśmy młodzi, Xylde, ale znamy życie. – Usiłowałam mówić łagodnie. – Tam jest restauracja. Wejdziemy na filiżankę czekolady lub kawy? Może mają herbatę?

– Tak, świetny pomysł. – Xylde różniła się ode mnie w każdym calu. Była niższa, zwalista i o jakieś trzydzieści lat starsza. Siedziała w jasnowidztwie odkąd rzuciła prostytutkę, która była jej pierwszym zawodem. Xylde była od roku wdową. Śmierć Roberta, który był jednocześnie jej menedżerem, wytrąciła ją z równowagi. Nie wiedziałam, jak sobie bez niego radzi. Potrzebowała, by ktoś kierował zarówno nią, jak i jej sprawami. Osobiście nie zatrudniłabym jasnowidza z taką aparycją, ale może przeceniałam ludzi. Taki sposób bycia oraz strój utwierdzał niektórych klientów w przekonaniu, że mają do czynienia z prawdziwym jasnowidzem. Miałam na ten temat własne zdanie. Znałam wielu jasnowidzów, prawdziwych i oszustów. Jedni i drudzy byli niestabilni emocjonalnie lub autentycznie chorzy umysłowo. Za tego rodzaju talent płaci się wysoką cenę. To raczej przekleństwo niż dar.

Spotkałam tylko dwóch jasnowidzów, którzy wiedli w miarę normalne życie, ale to wyjątki. I oczywiście, Xylde się do nich nie zaliczała. Zrezygnowany, posępny Tolliver poprowadził Xyldę do kawiarni, gdzie pomógł jej zdjąć ohydne płaszczysko. Gdy poszedł zamówić coś do picia, ja usadziłam ją przy stoliczku tak daleko od innych gości, jak było to możliwe w tym małym lokalu. Westchnęłam i postarałam się przywołać na twarz pełen zrozumienia uśmiech.

Xylde ścisnęła moją rękę, a ja zagryzłam wargę, starając się jej nie wyrwać. Nie przepadam za przypadkowym kontaktem fizycznym, a ona dotknęła mnie już po raz drugi. Ale powtarzałam sobie w myśli, że kobieta musi mieć powód, aby się tak zachowywać. Podczas poprzedniego spotkania Xylde powiedziała mi, że jest dosłownie bombardowana wizjami, które napływają ode mnie. Miała wtedy dobry dzień, Robert jeszcze żył.

– To tak, jakbym oglądała pokaz slajdów w przyspieszonym tempie. Widzę obrazy. Obrazy z życia osoby, którą dotykam. Te z przeszłości, przyszłości, a czasem... – Umilkła i potrząsnęła głową.

– Czy to, co widzisz, się spełnia? – zapytałam wtedy.

– Nie mam jak się tego dowiedzieć. Ale wiem, że wizje mogą się spełnić. Teraz Xylde wpatrywała się we mnie niebieskimi oczami, jakby widziała prawdziwą mnie.

– W czas lodu będziesz szczęśliwa – oświadczyła.

– Świetnie – odpowiedziałam, nie mając pojęcia, o czym mówi. Ale właśnie tak zwykle wygląda rozmowa z Xyldą, o ile można nazwać to rozmową.

– Nie możesz nadal kłamać – rzekła łagodnie. – Przestań. Prawda nikogo nie skrzywdzi.

– Wydawało mi się, że jestem raczej szczerą – zdziwiłam się. Wiele rzeczy można mi zarzucić i zarzuty te będą prawdziwe. Ale nie to.

– Och, jesteś szczerą w mało istotnych kwestiach.

– Czy ktoś z tobą przyjechał do Memphis, Xylde?

– Tak, Manfred.

– Gdzie jest teraz? – Nie wiedziałam, kim jest Manfred, ale uspokoiłam się na myśl, że Xyldą ktoś się opiekuje.

– Parkuje. Nie było miejsca.

– Ach, to dobrze. – Ulżyło mi, gdy usłyszałam tak prozaiczne wyjaśnienie. Tolliver pojawił się przy stoliku, niosąc napoje. Xylde z wdzięcznością przyjęła kawę, która pachniała wanilią. Wsypała do niej kilka torebek cukru i rozmieszała go plastikowym mieszadłem. Ja dostałam zwykłą kawę, a brat wziął sobie czekoladę. – Tolliver, Xylde mówi, że towarzyszy jej Manfred.

Tolliver uniósł brwi. A więc on też nie znał Manfreda. Wzruszyłam ramionami.

– Mówi, że parkuje samochód.

Tolliver wstał i podszedł do okna, a potem zaczął energicznie do kogoś machać.

– To chyba on. – Usiadł przy stoliku. – Już tu idzie. – Uśmiechnął się szeroko.

– To dobry chłopiec – uśmiechnęła się Xylde. Harper, słyszałam, że odnalazłaś ciało córki Morgensternów – nagle zaczęła mówić przytomnie, w pełni świadoma swoich słów.

– Tak.

– Wiesz, że mnie wezwali?

– Naprawdę?

– To nie ten chłopak – powiedziała Xylde. – Było tam dużo emocji. Ale nie seksu.

– Tak? To czemu została zabita?

– Nie wiem. – Xylda skupiła wzrok na filiżance. Właśnie to miałam na myśli, wspominając, że jasnowidze są mało pomocni.

– Ale wiem, że się tego dowiesz. – Xylda spojrzała na mnie ostro. – Mnie przy tym nie będzie, ale ty się dowiesz.

– Wybierasz się gdzieś? Masz zlecenie w innym mieście?

– Tak – odparła zdecydowanie. – Mam zlecenie. Wiesz, mam prawdziwy dar i ludzie od razu to wiedzą, gdy mnie zobaczą.

– Tak, zapewne – przystał Tolliver. W tej chwili podszedł do nas szczupły młodzieniec ubrany całkowicie na czarno. Uznałam, że to Manfred.

– Widziałem, jak was zaskoczyła – powiedział weselo. – Przepraszam. To wy jesteście jej znajomymi? Mówiła, że musi się spotkać tu z przyjaciółmi. Niesamowite. Zdolności parapsychiczne Xyldy przywiodły ją aż tu, pod cinplex. Manfred był właściwie szczupłym chłopcem o wąskich ramionach. Zbliżał się do dwudziestki albo niedawno ją przekroczył. Miał wąską twarz, zaczesane gładko, rozjaśnione włosy, kozią bródkę w tym samym kolorze i przynajmniej jeden tatuaż z boku szyi. Sądząc z ilości przyczepionych w różnych miejscach kolczyków, był fanem piercingu; nosił też całe mnóstwo srebrnych pierścionków. Pasowali do siebie z Xyldą.

– Jestem Tolliver Lang, a to Harper Connelly – przedstawił nas mój brat. – Jesteś krewnym Xyldy?

– To mój wnuk – oznajmiła Xylda dumnie.

Mogłam się założyć, że niewiele babek byłoby w stanie spojrzeć na tak oryginalnie przyozdobioną twarz wnuka, nie krzywiąc się, a co dopiero przedstawić go z taką dumą, jaką słyszałam w głosie Xyldy. Ale za fasadą osobliwego stylu chłopaka kryło się coś więcej, a posiadająca zdolności parapsychiczne babka potrafiła to wyczuć.

Wyjaśniliśmy Manfredowi, że od czasu do czasu stykamy się z Xyldą na gruncie zawodowym.

– Jedliśmy śniadanie, gdy nagle zerwała się i oświadczyła, że musi jechać do Memphis – powiedział Manfred. – Wskoczyliśmy więc do auta i oto jesteśmy. – Wydawał się bardzo zadowolony, że potraktował babkę poważnie i zdążył ją dowieźć na spotkanie, które sama sobie wyznaczyła.

– W takim razie wiesz, że znaleźliśmy ciało – zwróciłam się do kobiety, która zdążyła wypić

swoją kawę, zanim my zdążyliśmy spróbować naszych napojów.

– Tak, wiedziałam też, że zostanie odnalezione na cmentarzu – rzekła Xylida. – Nie byłam tylko pewna, na którym. Cieszę się, że ci się udało. Jej dusza odeszła już tak dawno.

– Zginęła zaraz po uprowadzeniu? – zapytałam.

– Nie. Żyła jeszcze kilka godzin. Ale nie więcej. Ulżyło mi, gdy potwierdziła moje przypuszczenia.

– Tak sądziłam. Dziękuję, że mi powiedziałaś. – Przez chwilę zastanawiałam, czy nie podzielić się tym skrawkiem informacji z policją lub Morgensternami, ale uznałam, że to zły pomysł. Skoro policja nie chciała wierzyć mnie, to tym bardziej nie da wiary słowom Xylidy. Jeśli istniałoby powiedzenie „wyglądać jak jasnowidząca eksdziwka”, Xylida obrazowałaby je idealnie. Policja nie była skłonna wierzyć ani jednemu, ani drugiemu, a każda wypowiedź Xylidy utwierdziłaby ich w przekonaniu, że słusznie postępują.

– Widziałam to. – W tonie Xylidy wyraźnie słychać było nacisk na słowo „widziałam”. Manfred uśmiechnął się do niej, najwyraźniej bardzo dumny z babki. Chłopak ewidentnie nic sobie nie robił z tego, że niemal każda osoba w lokalu obrzucała naszą gromadkę uważnym spojrzeniem. Wydawało mi się to niezwykle, szczególnie biorąc pod uwagę jego wiek. Uzmysłowiłam sobie, że Wiktor jest niemal jego rówieśnikiem. Ciekawe, co ci chłopcy by o sobie pomyśleli? Nie potrafiłam wyobrazić sobie nawet ich spotkania, a co dopiero rozmowy.

– Mignęła ci może w wizjach twarz porywacza? – zapytał Tolliver. Mówił bardzo cicho, niemal szeptem, bo inni goście wyraźnie strzygli uszami w naszą stronę.

– Zrobiono to z miłości – rzekła Xylida. – Z miłości!

Ogarnęła nas niewidzącym wzrokiem i uśmiechnęła się do każdego z nas, a potem oznajmiła Manfredowi, że musi się zdrzemnąć.

– Oczywiście, babciu. – Manfred wstał i odsunął jej krzesło. Rzadki ostatnio widok. Xylida wzięła torebkę i skierowała się ku wyjściu, odprowadzana spojrzeniami gości, którzy ze zdumieniem obserwowali, jak zakłada obszerny kraciasty płaszcz. Manfred pochylił się, by ująć moją dłoń. – Miło było cię poznać. – Nagle wydał mi się starszy niż na to wyglądał. – Jeśli kiedyś będziesz szukała towarzystwa, służę swoim. Spojrzenie, jakim mnie obrzucił wyraźnie mówiło, że bez względu na metrykę jest bez wątpienia dojrzałym fizycznie mężczyzną. Poczułam się nieco skrępowana, ale jednocześnie pochlebił mi jego błysk w oku.

– Będę pamiętała – odpowiedziałam rozbawiona, a Manfred pocałował mnie w rękę. Ze względu na masę dziwnie umiejscowionych kolczyków, gest ten dostarczył mi różnego rodzaju bodźców.

Poczułam na skórze ciepłą wilgoć ust, łaskotanie bródki i wyraźny chłód metalowego sztyftu wklutego w wargę. Nie wiedziałam czy zachichotać, pisnąć, czy westchnąć.

– Pomyśl, jakie mielibyśmy ładne dzieci – zasugerował Manfred. Zdecydowałam się na uśmiech.

– Przesadzasz. Do tych dzieci szło ci całkiem nieźle.

– Zapamiętam. Następnym razem nie popełnię tego samego błędu. Kiedy wyszli, odwróciłam się, by zapytać brata, czy zrozumiał coś z niejasnych wypowiedzi Xyldy. Tolliver wpatrywał się nieprzyjaźnie w plecy Manfreda.

– Och, daj spokój. Tolliver! Jest całe lata świetlne młodszy ode mnie!

– Taaak, może ze trzy ziemskie – fuknął Tolliver i w tym momencie przypomniałam sobie, że brat jest ode mnie starszy o trzy lata. – i zapewne ma ptaka.

– Pewnie ukolczykowanego. Tolliver zerknął na mnie zaskoczony i mimowolnie zachichotał.

– Co byś powiedziała, jakbym sobie zrobił tatuaż i przekłuł brew? – Och, chętnie bym popatrzyła, jak ci to robią. I ciekawe, jaki wybrałbyś wzór tatuażu. – Przez chwilę spoglądałam na Tollivera, próbując wyobrazić go sobie ze srebrnym kółkiem w brwi lub nosie. Nie mogłam powstrzymać wesołości. – I gdzie byś go umieścił.

– Jeśli kiedyś zrobię sobie tatuaż, to w okolicach krzyża. Tak, żeby był zakryty większość czasu.

– Widzę, że już o tym myślałeś?

– Uhm. Trochę.

– Hmm... Wybrałeś wzór? – Tak. – Jaki?

– Błyskawicę. Nie wiedziałam, czy mówi poważnie czy żartuje.

Podczas kursu z położonego na przedmieściach multipleksu do hotelu w centrum, miałam nieco czasu, żeby pomyśleć. Xylida była szalona, ale miała prawdziwy dar. Jeśli powiedziała, że Tabita żyła kilka godzin po uprowadzeniu, wierzyłam jej. Uświadomiłam sobie, że przecież mogłam ją lepiej wypytać. Na przykład, dlaczego porywacz trzymał Tabitę przy życiu te kilka godzin. Czy powód ten miał tło seksualne? Czy może chodziło o coś innego?

– Nie wydaje ci się, że Xylida zachowywała się dzisiaj jeszcze bardziej nienormalnie niż zwykle?
– zapytał Tolliver, jakby jego myśli biegły tym samym torem.

– Owszem. Zaczęłam się nawet zastanawiać, ile ma lat.

– Nie może mieć więcej niż sześćdziesiąt, prawda?

– Powiedziałabym, że mniej, ale dzisiaj...

– Wyglądała zupełnie dobrze.

– O tyle, o ile dobrze może wyglądać Xylida.

– Fakt. Ale jeśli chodzi o sprawność fizyczną to nie ma problemów.

– Ale umysłowo... Mówiła jeszcze bardziej... mętnie. „W czas lodu będziesz szczęśliwa”. Co to, u diabła, znaczy?

– Tak, to dziwne. I to o szczerości też. Kiwnęłam głową.

– W czas lodu... Ech, wyrażałaby się jakoś bardziej do rzeczy. Mogłaby nam podsunąć przydatne wskazówki. Może to strata Roberta tak fatalnie wpłynęła na jej psychikę? Nie, żeby kiedykolwiek mogła startować na Miss Poczytalności. Dobrze, że przynajmniej ma Manfreda. Chłopak chyba o nią dba i ceni jej zdolności.

– Myślisz, że powinniśmy powiedzieć Morgensternom o tym facecie z San Francisco? Sądzisz, że byliby skłonni skontaktować się z jasnowidzem?

– Nie – odpowiedziałam błyskawicznie. – Tom zawsze coś zmyśla, jeśli nie ma jasnego odczytu.

– Podobnie jak Xyllda.

– Ale ona robi to tylko wtedy, gdy nikomu to nie zaszkodzi. – Tolliver spojrział na mnie, jakby nie widział różnicy. Ciągnęłam dalej: – Na przykład, jeśli jakaś nastolatka w wyniku przegranej zakładu przyjdzie zapytać ją, czy będzie w życiu szczęśliwa. Wtedy Xyllda coś wymyśli, żeby dziewczyna wyszła spokojna i zadowolona. Coś takiego nie przyniesie żadnych szkód. Ale jeśli jej odpowiedź jest istotna, jeśli klient traktuje ją serio, nie powie nigdy czegoś w rodzaju: „Twój zaginiony syn żyje”, jak nie będzie miała prawdziwej wizji. Tom zawsze odpowiada, bez względu na okoliczności i czy faktycznie coś widział. Jeśli nie, to coś zmyśli.

– Dobrze, w takim razie nie będę go polecał – stwierdził Tolliver nieco urażony. – Chciałem im jakoś pomóc, ale chyba jedyne, co przyniesie im ulgę, to wykrycie sprawcy. Oczywiście, o ile to nie któreś z nich.

– Wiem – rzekłam nieco zdziwiona jego irytacją.

– Czego się dowiedziałaś? Wczoraj, gdy stałaś na grobie? Nie miałam ochoty do tego wracać. Ale gdy pomyślałam o rozpaczach Morgensternów i o atmosferze podejrzeń, która ich otaczała, wiedziałam, że znów będę musiała odwiedzić Tabitę.

– Możemy pójść tam znowu, chcesz? – zaproponowałam. – Wiem, że w grobie nie będzie już jej szczątków, ale może uda się czegoś dowiedzieć. Tolliver nigdy nie kwestionował mojej fachowej opinii.

– W takim razie pojedziemy. Może wieczorem? Wykorzystamy to, że nikt nas nie śledzi. Nie możemy jechać tam taksówką, Przyznałam mu rację, szczególnie że we wstecznym lusterku pochwyciłam ciekawskie spojrzenie kierowcy.

– Wskoczmy na Beale? – zapytał Tolliver. – Fajnie byłoby posłuchać muzyki przed kolacją.

Zerknęłam na zegarek. Mało prawdopodobne, żeby o piątej po południu grała jakaś dobra kapela bluesowa.

– Wiesz, może idź sam – zaproponowałam. – Ja wrócę do hotelu i trochę się zdrzemnę.

Tolliver wyskoczył przy B. B. King's Blues Club, na słynnej Beale Street, powtarzając taksówkarzowi, gdzie ma mnie wysadzić. Kierowca skrzywił się lekko.

– Jasne, jasne, pamiętam – rzucił i podwiózł mnie pod hotel. – Strasznie troskliwy ten pani chłopak – powiedział, gdy płaciłam za kurs. – Nadopiekuńczy facet.

– To mój brat.

– Brat? – Taksówkarz spojrział na mnie z półuśmiechem, jakbym go nabierała.

Jego mina zbiła mnie z tropu tak, że zagapiłam się i zostawiłam mu napiwek. Po wyjściu z auta, nie rozglądając się, ruszyłam prosto do hotelu. Szybko zapłaciłam za ten brak ostrożności.

Po raz drugi tego dnia ktoś chwycił mnie za ramię. Tym razem jednak zaczepił mnie mężczyzna i to rozzłoszczony. Podszedł, gdy wchodziłam do holu i zanim zdążyłam mu się dobrze przyjrzeć, poprowadził mnie do jednego z foteli.

Doktor Nunley był ubrany nieco lepiej niż wczorajszego ranka. W sportowej marynarce i ciemnych spodniach wyglądał jak typowy wykładowca. Tylko jego buty wymagały przecyszczenia.

– Jak to zrobiłaś? – zapytał, wciąż ściskając mnie za ramię.

– Co?

– Zrobiłaś ze mnie głupka. Stałem tuż obok. Ewidencja była zabezpieczona. Sprawdziłem, nikt nie czytał tych dokumentów. Jak to zrobiłaś? Zrobiłaś ze mnie idiotę przed studentami, a potem twój cholerny alfons dzwoni do mnie po kasę.

Zniesmaczona zauważyłam, że Nunley był pijany. Szarpnęłam się w próbie odzyskania wolności. Przestraszył mnie, więc rozzłościłam się jeszcze bardziej.

– Puść mnie i odsuń się – powiedziałam głośno i ostro.

Kątem oka dostrzegłam trzech młodych pracowników hotelu, którzy kręcili się przy recepcji, niepewni, co robić. Ucieszyłam się bardzo, kiedy ktoś podszedł, kładąc rękę na ramieniu Nunleya.

– Proszę puścić tę damę – nakazał mężczyzna, którego widziałam wczoraj na cmentarzu. Jego spokojna, zdecydowana postawa wyraźnie mówiła: „Wiem, co robię i lepiej ze mną nie zadzieraj”

– Co?! – Clyde Nunley, choć zbity z tropu, że ktoś zakłócił mu jego tyradę, nie rozluźnił chwytu. A ja miałam ochotę wczepić się kurczowo w ramię pana studenta. Wtedy już wszyscy trzymalibyśmy się jedno drugiego. Ale i bez tego musieliśmy wyglądać idiotycznie.

– Proszę mnie puścić, doktorze Nunley, albo połamię panu te cholerne paluchy – syknęłam. Podziałało jak zaklęcie. Nunley spojrział na mnie przytomniej, jakbym nagle stała się dla niego realną osobą. Pan student, który nadal trzymał podpitego wykładowcę, uśmiechnął się krzywo. W końcu jeden z pracowników hotelowych – młody mężczyzna o sympatycznej twarzy – wyszedł zza kontuaru

i ruszył ku nam. Starał się iść szybko, ale tak, żeby nie wyglądało, że się spieszy.

– Jakiś problem, pani Connelly?

– Ani słowa – syknął Nunley najwyraźniej przekonany, że zmusi mnie tym do milczenia. Może robiło to wrażenie na dobrze wychowanych dzieciach z dobrych domów, z którymi miał do czynienia na co dzień.

– Owszem – zwróciłam się do młodzieńca, a twarz Nunleya wykrzywił grymas zaskoczenia. Pewnie nie przypuszczał, że na niego poskarżę. Nie wiem, czemu. – Ten mężczyzna zatrzymał mnie, gdy wchodziłam do holu i naprzykrza mi się. Obawiam się, że mógłby mnie uderzyć, gdyby nie ten gentleman. – Oczywiście koloryzowałam, ale doktor Nunley wyraźnie dążył do ostrej konfrontacji, a poza tym, jeśli myślał, że wybaczę mu nazwanie mojego brata alfonssem, to się grubo mylił.

– Zna go pani?

– Nie – odpowiedziałam stanowczo. W pewnym sensie było to prawdą. Bo czy ktokolwiek z nas może powiedzieć, że tak naprawdę zna drugą osobę? No i byłam pewna, że jeśli obsługa hotelowa uzna Nunleya za jakiegoś nagabywacza z ulicy, chętniej mnie wesprze. W chwili, gdy wypowiedziałabym słowa „doktor” i „uczelnia Bingham”, straciłabym częściowo status napastowanej kobiety.

– Chyba powinien pan wyjść – rzekł mój nowy obrońca, pan student. – A ponieważ odnoszę wrażenie, że znajduje się pan w stanie upojenia alkoholowego, na pana miejscu wezwałbym taksówkę. Recepcjonista wskazał drzwi tak uprzejmym gestem, jakby Nunley był gościem honorowym.

– Nasz odźwierny z przyjemnością wezwie dla pana taksówkę – powiedział pogodnie. – Tędy, proszę pana. Nim doktor Nunley oprzytomniał, stał na chodniku przed wejściem, obserwowany bacznie przez dwóch odźwiernych.

– Dziękuję – zwróciłam się do pana studenta. – Nie usłyszałam wczoraj pańskiego nazwiska.

– Rick Goldman.

– Harper Connelly. – Skinęłam głową. Wymieniliśmy uścisk dłoni, choć moja drżała. – Jak to się stało, że znalazł się tu pan w odpowiednim momencie, panie Goldman?

– Rick. „Pan Goldman” sprawia, że czuję się jeszcze starzej. Może usiądziemy i porozmawiamy chwilkę? – Wskazał na dwa duże fotele, których ustawienie – na uboczu i nieco tyłem do wejścia – gwarantowało prywatność podczas konwersacji.

Zawahałam się, ale propozycja kusiła. Nie byłam tak spokojna, na jaką starałam się wyglądać. Nadal się trzęsłam. Zostałam zaskoczona i to w najgorszy możliwy sposób.

– Na minutkę – zgodziłam się ostrożnie i zapadłam w fotel z taką gracją, na jaką mogłam się w tej sytuacji zdobyć. Nie chciałam przed Rickiem Goldmanem pokazać, jaka jestem zdenerwowana. Usiadł naprzeciwko, przywołując na kwadratową twarz obojętny wyraz.

– Jestem wychowankiem Bingham.

To niczego nie wyjaśniało. – Tak? Wiele osób skończyło tę uczelnię, ale nie widzę ich wszystkich tutaj teraz. Więc?

– Przez cztery lata pracowałem w policji memphijskiej. Teraz jestem prywatnym detektywem.

– Ach tak. – Chciałam, żeby skończył już te podchody i przeszedł do sedna.

– Zarząd uczelni jest aktualnie mocno skonfliktowany – oznajmił Rick Goldman. Zaczynało mnie to nudzić. Uniosłam brwi i skinęłam głową, by kontynuował.

– Większość jest liberalna, mniejszość konserwatywna. Ta mniejszość jest zaniepokojona publicznym wizerunkiem Bingham. Gdy dowiedzieli się, czego dotyczy prowadzony przez Nunleya kurs, poprosili, abym przyjrzał się zaproszonym prelegentom.

– I trzymał rękę na pulsie?

– Słuchał, co w trawie piszczy – przyznał. Wydawał się poważnie traktować swoje zadanie. W ogóle sprawiał wrażenie poważnego faceta.

– Nunley nic nie podejrzewał? – zapytałam.

– Zapisalem się na kurs, wniosłem wymagane opłaty – nic nie mógł poradzić na mój udział w zajęciach.

– Ta kobieta w średnim wieku, ona też monitoruje te spotkania?

– Nie, lubi po prostu antropologię, przychodzi na wszystkie zajęcia. Rozważałam przez chwilę jego słowa.

– A więc to przypadek, że znalazł się pan dzisiaj w holu?

– Nie do końca.

– Śledził pan Clyde’a?

– Nie, to nudziarz. Pani jest dużo bardziej interesująca. Niezupełnie wiedziałam, co miał na myśli.

– A więc śledził pan mnie i brata?

– Nie. Ale czekałem tu na panią. Po wczorajszym pokazie mam kilka pytań. Czułam, że jestem mu coś winna za tę interwencję w sprawie Nunleya.

– Słucham więc. – To więcej niż zwykle robiłam. – Jak pani to robi? – Pochylił się, skupiając na mnie wzrok. Gdyby okoliczności były inne, pochlebiałoby mi takie zainteresowanie. Ale podejrzewałam, co jest jego przyczyną, a raczej trudno było ją uznać za coś pochlebnego. Spojrzałam mu w oczy z podobną intensywnością.

– Wie pan, że nie mogłam znać wcześniej odpowiedzi? Jest pan tego pewien, tak?

– Pokumaliście się z Clyde’em? A potem się posprzeczaliście?

– Nie, panie Goldman. Nie pokumałam się z nikim. Swoją drogą, dawno nie słyszałam, żeby ktoś tak mówił. – Odwróciłam wzrok i westchnęłam. – Mam prawdziwe zdolności. Może pan mi nie wierzyć, ale w końcu się pan przekona. Dziękuję raz jeszcze. – Wstałam i skierowałam się do windy. Szłam bardzo powoli, bo nadal czułam się niepewnie – prawa noga zaczęła mi mocno dokuczać – a nie chciałam upaść na środku holu. Nacisnęłam guzik, drzwi się rozsunęły, a ja weszłam do środka. Stojąc tyłem do drzwi, wybrałam pospiesznie przycisk, nie chcąc patrzeć na Goldmana. Było mi głupio, że potrzebowałam pomocy. Gdybym była tak twarda, jak chciałam, sama powaliłabym Nunleya i porządnie go potem skopała. Z drugiej strony, to mogłaby być przesadna reakcja. Uświadomiłam sobie, że uśmiecham się do tylnej ściany windy. Widać jestem tego rodzaju kobietą, która uśmiecha się na myśl o kopaniu leżącego mężczyzny – przynajmniej tego konkretnego.

Powinłam nabrać pewności siebie, chociaż i tak poradziłam sobie całkiem dobrze. Nie zaczęłam krzyczeć czy płakać, nie poniżyłam się w inny sposób. Nie jestem słaba, przekonywałam się w duchu. Po prostu czasem tracę głowę. No i jeszcze te dolegliwości po wypadku... Jedna z nich odezwała się właśnie teraz. Chwycił mnie ból głowy tak potężny, że miałam problemy z wsunięciem plastikowego klucza do szczeliny. W sypialni rzuciłam się do torby z lekami, łyknęłam garść tabletek przeciwbólowych i zzułam buty. Wiedziałam z doświadczenia jak wygodne jest moje łóżko i przypuszczałam, że za dziesięć minut poczuję się lepiej. Obiecałam to sobie solennie. Jednak leki zaczęły działać dopiero po dwudziestu minutach. Ból nieco zelżał, przynajmniej na tyle, że mogłam jasno myśleć. Zagapiłam się w sufit i wspominając zachowanie doktora Nunleya, w końcu zasnęłam. Tolliver obudził mnie kilka godzin później.

– Cześć – przywitał mnie łagodnie. – Jak się czujesz? Recepcjoniści powiedzieli mi, że miałaś problemy z jakimś gościem w holu i że nagle przybył rycerz w ciemnych sztruksach, aby cię

uratować.

– Tak. – Potrzebowałam chwili, aby całkiem oprzytomnieć. Tolliver siedział na skraju materaca. Zapalił tylko światło w mojej łazience i teraz widziałam jedynie zarys jego sylwetki. – Nunley czekał na mnie pod hotelem w nastroju pod tytułem „Jak ty to robisz, ty szatański pomioście?” i tak dalej. No, właściwie nie mówił nic o piekielnych rzeczach. Uważał, że go oszukałam. Ale ponieważ myślał, że jestem hochsztaplerką, był wściekły, że do niego zadzwoniłaś i bardzo wyraźnie to okazywał.

– Zrobił ci krzywdę?

– Nie, chwycił za ramię, to wszystko. Pamiętasz tego faceta z cmentarza? Tego, o którym rozmawialiśmy? On też tam był, czekał w holu na mój powrót. Powstrzymał Nunleya, resztę załatwiła obsługa hotelowa. A potem nasz znajomy powiedział mi kilka ciekawych rzeczy. Tyle złego, że po tym wszystkim strasznie rozboleła mnie głowa, więc wzięłam tabletki i padłam.

– A jak noga?

Obie te dolegliwości występowały często razem. Odwiedziliśmy chyba z dziesięciu lekarzy, a każdy z nich stwierdził – obojętne, czy mówiliśmy im o tej sprawie z odnajdywaniem ciał czy nie – że źródło mojego problemu leży w psychice. „Przypadłości fizyczne, które są efektem porażenia piorunem, ustępują całkowicie w trakcie hospitalizacji” – stwierdził jeden szczególnie napuszony bałwan. – „Nie ma udokumentowanych i opisanych objawów długoterminowych”. Niestety, tego rodzaju kłopoty ze służbą zdrowia były powszechne wśród tych, którzy przeżyli porażenie piorunem. Niewielu lekarzy wie, jak postępować z takimi pacjentami. Sytuacja części ocalałych jest jeszcze poważniejsza – na przykład, jeśli w wyniku wypadku nie mogą podjąć pracy i starają się o odszkodowanie powypadkowe czy rentę z tytułu niezdolności do pracy.

Przynajmniej nie miałam szumu w uszach, na który cierpi tak wiele osób po porażeniu i nie straciłam smaku – kolejny powszechny problem.

– Trochę dokucza – przyznałam, czując niedowład przy próbie uniesienia obu nóg. Podniosła się tylko lewa. Mięśnie prawej jedynie drżały przy próbie wysiłku. Tolliver zaczął masować mi nogę tak, jak robił to często, gdy gorzej się czułam.

– Więc co też takiego interesującego powiedział ci ten facet?

– Jest prywatnym detektywem – zaczęłam, a ręka Tollivera znieruchomiała na sekundę.

– Fatalnie. To znaczy, zależy, o co mu chodzi.

Staralam się przekazać jak najdokładniej wszystko to, co mówił Goldman. Tolliver słuchał

uważnie.

– To chyba nie ma nic wspólnego z nami – rzekł w końcu. – Może sobie nie wierzyć, że masz prawdziwy dar, co nam zależy? Wiele osób myśli podobnie. Po prostu cię nie potrzebował, więc nie wie. A co do zarządu, to też nie nasza sprawa. Dostałaś już honorarium od uczelni. Strasznie marne zresztą. Można się za to upić co najwyżej.

– A więc twoim zdaniem Goldman nam nie zagraża?

– Nie. A niby czemu?

– No, nie wyglądał na rozzłoszczonego czy strapionego – przyznałam. – Ale może sądzić, że oszukaliśmy uczelnię.

– No i co może zrobić? To nie on podpisuje czeki. Zostaliśmy zatrudnieni i wykonaliśmy zlecenie.

Uspokoiłam się trochę co do Ricka Goldmana i postanowiłam nie myśleć więcej o Nunleyu, chociaż zdawałam sobie sprawę, że Tolliver ma ochotę dopaść doktora i odplacić mu za jego zachowanie w stosunku do mnie. Miałam nadzieję, że się już nie spotkają. Na wszelki wypadek postanowiłam zmienić temat i zagadnęłam brata o to, jak spędził czas na Beale Street. Zdając mi relację ze swego wypadu, nie przestawał masować mi łydki. Opowiadał o pogawędce z pewnym barmanem. Rozmawiali o sławnych ludziach, którzy przychodzą do pubu posłuchać bluesa. Nerwy mi trochę odpuściły i śmiałam się, gdy usłyszeliśmy pukanie do drzwi. Tolliver spojrzał na mnie pytająco, ale wzruszyłam ramionami. Nie spodziewałam się żadnych wizyt, W progu stał boy z bukietem kwiatów w wazonie.

– Dla pani Connelly – powiedział. Która kobieta nie lubi dostawać kwiatów?

– Proszę postawić je na stole – poleciłam i zerknęłam znacząco na Tollivera. Kiwnął głową, wyjął portfel i dał boyowi trochę monet. W wazonie pyszniły się lwie paszcze. Nikt nigdy nie dał mi lwich paszcz. Właściwie to chyba nikt nigdy nie przysłał mi kwiatów. Nie licząc jednego czy dwóch kotyliczków, które dostałam jeszcze w liceum. Podzieliłam się tą myślą z Tolliverem. Brat wyjął z bukietu bilecik i podał mi go z obojętną miną.

Na wizytówce było napisane: „Dałaś nam ukojenie”, a pod spodem „Diana i Joel Morgensternowie”.

– Bardzo ładne. – Dotknęłam delikatnie jednego kwiatu.

– Miło ze strony Diany, że o tym pomyślała – zauważył Tolliver.

– Nie, to pomysł Joela.

– Skąd wiesz?

– Joel w typ mężczyzny, który daje kwiaty – rzekłam z przekonaniem – A Diana to typ kobiety, której nigdy nie przysłoby coś takiego do głowy. Tolliver odparł, że to nedorzeczne wyjaśnienie.

– Musisz uwierzyć mi na słowo. Jod to rodzaj faceta, który myśli o kobietach.

– Ja też o nich myślę. Cały czas.

– Nie o to mi chodziło. – Zastanawiałam się, jak ująć to inaczej. – On, patrząc na kobietę, nie myśli, jak ją przelecieć. To nie znaczy, że jest gejem – dodałam pospiesznie, widząc niedowierzanie Tollivera. – On po prostu zastanawia się, co kobieta lubi. – To dalej nie było to, ale już bliżej. – Lubi sprawiać im przyjemność. – Też nie zabrzmiało to idealnie. Zadzwoił telefon i Tolliver podniósł słuchawkę.

– Tak – powiedział. – Witaj, Diano. Harper właśnie dostała kwiaty, mówi, że są prześliczne. Naprawdę, nie musiałaś. Och, to on? Więc przekaz mu podziękowania. – Zrobił głupią minę, a ja zachichotałam. Przez moment w milczeniu słuchał Diany. – Jutro? Nie, nie... Nie chcielibyśmy zakłócać... – Nie wyglądał na zachwyconego. – Ależ nie róbcie sobie kłopotu – opierał się cierpliwie, potem znowu chwilę słuchał. – W takim razie zgoda – ustąpił. – Przyjdziemy. Odłożył słuchawkę i skrzywił się.

– Morgensternowie zapraszają nas jutro do siebie na lunch. Ludzie ciągle przynoszą im coś do jedzenia i sami sobie z tym nie poradzą, a mają wyrzuty sumienia, że przez nich utknęliśmy w Memphis. Będą też inni goście – zapewnił, widząc moją minę. – Odciągną uwagę od nas.

– Dobrze, że choć tyle. Kwiaty, teraz lunch, to nieco za dużo. Czasem można przesadzić także z wdzięcznością. W końcu to był przypadek. Poza tym, dostaniemy nagrodę. Joel o tym wspomniał. Ale i tak powinieneś mnie zapytać, zanim się zgodziłeś. Nie mam ochoty tam iść.

– Ale wiesz, że raczej nie mamy wyjścia.

– Tak, wiem. – Staralam się nie okazywać, że jestem dotknięta. Przyszło mi na myśl, że Tolliver chce się zobaczyć z Felicją.

Tolliver skinął głową, ostatecznie zamykając ten temat. Nie byłam pewna, czy skończyłam narzekać, ale miał rację. Nie było sensu ciągnąć tej rozmowy.

– Dalej chcesz iść na cmentarz? – upewnił się.

– Tak. Zimno jest? – Wstałam i na próbę poruszałam nogą. Było lepiej.

– Robi się coraz chłodniej.

Ubraliśmy się ciepło i zadzwoniliśmy do recepcji, aby przyprowadzono nasz samochód. Kilka minut później byliśmy w drodze na cmentarz. Wieczorne korki nie były tak duże. Ani w Piramidzie, ani w Ellis Auditorium nie odbywały się żadne imprezy. Jechaliśmy na wschód przez slumsy, dzielnicę handlową oraz stare osiedla, aż znaleźliśmy się przy uczelni Bingham. Niewiele osób kręciło się po ulicy; ci, którzy wyszli na zewnątrz, byli okutani jak mumie.

Zaczęłam rozpoznawać okolicę, którą widziałam rankiem poprzedniego dnia. Tym razem nie przejechaliśmy środkiem kampusu. Tolliver objechał go, przedostając się na małą uliczkę leżącą na skraju terenów uczelnianych. Wjazd zagradzał szlaban, ale Tolliver odkrył wczoraj, że roгатka, choć opuszczona, nie jest zabezpieczona.

Tym razem także dała się bez trudu podnieść. Rick Goldman powinien zwrócić uwagę swoim pracodawcom na luki w zabezpieczeniach. Chrząst żwiru pod kołami był wyjątkowo głośny. Minąwszy kawałek otwartego trawiastego terenu, wjechaliśmy w zalesioną część kampusu. Posuwaliśmy się powoli dróżką pomiędzy drzewami, a światła naszego wozu muskały konary i pnie. Wokół panował bezruch. W końcu dotarliśmy do łysiny, na której znajdował się kościół, placyk i dziedziniec. Zaparkowaliśmy przy łańcuchach oddzielających trawnik. Znajdowały się tu dwie wysokie latarnie, jedna za kościołem, druga nieco dalej, z boku. Dawały wystarczająco światła, aby rozlatujące się metalowe ogrodzenie rzucało cień, okrywając cmentarz mrokiem.

– Gdyby to był horror, już byłoby po jednym z nas – rzuciłam. Tolliver nie odpowiedział, ale nie miał najszcześliwszej miny.

– Myślałem, że będzie tu lepsze oświetlenie – zauważył tylko. Sprawdził, czy jesteśmy porządnie pozapinani, czy oboje mamy rękawiczki i latarki. W naszych kieszeniach spoczywały zapasowe baterie.

W kościele nie paliło się żadne światło. Trzaśnięcia drzwiami samochodowymi zabrzmiały w głuchej ciszy jak wystrzały. Tolliver skierował promień latarki na łańcuch, żebym mogła go bezpiecznie przekroczyć. Otworzyliśmy bramkę, która zaskrzypiała głośno, idealnie w horrorowym stylu.

– No, świetnie – skwitował Tolliver. Uśmiechnęłam się pod nosem. W dzień ziemia robiła wrażenie płaskiej powierzchni, ale w nocy szło się po niej z trudem. Przynajmniej ja miałam trudności. Posuwałam się powoli, żeby nie narazić słabszej nogi na uraz. Ale nie poprosiłam Tollivera o pomoc. Postanowiłam, że sobie poradzę.

Od bramki musieliśmy skręcić na południowy wschód. Właśnie tam, w oddalonym zakątku,

znajdował się grób Josiaha Poundstone'a, w którym znalazłam Tabitę. Oczywiście, było to najciemniejsze miejsce na całym cmentarzu.

– Nocą wydaje się większy – zauważył Tolliver niemal szeptem. Już miałam zapytać go, dlaczego szeptem, ale uzmysłowiłam sobie, że ja także nie mówiłam głośno. Gdy zbliżyliśmy się do otwartej mogiły, zaczęłam się zastanawiać, czy wyjęli z niej także biednego Josiaha, a jeśli tak, to co z nim zrobili. W głowie słyszałam coraz głośniejsze buczenie.

– Byliśmy kiedyś na cmentarzu nocą? – zapytałam, usiłując opanować ciarki chodzące mi po plecach. Nie wiem, czemu byłam taka zdenerwowana. W istocie, na cmentarzach zwykle czułam się bardzo ożywiona, pełna energii i radosna.

Na pewno nie było tu nikogo poza nami. Cmentarz okalały z dwóch stron potężne drzewa. Za nim znajdował się kościół, a od frontu parking (także okolony drzewami). Niedaleko przechodziła ruchliwa ulica, ale mimo to już ostatnim razem zauważyłam, że cmentarz leży na uboczu, zupełnie odizolowany od tętniącego życiem kampusu. Nawet ptaki miały na tyle wyczucia, by przycisnąć się i siedzieć cicho.

– Ta para z Wisconsin chciała, żebyś przyszła o północy na cmentarz na grób ich syna – szepnął Tolliver. Dłuższą chwilę zajęło mi przypomnienie sobie, o co pytałam.

Natychmiast pożałowałam, że napomknął o Wisconsin. Ze wszystkich sił starałam się wyrzucić tę sprawę z umysłu, zamknąć ją w schowku, w którym trzymałam najgorsze wspomnienia. Nie dość, że sama prośba spotkania o północy była dziwaczna, to para wyznaczyła je na noc Halloween. A jakby tego było mało, zaprosili ze trzydziestu przyjaciół.

Chyba pomyśleli, że skoro podana przez nas cena jest tak wysoka, warto wyciągnąć z całej imprezy, ile się da. Mylili się co do rodzaju moich usług, a ja nie wyprowadziłam klientów z błędu. Na miejscu, w obecności ich znajomych, zdradziłam prawdziwą przyczynę śmierci dziecka. Zadrżałam na to wspomnienie i szybko postarałam się go pozbyć. Skup się na tej nocy, na tej dziewczynce, na tym grobie, powiedziałam sobie. Odetchnęłam głęboko.

Potem jeszcze raz.

– Wiem, że ciała tu nie ma – wyszeptałam. – Zawsze potrzebowałam zwłok, żeby uzyskać kontakt, ale tym razem postaram się odtworzyć połączenie z wczoraj.

– Jesteśmy na cmentarzu z dala od ludzi, wokół panują ciemności – wymamrotał Tolliver. – Ale przynajmniej nie masz na sobie długiej białej koszuli nocnej i jesteśmy we dwójkę. I wierz mi, bateria w mojej komórce jest w pełni naładowana.

Prawie się uśmiechnęłam. Zwykle czuję się dobrze na cmentarzach, ale na tym, tej nocy, było inaczej. Potknęłam się znowu. Cmentarze, szczególnie te stare, to zdradliwe miejsca. Na większości nowych nagrobki są płaskie. Ale na starszych kawałki popękanych stel leżą w bujnej, zachwaszczonej trawie. Na bardziej ustronnych cmentarzach żywi często zostawiają widoczne dowody swej bytności – porozbijane butelki, puszki po piwie, kondomy, papierki i inne odpadki. Często natykałam się na porzucone majtki damskie czy męskie, a raz nawet widziałam cylinder nasadzony zawadiacko na stelę. Na cmentarzu św. Małgorzaty nie było śmieci. Skoszono go i wygrabiono pod koniec lata, więc trawa nie była wysoka. Nasze latarki drgały w ciemnościach jak rozbrykane robaczki świętojańskie, jasne snopy światła krzyżowały się, to znów oddalały.

Dygotałam z zimna. Nie było wiatru, ale chłód przenikał przez rękawiczki. Miałam czapkę i szalik, ale nos mi zamarzał. Tolliver, który szedł kilka kroków przede mną, rozcierał dłonie, a wiązka światła z jego latarki tańczyła niespokojnie.

Atmosfera wydawała się gęsta jak tuż przed burzą; czułam, jak jeżą mi się włoski na karku. Starałam się wychwycić szum dochodzący z pobliskiej ulicy, ale panowała głucha cisza. Poczułam ukłucie niepokoju. Przecież nocą powinnam chociaż widzieć jakieś błyski świateł samochodów, nawet jeśli drzewa je zasłaniały. Nagle straciłam orientację, więc automatycznie zwolniłam kroku. Blask latarek jakby przygasł. Musiałam znajdować się już blisko celu, ale nie mogłam go zlokalizować. Buczenie w głowie wydawało mi się nieprawdopodobnie wyraźne, zbyt wyraźne jak na wibracje wiekowych nieboszczyków. Chciałam zawołać Tollivera, ale nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Naraz brat chwycił mnie mocno za ramię, zatrzymując gwałtownie w miejscu.

– Patrz pod nogi – powiedział nieswoim głosem. Skierowałam latarkę w dół. Jeszcze kroić, a wpadłabym do rozkopanego grobu.

– O Boże. Było blisko. Dzięki. Słyszysz coś? – wyszeptałam. Zsunął rękę niżej, ścisnął moją dłoń i puścił. Dotyk tej kościstej ręki był bardzo dziwny. Zaraz potem uzmysłowiłam sobie, że widzę światło latarki Tollivera po drugiej stronie grobu. On sam też stał z tamtej strony. Serce biło mi tak mocno, że mało nie rozsadziło piersi. Osunęłam się na kolana, na miękką, świeżo zruszoną ziemię.

– Widzisz? – usłyszałam tamten głos, choć nie miałam pojęcia, skąd dochodzi. Coraz bardziej przerażona, skierowałam smugę światła do grobu. Leżało w nim kolejne ciało.

Przez chwilę staliśmy jak skamieniali. W końcu Tolliver także poświecił do dziury, – Przynajmniej tam nie wpadłam – udało mi się wykrztusić chrapliwie głosem, który brzmiał obco w moich własnych uszach.

– Powstrzymał cię – powiedział Tolliver.

– Widziałeś go? Wyraźnie?

– Słabo, tylko zarys sylwetki. – Jego głos był napięty, jakby wstrzymywał oddech. – Niewysoki mężczyzna. Z brodą.

Pierwszy raz doświadczyliśmy czegoś takiego. Czułam się jak księgowy z pięcioletnią praktyką, który nagle natyka się na obce cyfry i musi dokonać obliczeń w ciągu pięciu minut.

Tolliver obszedł chwiejnie grób, ukląkł obok mnie i otoczył ramionami. Przywarliśmy do siebie mocno. Oboje drżeliśmy jak w febrze – nie z zimna, ale z powodu bliskości czegoś nieznanego, nieokreślonego. Z ust wyrwał mi się dźwięk, który do złudzenia przypominał pisk.

– Nie bój się – rzekł Tolliver. Odwróciłam głowę, chcąc mu powiedzieć, że nie boję się bardziej niż on, co i tak oznaczało, że boję się bardzo. Pocałował mnie lekko, a ja byłam mu wdzięczna za ten czuły gest.

– W tym miejscu granica jest bardzo cienka – powiedziałam.

– To znaczy?

– Spotykają się tu dwa światy przegrodzone tylko cieniutką membraną.

– Znow czytalaś Kinga.

– Od samego początku wyczuwałam tu coś dziwnego.

– Zauważyłaś to coś już wczoraj?

– Stare cmentarze są inne niż nowe. Już przy pierwszej wizycie odbierałam mocniejsze wibracje niż zwykle, widziałam martwych wyraźniej. – Przyłgnęłam do niego mocniej. Choć pokonałam już

strach wynikający z zaskoczenia spotkaniem ducha, zmagalam się teraz z innymi lękami. Musieliśmy stawić czoła tej sytuacji. – Co zrobimy? Nie możemy chyba iść z tym na policję, prawda? I tak już nas podejrzewają. Miałam co najmniej ambiwalentne uczucia co do organów ścigania. Nie mogłam mieć pretensji do policji texaskiej, że nie wiedzieli, co się dzieje w naszym domu. W końcu robiliśmy wszystko, żeby to ukryć. Nie mogłam ich też winić za to, że nie odnaleźli Cameron. Sama wiedziałam najlepiej, jak trudno jest odszukać zwłoki. Ale teraz, jako dorosła osoba najbardziej ceniłam sobie możliwość swobodnego kierowania własnym życiem. A oni mogli mnie tego pozbawić w ułamku sekundy.

– Nikt nie wie, że tu przyszliśmy – powiedział Tolliver, jakby głośno myślał. – Nikt nas tu nie widział. Założę się, że moglibyśmy stąd odejść niezauważeni. Ale ktoś musi wyjąć to ciało z grobu. Nie możemy go tu tak zostawić. Uspokoiliam się nagle.

– Kto to? – spytałam trochę pewniej. Znalazłam się na znajomym terenie, w końcu moja praca polegała na kontakcie ze zwłokami. Nie bałam się przebywać w pobliżu martwych ludzi. Bałam się, żeby policja nie nabrała podejrzeń, że to ja doprowadziłam nieboszczyka do takiego stanu.

– Nie poznaję go. – W tonie Tollivera pobrzmiwało lekkie zaskoczenie, zupełnie jakby myślał, że na pierwszy rzut oka powinien zidentyfikować osobę leżącą w dole.

– Popatrzmy raz jeszcze – zasugerowałam. Zaczynałam przychodzić do siebie. Odsunęliśmy się od siebie, starając się jak najlepiej oświetlić ciało. Serce podeszłoby mi powyżej gardła, gdyby mogło. Trup leżał na brzuchu, więc nie widzieliśmy jego twarzy, ale ubranie wydało mi się znajome.

– Niech to szlag. To Nunley – stwierdziłam. – Ma na sobie te same ciuchy co wtedy, w hotelu. – Nacisnęłam przycisk na zegarku i tarcza rozjarzyła się lekko. Wyglądało to tak, jakby na moim nadgarstku przysiadła wróżka. – Od naszego spotkania minęły trzy godziny. Ledwie trzy godziny. Obsługa hotelowa zapamiętała go na sto procent. Gorzej już być nie mogło.

– Nie dla niego – stwierdził brat oschle, ale na ustach błąkał mu się leciutki uśmiech. Widziałam zarys jego warg w słabym poblasku latarek. Miałam ochotę trzepnąć go w ramię, ale nie sądziłam, że uda mi się wykrzesać tyle siły, by to zrobić. – I to fatalnie dla nas – przyznał.

– Zostawiliśmy ślady stóp? Padało od wczoraj?

– Nie padało, ale tu, wokół grobu ziemia jest miękka. Poza tym na pewno zostawiliśmy jakieś ślady. Choć z drugiej strony, odkąd znalazłaś Tabitę, kręciło się tu wiele osób. No i mamy na sobie te same ubrania, co wczoraj.

– Ale wczoraj nie było tu świeżo rozkopanej ziemi. Nie mam pojęcia, jak wyjaśnimy naszą dzisiejszą obecność na cmentarzu. Och, tak mi przykro, że cię w to wciągnęłam.

– Przestań bredzić – zirytował się Tolliver. – Robiliśmy to, co zwykle. Chciałaś sprawdzić, czy uda ci się zdobyć więcej informacji. Cóż, zdobyliśmy ich więcej niż chcieliśmy, nie? Ale to nie twoja wina. – Zawahał się. – Chcesz spróbować nawiązać z nim kontakt? Z tym du... duchem? I co z odczytem ze zwłok?

Propozycja Tollivera podziałała na mnie jak policzek, jaki policjanci wymierzają w starych filmach rozhisteryzowanym kobietom.

– Tak. Pewnie. – Sama powinnam o tym pomyśleć. Musiałam się wyciszyć i skoncentrować, co nie było takie proste, biorąc pod uwagę, że tuż obok mnie znajdował się świeży trup.

Jedyną możliwością zbliżenia się do ciała Nunleya, nie schodząc do grobu – i nie zacierając przy okazji śladów – było przewieszenie się przez krawędź mogiły. Położyłam się, a gdy Tolliver przytrzymał mnie za nogi, wyciągnęłam rękę. Dół nie był bardzo głęboki, więc udało mi się dotknąć pleców Nunleya.

Jego śmierć nastąpiła tak niedawno, że dźwięk w głowie przypominał raczej warkot niż buczenie. Wibracje były tak silne, że fala odbioru załała mnie niemal całkowicie i musiałam chwilę odczekać, zanim moment jego przejścia wyklarował mi się w umyśle.

– Uderzenie w głowę – wymamrotałam, odczuwając jego zaskoczenie w pełnym natężeniu. – W potylicę. Zaskoczenie. – Szok unosił się wokół niego nadal. Kompletnie nie spodziewał się ataku.

– Gdzie to się stało? Tutaj?

– Tak – przytaknęłam z wysiłkiem, wyławiając obrazy ostatnich chwil jego życia. Stało się to tak niedawno, tak niedawno zamienił się z żywej istoty w martwe ciało pozbawione możliwości działania czy myślenia. Ujrzałam mrok, nagrobki, wszystko jak teraz – chłód, nierówności terenu, rozkopana ziemia. – Och, to boli! Boli! Moja głowa! – Dno dziury zbliżało się ku mnie, nie byłam w stanie wyciągnąć rąk, by zamortyzować upadek, szarość... czern. Sama byłam blisko tej czerni, gdy Tolliver podciągnął mnie w górę i przygarnął.

– Otwórz usta – usłyszałam. – Otwórz! Rozchyliłam wargi i natychmiast poczułam zimną świeżość mięty, którego wepchnął mi ust.

– Jedz, potrzebujesz cukru – powiedział ostrym rozkazującym tonem. Miał rację. Przez chwilę ssłam cukierka i szybko poczułam się lepiej. Zaraz potem dostałam karmelka.

– Nigdy nie było aż tak źle – pożałowałam się słabiutkim głosem. – Pewnie dlatego, że dopiero co odszedł. Obawiałam się, że nie dam rady wrócić do samochodu bez pomocy brata.

– On nie żyje? Na pewno, tak? Ten... co cię powstrzymał... To nie był on? Wydawało mi się, że dostrzegam brodę.

Od czasu do czasu zdarzało się, że dusza pozostawała przy ciele. Ale działo się tak bardzo rzadko i aż do tej nocy sadziłam, że natknięcie się na coś takiego to najstraszniejsza rzecz, jaka mogła nas spotkać. Ale teraz wiedzieliśmy już, że może być gorzej.

– Dusza Clyde’a Nunleya odeszła – oświadczyłam, nie chcąc dopuścić do siebie niczego ponad to.
– My także powinniśmy już iść. – Zebrałam się w sobie, żeby wstać.

– Tak. Spadajmy stąd. Zatrzymałam się w połowie ruchu. – Ale zostawimy go tak samemu sobie?

– Był tu sam przez sto lat. – Tolliver nawet nie udawał, że nie rozumie o kim mówię. – Nic mu się nie stanie, jak pobędzie jeszcze trochę. Z tego, co wiemy, może mieć tu towarzystwo.

– Nie uważasz, że to najdziwniejsza rozmowa, jaką kiedykolwiek prowadziliśmy?

– Owszem.

– Nie mogłabym tego robić z nikim innym. Nikt prócz ciebie by mnie nie zrozumiał. Cieszę się, że też go widziałeś.

– Nigdy wcześniej nie przydarzyło ci się coś takiego, prawda? Nie pamiętam, żebyś wspominała o czymś podobnym.

– Nigdy. – Wiedziałabym, gdyby dusza tkwiła nadal przy ciele. Czy właśnie te, które nie odchodzą, stają się duchami? Zastanawiałam się, czy kiedyś takowego ujrzę. I w pewnym sensie byłam rozczarowana, że nigdy do tego nie doszło. A teraz, proszę. Pierwszy raz spotykam ducha, a on ratuje mnie przed upadkiem do grobu, prosto na trupa! Pierwszy raz widzę ducha, a on mi pomaga!

– Bałaś się?

– Tak, ale nie tego, że mógłby mnie skrzywdzić.. Bałam się, bo to było takie upiorne, a ja nie wiedziałam nawet, co mogłabym dla niego zrobić. Nie wiem, czemu nie może przejść na drugą stronę. Nie wiem, jak dla niego płynie czas, nie mam pojęcia, czy ma jakiś cel. A teraz nikt z tych, których znał, już nie żyje. Nikt go nie odwiedza, nikt... – urwałam, nie chcąc się za bardzo roztkliwiać.

Wszyscy oni pragną, żeby ich odnalezione. Tylko na tym im zależy. Nie na zemście, nie na przebaczeniu. Chcą zostać odnalezieni. A przynajmniej tak mi się zawsze wydawało.

Ale Josiah Poundstone – bo nie wątpiałam, że to on – tkwił tu od śmierci. Ktoś postawił mu

nagrobek opatrzony napisem: „Najdroższemu bratu”. I został zamordowany, skoro część jego świadomości pozostała. Kiedy wczoraj stałam na grobie, docierał do mnie od niego tylko bardzo słaby szum, zagłuszony silną falą nowszych zwłok. Przyjęłam, że Josiah Poundstone odszedł na dobre, nie zostawiając po sobie żadnego śladu. Najwyraźniej się myliłam.

Nie spieszyliśmy się, wracając do samochodu. Często musiałam się przytrzymywać brata, a i on raczej z zadowoleniem przyjmował ten bliski kontakt. Otrzepaliśmy moją kurtkę z ziemi i potupaliśmy, by strząsnąć grudki także z butów.

– Jeśli na pogotowiu istniałby oddział urazów psychicznych, powinniśmy się tam teraz udać – powiedział Tolliver, otwierając auto.

Nigdy jeszcze nie zaniechałam powiadomienia policji o znalezieniu zwłok – zauważyłam, przypominając sobie, że jeszcze wczoraj byłam z tego taka dumna. – Nigdy. – Wzdrygnęłam się lekko. – Szkoda, że nie mogę zanurzyć mózgu w ciepłej pachnącej kąpieli i zafundować całemu systemowi nerwowemu sesji aromaterapeutycznej.

– Makabryczna wizja – parsknął Tolliver. Miał rację, ale nie mogłam się powstrzymać od fantazjowania o ukojeniu i wyciszeniu emocji. Odetchnęłam głęboko, usiłując odsunąć niepoważne myśli na bok. Czekало nas jeszcze podjęcie decyzji i to niełatwych.

– Dowiedziałaś się czegoś od... Dowiedziałaś się czegoś? – zapytał Tolliver.

– Tak. Owszem, Doktor Nunley został wzięty z zaskoczenia. Nie wiem, po co w ogóle wybrał się na cmentarz, ale nie spodziewał się niczego złego ze strony osoby, która mu towarzyszyła.

– A czy przeciętny człowiek spodziewa się napaści? Spojrzałam na niego krzywo.

– Nie, nie spodziewa się, panie Mądraliński i nie o to mi chodziło. Rzecz w tym, że nie był tam z kimś obcym. Znał swojego towarzysza i nie podejrzewał, że ten żywi wobec niego złe zamiary.

– Ten w sensie ogólnym? Nie rodzajowym?

– Uhm.

– Nie możemy powiedzieć o tym policji.

– Możemy, tylko po co, skoro i tak nam nie uwierzą. Nie wiem, co jeszcze moglibyśmy zrobić. A uważam, że absolutnie nie powinni się dowiedzieć o naszej nocnej wizycie na cmentarzu.

Dyskutowaliśmy tak przez całą drogę do hotelu, gdzie zrobiliśmy sobie przerwę, przechodząc koło

recepcji, by kontynuować wymianę zdań w windzie.

Gdy wyszliśmy na korytarz, oniemieliśmy na widok czekającego pod naszym pokojem agenta Setha Koeniga.

Jeśli nawet obsługa hotelowa rzuciła nam wymowne spojrzenia, gdy przechodziliśmy przez hol, byliśmy zbyt zaaferowani własnymi sprawami, by to spostrzec. Ale ze mnie jasnowidz, łajałam się w duchu. Niech mnie licho, jeśli choć raz pomyślę o sobie w ten sposób. Zupełnie nas zaskoczył.

Wpatrywaliśmy się w niego osłupiali.

Aczkolwiek nie my jedni uprawialiśmy wpatrywactwo. Nasz nieoczekiwany gość nie ustępował nam wiele w tej dziedzinie.

– Co wy kombinujecie? – odezwał się w końcu.

– Nie musimy z panem rozmawiać – oświadczył Tolliver. – Siostra mówiła, że jest pan agentem FBI, a my nie posiadamy żadnych informacji, które mogłyby zainteresować FBI.

– Gdzie byliście? – zapytał, jakbyśmy byli zobligowani do udzielenia mu odpowiedzi.

– W kinie – rzuciłam.

– Ale teraz – sprecyzował. – Gdzie byliście przed chwila? Tolliver wziął mnie za rękę i przeprowadził obok nieustępliwego agenta.

– Nie musimy z panem rozmawiać – powtórzyłam słowa brata.

– To bardzo ważne, jeśli ma coś wspólnego z Tabitą Morgenstern – nie ustępował Koenig.

– Odpieprz się! – wypaliłam. Tolliver spojrzał na mnie zdumiony. Zwykle nie wyrażałam się w ten sposób, ale chciałam się jak najszybciej pozbyć tego faceta. Tolliver otworzył pokój, wepchnął mnie do środka i błyskawicznie zatrzasnął za nami drzwi.

– Ta porażka stała się jego obsesją – stwierdziłam, zaczynając zrzucać z siebie wierzchnie okrycia. Pomimo wysiłków pod cmentarzem, buty miałam pooblepiane ziemią. Postanowiłam umyć je później; teraz nie miałam na to siły. Czułam się fatalnie, zmęczona, słaba, zdenerwowana. – Idę pod prysznic i do łóżka. Przepraszam, ale nie dam rady już dzisiaj nic zrobić.

– Daj spokój. – Tolliver nie znosił, gdy go przeproszałam. Często myślałam, a czasem nawet mówiłam, że Tolliverowi wiodłoby się lepiej, gdyby nie wziął na siebie roli mojej podpory

życiowej. Ale gdy wyobrażałam sobie samotne podróżowanie, czułam wewnątrz pustkę, której nic nie mogło wypełnić. Robiłam wszystko, żeby utrzymać się w formie i dobrym zdrowiu, ale sam fakt, że musiałam się o to tak starać, przypominał mi ciągle o uprzykrzonych dolegliwościach. A praca mnie wykańczała, mimo że bardzo ją kochałam. Nie wiedziałam, co Tolliver miał z tego, że mi pomagał. Ale wydawało się, że chce to robić i gdy sugerowałam, że powinien oddać się jakiemuś bardziej satysfakcjonującemu zajęciu, oskarżał mnie o użalanie się nad sobą. Tymczasem dzieliliśmy się wszystkim – pieniądze były naszymi wspólnymi pieniędzmi, samochód wspólnym samochodem, a planowanie tras oraz podróże wspólnymi sprawami.

– Chodź. – Tolliver otoczył mnie ramieniem i poprowadził do sypialni.

– Podnieś rączki. – Ściągnął mi sweter przez głowę jak dziecku. – Siadaj na łóżku. – Zdjął mi buty i skarpetki. Wstałam i rozpiął mi spodnie.

– Wystarczy, już sobie dam radę – zapewniłam go.

– Na pewno? Chcesz cukierka? Coś do picia?

– Nie, tylko prysznic i łóżko. Prześpię się i będzie lepiej.

– Zawołaj mnie jakby co – rzucił, wychodząc do salonu. Usłyszałam, jak włącza telewizor. Nie mogłam sobie nawet przypomnieć, jaki jest dzień, więc nie wiedziałam, czy trafi na jakiś ulubiony program. Nie mogliśmy regularnie śledzić odcinków i rozmawialiśmy nawet o kupieniu PVR* [*PVR (ang. Personal Video Recorder), elektroniczne urządzenie służące do nagrywania programów telewizyjnych na dysk twardy w formacie cyfrowym (przyp. red.)] do mieszkania. Wydawało mi się, że słyszę dźwięk komórki Tollivera, ale byłam zbyt zmęczona, by zastanawiać się, kto dzwoni. Zanurzyłam się w wannie pełnej gorącej, pachnącej wody, a potem wyszorowałam się tak energicznie, że aż zaróżowiła mi się skóra. Ale po założeniu piżamy nadal nie czułam się wystarczająco rozluźniona, by iść spać. Włączyłam telewizor sypialniany, żeby coś grało w tle, kiedy będę malowała paznokcie. Wybrałam śliczny, ciemnoczerwony lakier, taki jesienny i następne pół godziny miałam tylko dla siebie. Wszelkie problemy bledną, gdy całym światem stają się paznokcie – malowanie paznokci po prostu daje czas, żeby się wyciszyć. Nie mogłam się zaraz po tym usadowić wygodnie z książką w rękach, choć Tolliver przyniósł całe pudło różnych czytań. Kupowaliśmy je to i tam, żeby po przeczytaniu zostawić dla innych. Oboje lubiliśmy książki z drugiej ręki i potrafiliśmy zboczyć z drogi nawet kilka mil, gdy w pobliżu znajdował się jakiś dobry antykwariat. Aktualnie czytałam biografię Katarzyny Wielkiej, która może i była wielką carycą, ale przy okazji miała strasznie pokręcony życiorys. A może życie każdej władczyni wyglądało podobnie? Ale nie miałam jakoś nastroju do czytania, a czułam, że jestem zbyt podminowana, aby zasnąć. Postanowiłam sprawdzić, co robi Tolliver.

A Tolliver kipiał ze złości – nie przychodziło mi do głowy nic innego, co określiłoby jego stan.

– Ekran popęka, jak się będziesz w niego tak wpatrywał – powiedziałam – Co jest? – Tolliver nie był typem, który często się zadrecza i rozpamiętuje jakieś nieprzyjemne sprawy, więc zawsze od razu pytałam go, o co chodzi – Moja sprawa – warknął.

Przez moment byłam zbyt zszokowana, by zareagować, ale zaraz głos rozsądku podpowiedział mi, bym nie brała tego do siebie i nie uderzała od razu w płacz, – W porządku – rzekłam spokojnie. – Jaki wynik? – Tolliver oglądał mecz futbolowy, czyli coś, co mnie kompletnie nie interesowało. Ale pytanie wytrąciło go z zamyślenia i skierowało jego gniew na inny cel. Z miejsca zaczął psioczyć jak nakręcony na swoją ulubioną drużynę Miami Dolphins, która straciła prawo do pierwszej próby. Ponieważ o futbolu wiedziałam tyle, co o fizyce kwantowej, poprzestałam na zrobieniu współczującej miny. Spanie nie wchodziło w rachubę, przynajmniej do czasu, aż sytuacja się wyjaśni w ten czy inny sposób.

– Moglibyśmy coś przekąsić – zaproponowałam i zadzwoniłam do recepcji. Dla brata zamówiłam hamburgera, zaś dla siebie kanapkę z grillowanym kurczakiem.

Tymczasem Tolliver zdążył się uspokoić i przybrać zwykły, wesoły wyraz twarzy.

– Dzwoniła Felicja – oświadczył.

Starałam się nie okazać żadnych emocji prócz zainteresowania. Ze wszystkich sił próbowałam się nie skrzywić.

– Mówiłem ci już, że żałuję tej... tej przygody. I nie zamierzam się powtarzać.

– Wcale tego nie oczekuję.

– Tak. – Potrząsnął głową. – Resztki poczucia winy – powiedział w ramach wyjaśnienia. – Znów chce się spotkać. Powiedziałem jej, że to fatalny moment.

– Zobaczyła cię wczoraj i obudziły się w niej miłe wspomnienia – zasugerowałam, pamiętając o lekkim uśmiechu. – Założę się, że chce to ciągnąć. Pokręcił głową.

– Mało prawdopodobne.

– Ciekawe, czy będzie jutro na lunchu. – Starałam się, by zabrzmiało to niewinnie. – Będę jej przeszkadzała, jeśli trzeba. Pewnie zechce cię dopaść sam na sam.

– Wątpię. – Tolliver wyraźnie nie chciał rozwijać tego tematu. – Jest bardzo troskliwa w stosunku do Wiktora – odezwał się po chwili milczenia. Zastanawiałam się, czy w ogóle wie, co dzieje się na ekranie. – Pamiętasz, jakie Wiktor miał alibi na czas, kiedy została porwana Tabita?

– Hmm, trwały ferie, więc na pewno nie był w szkole – powiedziałam. – Nie, nie pamiętam. Może sprawdzimy?

Tolliver podłączył laptopa do Internetu i zaczęliśmy szukać informacji o zbrodni, przez którą siedzieliśmy teraz w tym pokoju.

Usiadłam obok brata i otoczyłam go ramieniem. Razem czytaliśmy artykuły i oglądaliśmy zdjęcia dotyczące sprawy sprzed półtora roku. Zdążyłam zapomnieć o wielu szczegółach, ale teraz, gdy poznałam osoby zamieszane w aferę, fotografie wywierały na mnie dużo większe wrażenie. Jako pierwsze rzuciło mi się w oczy to, że na bardzo wielu z nich znajdował się agent Seth Koenig, nawet jeśli tylko gdzieś w tle. I zawsze, obojętne czy stał na pierwszym planie, czy też rozmawiał z kimś na dalszym, miał tę samą absolutnie poważną minę. Wyglądał na człowieka całkowicie pochłoniętego swoim zadaniem.

Zdumiało mnie, jak przez ten czas postarzelali się Morgensternowie. Nawet Wiktor wydorósł i spoważniał – choć w jego wieku właściwie można się było spodziewać tak szybkich zmian. Diana na zdjęciach sprawiała wrażenie kobiety o pięć lat młodszej, a Joel był jakby pogodniejszy. Choć nie stracił właściwej sobie charyzmy i nadal był przystojny, inaczej się poruszał, chodził ciężko, jakby dźwigał na barkach wielkie brzemie. Tak, wiem, że to oklepana fraza, ale w tym przypadku – tak właśnie przedstawiała się prawda. Przekopywaliśmy się przez artykuły, odświeżając sobie pamięć. Tamtego wiosennego ranka Tabita była w domu tylko z matką. Joel wyjechał do pracy dwie godziny wcześniej. Wiosna to gorący okres dla księgowych, więc aż do końca terminu składania zeznań podatkowych Joel pracował także w soboty. Tego dnia przyszedł do biura tak wcześnie, że nie miał na to żadnych świadków. Zeznał, że kilku innych pracowników dołączyło do niego dopiero trzy godziny później. Żaden współpracownik z osobna nie mógł potwierdzić, że od tego momentu Joel przez cały czas siedział w biurze, jednak widywali go w różnych odstępach czasowych. Po zestawieniu ich zeznań policja uznała jego udział w zbrodni za mało prawdopodobny, choć możliwy. Diana sama opowiadała nam o tym, co robiła feralnego ranka. Po sprzeczce z córką rozmawiała przez telefon, a potem przygotowywała się do wyjścia na zakupy.

Tyle, jeśli chodzi o rodziców.

Wiktor także wyszedł z domu bardzo wcześnie. O ósmej dotarł na korty na lekcję tenisa, która trwała dokładnie godzinę. Później, z tego co mówił, został w klubie jeszcze trochę, aby potrenować przy ścianie i porozmawiać z przyjaciółmi. Koledzy widzieli go w klubie, ale nie pamiętali dokładnie, o której wyszedł. Wiktor twierdził, że w drodze powrotnej tankował na stacji benzynowej. Kasjer potwierdził jego wersję. Do domu dojechał około godziny jedenastej i zastał w nim macochę zdenerwowaną nieobecnością Tabity. W jego przypadku także nie udało się ustalić dokładnie, co i kiedy robił tego ranka. Jeśli zaplanowałby porwanie siostry z wyprzedzeniem, mógł mieć sposobność wprowadzenia swojego planu w czyn.

Według jednego z kolegów Wiktor nie przepadał za Tabitą. Ale kolega ten nie potrafił powiedzieć

niczego konkretnego na potwierdzenie swych słów. Okazało się, że Wiktor po prostu uważał młodszą siostrę za „rozpuszczonego bachora”.

To nic nadzwyczajnego – podobną opinię podziela większość starszych braci w stosunku do sióstr, bez względu na to, czy rodzonych, czy przyrodnych. Z drugiej jednak strony, chłopak przechodził okres dojrzewania, był wybuchowy i nieprzewidywalny.

Inni podejrzani? Owszem. W artykułach podkreślano, że Joel pracował jako główny księgowy w Huff Taichert Killough, firmie, która prowadziła rachunkowość wielu osobom z branży muzycznej, ten stał się przyczynkiem do snucia mętnych teorii na temat machinacji finansowych w przedsiębiorstwach płytowych, tak jakby Joel zamieszany był w jakieś ciemne interesy, w wyniku których narobił sobie wrogów. Nie było jednak żadnych dowodów na poparcie tej intrygującej hipotezy. A Joel nadal pracował dla tej samej firmy, z tym, że teraz dla filii w Memphis, gazety zaś nie precyzowały, czy zmiana miejsca pracy pociągała za sobą także zmianę obowiązków, czy też nie. Jeśli policja naprawdę podejrzewałaby, że jest zamieszany w pranie brudnych pieniędzy, prasa na pewno by to wywęszyła, bo reporterzy kręcili się wokół tej sprawy jak stado much przy śmietniku. Studiowałam zdjęcia przy późniejszych publikacjach. Wiktor sprawiał na nich wrażenie ponurego i zagubionego, Diana wyglądała mizernie, a Joel prezentował twarz wypraną z uczuć. Felicja, gniewna i zawzięta, obejmująca ramieniem siostrzeńca, a obok nich Seth Koenig w ciemnych okularach, z poważną miną. Hmmm, chyba coś do niej mówił, gdy reporter ich sfotografował. Podpis brzmiał: „Felicja Hart, ciotka zaginionej dziewczynki, pocieszająca siostrzeńca, Wiktora Morgensterna, rozmawia z agentem FBI. FBI zadeklarowało, że udostępni lokalnej policji swoje laboratoria oraz udzieli jej wszelkiej niezbędnej pomocy”.

– Patrz – powiedział rozbawiany Tolliver, wskazując na kolejne zdjęcie. Staliśmy na nim oboje w ciemnych okularach, a ja odwracałam twarz od obiektywu. To mój nawyk – robiłam tak, ilekroć widziałam kogoś z aparatem. Nie przeszkadzało mi, gdy ktoś mnie fotografował, ale nie przepadałam za tym.

Na innym znajdował się brat Joela. Dawid, niemal identyczny, tylko trochę straszy. Nie pamiętam, abym widziała go w domu Morgensternów, ale możliwe, że wrócił do swojej pracy i życia zanim my przyjechaliśmy do Nashville. W tym czasie, widząc, że sprawa nie rozwiąże się szybko, ludzie powoli wycofywali się do własnych zajęć.

– No i jak na razie nie dowiedzieliśmy się niczego nowego – poskarżyłam się.

– Tak, masz rację. I nie dzwoniliśmy też na policję.

– Jeśli to zrobimy, zorientują się, że to my – stwierdziłam. – Znajdą go tak czy inaczej. Niedługo ktoś zgłosi jego zaginięcie. Nie możemy ryzykować. Tak, wiem, zabrzmiało to bezdusznie, ale wierzcie, naprawdę nie byłam zadowolona z naszego postępowania. Cały czas prześladowała mnie myśl, że Clyde Nunley leży tam martwy, porzucony w ciemnościach. Ale nieżywi nic nie czują. Oni

tylko czekają.

Jeśli nie znajdą go do jutra, może „odkryję” go ponownie. Nikogo nie zdziwią nasze odwiedziny na cmentarzu. Oczywiście w dzień, bo nocna wizyta może wydawać się czymś niezwykłym. Właściwie, kiedy teraz o tym myślałam, rzeczywiście było to coś dziwnego. I głupiego.

Ale teraz było za późno na rozważania, stało się i jeśli nasza obecność na cmentarzu zostanie odkryta, będziemy musieli ponieść konsekwencje. Kładąc się do łóżka, miałam jeszcze większy mętlik w głowie niż wtedy, gdy odnalazłam szczątki Tabity. A po spotkaniu z duchem zmuszona byłam zweryfikować swoje poglądy na temat zmarłych. Miałam całą masę spraw do przemyślenia, ale byłam wykończona i zanim się zorientowałam, zasnęłam. Nie śnię często, ale tej nocy śniło mi się, że trzymam kogoś za rękę, a raczej kości, które pozostały z rąk. Nie bałam się. Ale miałam uczucie, że nie powinno tak być.

Następnego ranka, gdy przeglądając gazety jedliśmy śniadanie, rozległo się pukanie do drzwi.

Wcześniej jeszcze raz przejrzałam – tym razem chronologicznie – wszystko, co udało nam się znaleźć na temat uprowadzenia Tabity i teraz, gdy Tolliver rozwiązywał krzyżówki, czytałam artykuły o odkryciu dała, które mogło należeć do dziewczynki. Dotarłam do takich, które pobieżnie poruszały pewne wątki tej sprawy, tylko jeden zawierał konkrety – informację o wstępnej identyfikacji m podstawie karty dentystycznej, okolicznościach porwania, planach rodziny dotyczących pogrzebu i cytaty z wypowiedzi dziadków. Inna publikacja traktowała o „zapomnianych” memphijskich cmentarzach, znalazłam też ogólny tekst o uprowadzeniach dzieci, w którym zamieszczono dane statystyczne – ile udało się odnaleźć żywych, ile martwych, a ile wcale. Cameron była jedną z wielu należących do tej ostatniej grupy.

Nie ma nic bardziej przerażającego od myśli, że dziecko może tak po prostu zniknąć na zawsze. Zadrzałam na wspomnienie młodszych siostrzyczek. Mariella i Gracie były wspaniałymi dziećmiakami gdy mieszkaliśmy jeszcze razem, w slumsach. Nie wiedziałam, jakie były teraz. Nie spotykaliśmy się z nimi – ciotka i jej mąż powtarzali, że dziewczynki nie chcą nas widzieć. Może kłamali, a może nie, ale jeśli to drugie, chciałabym mieć szansę sprostowania oszczerstw, którymi karmili je Iona i Hank. Może dziewczynki mnie nie kochały, ale ja je bardzo.

Pukanie do drzwi wyrwało mnie z zamyślenia. Spojrzeliśmy po sobie. Tolliver wstał i popatrzył przez wizjer.

– To ten facet z FBI.

– Cholera – mruknęłam. Miałam na sobie tylko szlafrok hotelowy. Narzuciłam go po prysznicu, który wzięłam zaraz po powrocie z siłowni.

– Lepiej niech państwo mnie wpuszczą, mam ważne informacje – usłyszeliśmy zza drzwi. Tolliver

zerknął na mnie.

– Dobra – rzekłam po chwili namysłu. – Lepiej sprawdźmy, o co mu chodzi Seth Koenig wszedł natychmiast, gdy Tolliver mu otworzył. Zerknął na moje nogi, ale szybko odwrócił wzrok.

– Nagrałem poranne wiadomości na wszelki wypadek. Oglądaliście? – Urwał, czekając na naszą reakcję. Potrzęsaliśmy głowami Nie włączaliśmy telewizora, ot tak, jako gadające tło. Mina agenta nie wróżyła niczego dobrego, a ja miałam przeczucie, że wiem, co zaraz nastąpi Podszedł do odbiornika i włożył taśmę do odtwarzacza. Po chwili manipulacji pilotem pojawiły wyniki rozgrywek, a zaraz potem ekran wypełniła Shellie Quail. W jasnym kostiumie i z charakterystycznym błyszczącym makijażem, wyglądała olśniewająco. Miała profesjonalny, prezenterki wyraz twarzy. Najwyraźniej szykowała się do przekazania ponurych wieści.

– Dzisiaj, wczesnym rankiem, strażnik terenu uczelni dokonał wstrząsającego odkrycia. Dennis Cuthbert poszedł na cmentarz Świętej Małgorzaty, aby upewnić się, że uprzątnięto śmieci pozostałe po czynnościach śledczych w sprawie przedwczorajszego odnalezienia w starym grobie zwłok Tabity Morgenstern. Na cmentarzu czekała strażnika szokująca niespodzianka. W tym samym grobie, znajdowały się kolejne zwłoki. Nie było wątpliwości że media uwielbiały słowo „szokujący”. Kamera wykonała najazd na krzepkiego czarnego mężczyznę w granatowym uniformie. Dennis Cuthbert robił wrażenie zdenerwowanego.

– Przyszedłem i zobaczyłem stojący na parkingu samochód – powiedział. – Nie powinno tu nikogo być, więc postanowiłem się trochę rozejrzeć.

– Czy już w tym momencie pomyślał pan, że coś jest nie tak? – spytała Shellie bardzo poważnie.

– Tak, właściwie to tak – odparł strażnik. – W każdym razie zacząłem sprawdzać i szybko dojrzałem, że ten grób jakoś inaczej wygląda.

– To znaczy?

– Nasyp wokół dziury się osunął. Więc podszedłem i wtedy go zobaczyłem. Dobrze. Zbliżył się od strony, gdzie przechyliłam się, by dotknąć ciała. Kamera odjechała, pokazując Shellie.

– W tym właśnie grobie pan Cuthbert odkrył leżącego mężczyznę, wstępnie zidentyfikowanego jako wykładowcę uczelni Bingham, doktora Clyde’a Nunleya. Doktor Nunley był martwy.

Teraz pokazano stary dom, prawdopodobnie z lat czterdziestych, w typie tych, jakie kupują yuppies, żeby je odnowić.

– Żona doktora, Anna Nunley powiedziała policji że jej mąż wyszedł z domu wieczorem, między

godziną szóstą a siódmą, aby coś sprawdzić, jak twierdził. Nie sprecyzował, o co chodziło. Gdy zrobiło się późno, a mąż nie wracał, pani Nunley położyła się spać. Rankiem, zauważywszy jego nieobecność, zawiadomiła policję. Anna Nunley najwyraźniej nie zgodziła się na wywiad, bo ani razu nie pokazała się przed kamerami. Mądra kobieta.

– Policja nie podała przyczyn śmierci doktora Nunleya. Ale z pewnego źródła wiemy, że mógł to być wypadek lub morderstwo. Najwyraźniej więc wykluczono samobójstwo. Oddaję ci głos, Chip – zakończyła lśniąca Shellie. Obraz znikł, gdy nagranie się skończyło.

Bałam się spojrzeć na Tollivera. Bałam się też popatrzeć na Koeniga. Agent wyłączył odtwarzacz i odwrócił się do mnie.

– Co pani na to, panno Connelly?

– To bardzo dziwne, agencie Koenig.

– Seth, proszę. – Zaczekał, czy także zaproponuję mu zwracanie się do mnie po imieniu, ale nic nie powiedziałam. Myślałam intensywnie, co robić. Pragnęłam rozpaczliwie, aby agent jak najszybciej się wyniósł, żebym mogła omówić to wszystko z bratem.

– Strażnik zauważył samochód na parkingu – rzekł Koenig i czekał na naszą reakcję.

– Tak wynika z reportażu – zauważył Tolliver chłodno. Zazdrościłam bratu zimnej krwi; żałowałam, że sama nie potrafiłam tak nad sobą panować. Kiedy przyjechaliśmy na cmentarz, nie było żadnego samochodu. Doktor Nunley nie popełnił samobójstwa, a jego śmierć nie była dziełem wypadku. Został zamordowany. Nie mieliśmy co do tego wątpliwości – W grobie leżały kamienie – rzucił Koenig. Spojrzałam mu w oczy.

– Jakie kamienie?

– Duże. Zrzucono mu je na głowę.

– Ale... – zaczęłam i urwałam. Fakt, że nie mieliśmy dobrego światła, czasu, ani ochoty na dokładne badanie sceny zbrodni, ale dałabym głowę, że nie było tam żadnych „dużych kamieni”. Może to jakaś nieudolna próba upozorowania wypadku? Doktor Nunley jakoś wpada do grobu, uderzając głową o leżące na dnie kamienie. Morderca chciał, żeby policja przyjęła taką wersję, albo inną – że Nunley został zamordowany na miejscu. Że był z nim ktoś, kto nakłonił go do zejścia na dół, a potem ukamienował. O tak, to brzmiało prawdopodobnie.

Seth Koenig usiadł przy stoliku i wbił we mnie uważne spojrzenie. Ciemnobrązowe oczy ze złotymi plamkami, osadzone w wyrazistej, poznaczonej zmarszczkami i niewątpliwie przystojnej

twarzy, skupiały się całkowicie na mnie.

– Nie wiem, jaką jest pani osobą – zaczął. – Ale wiem, że ma pani prawdziwy dar i proszę, żeby go pani użyła. Chciałbym, żeby poszła pani do kostnicy i powiedziała, jak zginął. Mam przeczucie, że to dobry pomysł. Zabił mi ćwieka. Co miałam mu odpowiedzieć?

– Dlaczego pan tu przyjechał? – zapytał Tolliver, stając za mną. Pochylił się nieco, kładąc łokcie na oparciu sofy tuż nad moją głową. – Na jakich zasadach pracuje pan nad tą sprawą? Wiem, że FBI nie zajmuje się nią bezpośrednio, ale udostępniło policji swoje laboratoria, tak?

– Owszem – potwierdził Koenig. Ulżyło mi, kiedy jego przenikliwe spojrzenie przeniosło się na mego brata. – Ale ja także mam ją wspierać i służyć pomocą. Zostanę tu, dopóki...

– Zajmował się pan tą sprawą od początku – przerwałam mu łagodnie. – Także w Nashville.

Odetchnął głęboko.

– Tak, to prawda. Nigdy się tam nie spotkaliśmy, ale to mnie oddelegowano do Nashville, gdy zniknęła Tabita. Przepytalem tam wszystkich – matkę, ojca, brata, ciotkę, wuja i dziadków. Rozmawiałem z przewodzącym przed szkołą, który zwrócił jej uwagę, że nieprawidłowo przechodzi przez jezdnię, z nauczycielem, który groził, że wpisze jej uwagę za gadanie na lekcjach i nawet z facetem koszącym trawniki, który powiedział Joelowi Morgensternowi, że jego córka wyrasta na piękną dziewczynę – zacerpnął tchu. – Wraz z policją odwiedziłem matki, z którymi Diana na zmianę woziła dzieci do szkoły, rozmawiałem z Wiktorem, jego kolegami, była dziewczyną, która przysięgała, że się z nim jeszcze policzy, i ze sprzątaczką, która powiedziała, że Tabita nie cierpiała sprzątać swojego pokoju – zamilkł na moment. – I niczego się od nich nie dowiedziałem. Nikt nie miał powodu, żeby usunąć dziewczynkę z drogi. Nie była idealna. Nawet ci, którzy ją kochali, mieli z nią od czasu do czasu problemy.

Tabita nie była słodkim aniołkiem. Żadne dziecko nie jest, szczególnie gdy wchodzi w wiek dorostania. Ale z tego, co wiem, rodzice kochali ją bez względu na to, co robiła. Wiem też, że dokładali wszelkich starań, żeby być dobrymi rodzicami. I wiem, że nie zasłużyli sobie na te wszystkie nieszczęścia, które spadły na nich po zniknięciu córki.

– Ale czemu Tabita? Dlaczego angażuje się pan akurat w tę sprawę? Na pewno prowadził pan wiele śledztw dotyczących zniknięć – zapytałam. – W tym zapewne dzieci.

Potarł twarz rękoma, mocno, jakby chciał wygładzić na niej wszystkie zmarszczki.

– Wiele siódemek – westchnął. – Zbyt wiele. Popatrzyliśmy po sobie z bratem. Żadne z nas nie zrozumiało tej wypowiedzi.

– Siódemek? – Staralam się mówić bardzo spokojnie. Ten człowiek wiele przeszedł, a ja nie chciałam wytrącić go z równowagi.

– Porwania. To kod dla porwań – wyjaśnił.

– Nigdy nie wysunięto żądań okupu w przypadku Tabity – zauważył Tolliver.

– FBI może wkroczyć nawet wtedy, gdy przestępstwo dotyczy tylko jednego stanu? I nie ma żądań okupu? Koenig skinął głową.

– Zajmujemy się każdym podejrzanym zniknięciem dziecka do jedenastego roku życia – powiedział. – Wcześniej w Nashville, a teraz w Memphis, umożliwiliśmy policji korzystanie z naszej infrastruktury. Nasi eksperci medycyny sądowej robią sekcję. Nasza ekipa zbadała mogiłę. Dzięki Bogu morderca Nunleya nie wrzucił tam ciała zanim nie skończyliśmy. I ci sami specjaliści od rana badają to miejsce po kolejnym zabójstwie. Odchyliłam się na oparcie i przymknęłam oczy.

– Wiemy oczywiście, że wczoraj wieczorem Nunley zaczepił panią w holu.

Ale wiemy też, że opuścił hotel. Nie pozwolił odźwiernemu wezwać taksówki. Pracownicy hotelu widzieli, jak wsiada do własnego samochodu i odjeżdża. Czy kontaktował się z wami jeszcze tej nocy?

– Nie – odparłam. – Później już nie.

– Dlaczego był taki wściekły?

– Uważał, że jakoś oszukiwałam. Miał problemy z zaakceptowaniem faktu, że naprawdę posiadam takie zdolności. Usiłował znaleźć jakieś racjonalne wytłumaczenie czegoś, co jest niewytłumaczalne.

– Zaczęłam się zastanawiać, czy nie powinniśmy znowu wezwać Arta. Koenig zamyślił się, jakby starał się zanotować coś w pamięci.

– A gdzie był pan, gdy wydarzył się ten incydent? – zwrócił się do Tollivera.

– Spacerowałam po Beale Street. Szukałam jakiegoś miejsca, gdzie grają dobrego bluesa. Włóczyłam się tu i tam, jak to turysta.

– O której godzinie wrócił pan do hotelu?

– Około siódmej. Harper spała.

– Zdenerwowałam się spotkaniem z Nunleyem – wyjaśniłam. – Rozboliła mnie głowa. Wzięłam

leki i położyłam się do łóżka.

– Czy ktoś może to potwierdzić?

– Nie wzywałam obsługi i nikt nie dzwonił. – Niech to szlag.

– A w pana przypadku, panie Lang?

– Możliwe, że ktoś mnie zapamiętał. Wstąpiłem do Beale. – Tolliver wymienił listę miejsc które odwiedził i wspominał o barze, w którym wypił piwo. – Ale niewykluczone, że nikt mnie nie zapamiętał. Na ulicy nie było co prawda wielkich tłumów, ale kręciło się tam sporo ludzi – Był pan pieszo?

– Tak, do kina pojechaliśmy taksówką. – Jaki film oglądaliście? Zrelacjonowaliśmy przebieg wczorajszego popołudnia, włączając w to spotkanie z Xyldą oraz jej wnukiem.

– Miałem okazję poznać panią Bernardo – wtrącił Koenig z lekkim uśmiechem. Po raz pierwszy widziałam jego uśmiech i doszłam do wniosku, że dodaje mu uroku.

Agent Koenig siedział jeszcze godzinę, wypytyjąc nas dokładnie, jak spędziliśmy popołudnie oraz wieczór. Kiedy sądziłam, że już kończy, zadał kolejne pytanie.

– I tu pojawia się interesująca kwestia. Kim był ten człowiek, który pomógł pani z Nunleyem? Właśnie zastanawiałam się, kiedy poruszy sprawę Goldmana.

– To Rick Goldman. Powiedział, że jest prywatnym detektywem – powiedziałam ostrożnie. – Uczęszczał na zajęcia do doktora Nunleya i dwa dni temu był na cmentarzu. Twierdził, że zapisał się na kurs z okultyzmu, bo... Cóż, pewna... powiedzmy, frakcja zarządu uczelni była zaniepokojona tym, co dzieje się na zajęciach Nunleya. Według niego, poprosili go, aby obserwował przebieg lekcji, a potem złożył im sprawozdanie.

– Ma pani jego wizytówkę?

– Nie jesteśmy na tego rodzaju stopie. Koenig zareagował prychnięciem, zapisał coś w notesie, po czym wsadził go do kieszeni. Byłam trochę zaskoczona, że nie używa czegoś bardziej nowoczesnego, na przykład komputera kieszonkowego Blackberry.

– Jeszcze tylko jedno pytanie – rzekł, jakby chciał, żebym się rozluźniła, zanim wyleje mi na głowę kubek zimnej wody. Nie skorzystałam jednak z tej subtelnej zachęty. – Po co wróciliście wczorajszej nocy na cmentarz?

Tak jak przewidujemy upadek pianina windowanego nad głową postaci z kreskówki, tak ja cały czas spodziewałam się gwałtownego zwrotu rozmowy – i stało się.

Wymieniłam z bratem spojrzenia. Musieliśmy podjąć jakąś decyzję. Czy Koenig dysponował dowodami, które wskazywały na naszą wizytę na cmentarzu? Czy tylko się domyślał i celując na oślepa, sprawdzał, czy trafi w jakiś czuły punkt? A może wiedział tylko, że pojechaliśmy gdzieś autem? Tolliver skinął lekko głową, dając mi znak, że ode mnie zależy, co powiemy.

– Wybraliśmy się na przejażdżkę. Zaczynaliśmy wariować przez to tkwienie w czterech ścianach. Zwiedzaliśmy Memphis, jesteście tu po raz pierwszy. Ale omijaliśmy miejsca, gdzie ktoś mógłby nas rozpoznać. Nie chcemy, żeby skupiała się na nas uwaga mediów. Chcieliśmy się stąd wyrwać i uciec od dziennikarzy.

– Jest pani jedyną osobą, której nie chcę roześmiać się w twarz, słysząc takie słowa. – Koenig przejechał ręką po krótkich, ciemnych włosach. – Nie jesteście sobie w stanie wyobrazić, jakie macie szczęście, że to ja prowadzę śledztwo, a nie...

– ...jeden z pańskich kolegów, który nie uwierzyłby, że potrafię to, co potrafię?

– dokończyłam. Zamknął usta i po chwili kiwnął głową.

– Nikt nie wie, prawda? W biurze. Że pan w to wierzy? Znów kiwnięcie.

– Od kiedy pan wie, że jest coś poza tym światem? – Moja babka umiała dostrzec duchy.

– A więc ma pan przewagę na tymi, którzy zaprzeczają istnieniu zjawisk nadprzyrodzonych oświadczył Tolliver.

– Często wydaje mi się, że wprost przeciwnie – przyznał Koenig. – Często wolałbym być jak inni. Wtedy mógłbym lekceważyć takich ludzi, jak pani. Ale wierzę, że posiada pani wyjątkowe zdolności. Jednak w tym przypadku uważam, że nie mówi pani prawdy. Co więcej, jestem przekonany, że pani kłamie. – W oczach agenta malował się tak głęboki zawód, że niemal poczułam wyrzuty sumienia.

– Nie zabiliśmy go – zakomunikowałam stanowczo. Zależało mi, aby uznał tę prawdę. – I nie wiemy, kto, ani dlaczego to zrobił.

– Czy uważacie, że Morgensternowie zamordowali doktora Nunleya? A wcześniej swoją córkę?

– Nie wiem – odparłam. – I, na Boga, mam nadzieję, że tego nie zrobili. – Nie zdawałam sobie dotąd sprawy, jak mocno pragnęłam wierzyć, że Morgensternowie byli niewinni. A jeśli nie zabili Tabity, po co mieliby pozbawiać życia Clyde’a Nunleya? Przyjęłam założenie, że sprawcą obu śmierci jest ta sama osoba. Lub osoby. Oczywiście, mogło być ono fałszywe.

– Jesteśmy dzisiaj zaproszeni do nich na lunch – wspomniałam, chcąc zmienić temat. – Pewnie poznamy resztę rodziny.

– Pójdzie pani do kostnicy? Może mogłaby pani powiedzieć coś więcej na temat śmierci Nunleya – rzucił od niechcienia, zupełnie jakbym była patologiem albo ekspertem medycyny sądowej. Fakt, że pracownik organów ścigania bierze moje zdanie pod uwagę i traktuje mnie serio, pochlebiał – Przyjrzę się Nunleyowi, jeśli będę mogła zobaczyć Tabitę. Sprawiał wrażenie szczerze zaskoczonego. – Ale przecież pani już... hmm... „sprawdzała” Tabitę?

Nie miałam ochoty na ponowny kontakt z ciałem Nunleya. Raz już to przeżyłam. Ale byłam skłonna to powtórzyć, jeśli miałabym szansę zobaczyć ponownie dziewczynkę.

– Tamtego dnia byłam zaskoczona i wstrząśnięta, gdy zdałam sobie sprawę, że to jej szczątki. Może udałoby mi się dowiedzieć czegoś więcej.

– To może trochę potrwać, ale zobaczę co da się zrobić – obiecał Koenig. Nie uszło mojej uwagi, że znów zerknął na moje nogi. No cóż, w końcu był mężczyzną. Nie sądziłam, że był szczególnie zainteresowany samą posiadaczką tych nóg.

– Takie odczyty są dla niej bardzo męczące – napomknął Tolliver, chcąc zwrócić agentowi uwagę, że moja propozycja jest naprawdę wspaniałomyślna.

– Interesujące – podsumował Koenig i był to jego jedyny komentarz. – Proszę mi dać znać, jak wrócą państwo od Morgensternów. Może nasunie się pani coś ciekawego, związanego z którąś z obecnych tam osób.

– Zaraz, powtarzam: nie jestem jasnowidzem. Kontakt pozazmysłowy nawiązuję tylko z martwymi, a nie zamierzam odkryć żadnego trupa w ich domu. Właściwie to nie zamierzam tego robić już do końca tej sprawy i aż do kolejnego zlecenia.

– Zakładając, że będziecie mieć warunki do jego realizacji – wtrącił Koenig łagodnie. Zapadło chwilowe milczenie, gdy ja i brat analizowaliśmy w duchu tę pogroźkę.

– W razie czego liczę, że gubernator wyświadczy nam przysługę w ramach rewanżu – oznajmiłam tak spokojnie, jak byłam wściekła. Mina Koeniga wynagrodziła mi tę grę na nerwach z nawiązką.

Naprawdę go zaskoczyłam i sprawiło mi to olbrzymią przyjemność. Wiem, że to dziecinne, ale nigdy nie twierdziłam, że jestem straszliwie dorośle poważna. Z zasady nie ujawniam personaliów moich klientów, ale tym razem czułam, że muszę twardo postawić sprawę.

– Chce pani powiedzieć, że jest gotowa zadzwonić do gubernatora stanowego i zmusić go, aby przeciwstawił się mnie, albo memphijskiej policji, zezwalając wam na wyjazd z miasta? Nie odpowiedziałam, pozwalając, aby moje słowa nie pozostały bez echa.

– To dość nieoczekiwana pogrożka. – Rysy Koeniga stwardniały, a na jego twarzy pojawił się chłód. – Oczywiście, jak każda inna z waszej strony. Nie sądziłem, że uderzycie w ten ton. Popatrzyliśmy na siebie z Tolliverem.

– Nie wie pan, do czego jesteśmy zdolni – powiedziałam, a mój brat przytaknął. Agent obrzucił nas najtwardszym z baterii swoich twardzielowatych spojrzeń.

– Czyj to był samochód? – zapytał Tolliver. Koenig potrzebował chwili, aby zebrać myśli. – Jaki samochód? Ten na parkingu przycmentarnym? Tolliver skinął głową.

– A niby czemu miałbym wam powiedzieć?

– My wyjawiliśmy panu tyle, a pan nie chce tego jednego? – Możliwe, że powiedziałam to z leciutką kpina.

– Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że to było auto Nunleya – rzekł Tolliver.

– I zgadłby pan – potwierdził Koenig. – O dwudziestej pierwszej parking był pusty, ale o świcie samochód już tam stał.

Staraliśmy się nie zdradzać zaskoczenia. Na cmentarzu byliśmy wcześniej – ciało znajdowało się w grobie, ale auta na sto procent nie było.

– Skąd to wiadomo? – zapytałam, dumna, że udało mi się powiedzieć to tak obojętnym tonem.

– Straż kampusu co wieczór objeżdża teren i zawraca w tym miejscu zawsze około dwudziestej pierwszej. Wczoraj o tej godzinie parking był pusty. Ale strażnicy nie wysiadają z auta nawet pod kościołem, a tym bardziej nie zagląдают do grobów. Co ciekawe, Nunley prawdopodobnie już tam był. Czas zgonu ustalono na wcześniejszą godzinę. Nie mógł umrzeć po dwudziestej pierwszej. Stężenie pośmiertne oraz temperatura ciała wskazują, że zginął najpóźniej około dziewiętnastej, a badania treści żołądka potwierdzają tę hipotezę. Oczywiście, nie mamy jeszcze wyników laboratoryjnych, a na pewno dowiemy się czegoś więcej po sekcji.

Porozumieliśmy się wzrokiem. Z ogromnym wysiłkiem powstrzymałam się przed ukryciem twarzy w dłoniach. Teraz dopiero wyszło na jaw, jakie mieliśmy niesamowite szczęście. Jeśli straż kampusu przyłapałaby nas tam z martwym Nunleyem, nikt nie uwierzyłby w naszą niewinność.

– A więc, agencie Koenig, jak pan uważa, dlaczego zabójca odprowadził auto, a potem przyjechał z powrotem? – spytałam. – Zaraz, niech pomyślę. – Przytknęłam palce do skroni w parodii gestu koncentracji. W rzeczywistości miałam pewną teorię. A raczej trzy. Po pierwsze, morderca mógł chcieć wyczyścić wóz, aby usunąć z niego jakieś ślady. Po drugie, może potrzebował po coś pojechać, żeby umieścić to na scenie zbrodni. Po trzecie, mógł nas usłyszeć i ukrył samochód na czas naszego pobytu, żebyśmy go nie zobaczyli.

Koenig z kamienną twarzą popatrzył na mnie, a potem na Tollivera – ani trochę nie rozbawiony.

– Ten człowiek nie żyje. Jeśli nie potraficie zachować powagi, brak wam ludzkich uczuć.

– O, rzuca kartę „to nieludzkie” – powiedziałam do Tollivera.

– Niezbyt oryginalna zagrywka jak dla nas.

– Zdaję sobie sprawę, co robicie – rzekł Koenig. – I muszę przyznać, że nieźle wam idzie. Czy kiedy widzieliście ciało, w grobie leżały kamienie?

– Nie widzieliśmy ciała – stwierdziłam bezbarwnie.

– To były duże głazy. Wystarczająco duże, by rozbić czaszkę – przypomniał. – Myślę, że właśnie dlatego morderca musiał się na jakiś czas oddalić. Pojechał po nie, a potem wrzucał je do grobu celując w głowę Nunleya – może nawet musiał próbować kilkakrotnie. Prawdopodobnie chciał upozorować wypadek. Nunley wpada do dołu, uderzając głową o kamienie. Ale jesteśmy niemal pewni, że nie odbyło się to w ten sposób. Według nas, doktor Nunley został zamordowany.

– Tadam – podsumowałam.

– Wiem, że tak naprawdę was to nie bawi – powiedział Koenig. – I wiem, że nie możecie się doczekać mojego wyjścia, żeby przedyskutować wszystko w spokoju. Będę w pobliżu, gdybyście chcieli ze mną porozmawiać. Jeśli sobie coś przypomnicie, dajcie mi znać. Jesteście na tyle inteligentni, by zdawać sobie sprawę, że każda informacja jest dla nas bardzo ważna. – Wstał z takim wdziękiem, że aż poczułam zazdrość.

– Oczywiście – przytaknął Tolliver, podnosząc się i stając pomiędzy mną a Koenigiem. – Jeśli coś przyjdzie nam do głowy, damy panu znać. – Zawahał się. – I doceniamy pana starania odnośnie tej sprawy. Moją siostrę też to dręczy. – Spojrzał na mnie, a ja kiwnęłam głową. Mimo iż niecierpliwie

czekaliśmy, aż Koenig wyjdzie, i tak było to bardziej przyjacielskie przesłuchanie niż te, które do tej pory przeprowadzali z nami funkcjonariusze. Gdy za agentem zamknęły się drzwi, Tolliver przez moment stał bez ruchu. Potem odwrócił się do mnie, unosząc brwi.

– Tak, to coś nowego – zgodziłam się, widząc jego minę.

– Najgorsze, że przez to jego na wpół przyjazne zachowanie, prawie zacząłem mieć wyrzuty sumienia, że kłamię. Ale z drugiej strony, sporo nam wyjawiał. – Tolliver spochmurniał. – Na przykład czas zgonu.

– Brrr, straszne, nie? Wybraliśmy wyjątkowo odpowiednią chwilę na tę wycieczkę. O włos uniknęliśmy spotkania z mordercą.

– Nie jestem do końca przekonany, czy mieliśmy aż tyle szczęścia. Niewykluczone, że zaczął się gdzieś, obserwując, czy odnajdziemy ciało i wezwiemy gliny. Może stąd wiedział, że tego nie zrobiliśmy i dlatego zdecydował się przyjechać później. Gdybyśmy zadzwonili na policję, musiałyby wymyślić coś innego. Bo jaki sens miałoby przyprowadzenie auta, gdyby istniała szansa, że na parkingu policjant przywita go słowami: „A ty co robisz w aucie denata?”.

Przed oczami stanął mi obraz kogoś kryjącego się w ciemnościach na cmentarzu, kogoś, kto patrzy i czeka na naszą reakcję po odkryciu ciała. Poczułam na piecach ciarki. Nie byłam najlepsza w wyczuwaniu obecności żywych. Ale przerażająca wizja zbladła szybko. To nie trzymało się kupy.

– Nie, nie było go tam. Bo ktoś przyniósł kamienie z zamiarem zatarcia śladów morderstwa. A z tego wynika, że zabójcy nie było, kiedy tam przyjechaliśmy. Po co miałby pozorować wypadek, wiedząc że możemy zeznać, że kiedy widzieliśmy ciało, w grobie nie było kamieni? Tolliver zastanowił się.

– Tak, to ma sens. Przyjmując, że byśmy o tym powiedzieli. I że by nam uwierzono – mruknął.

– Oczywiście, przy takich założeniach. – Podniosłam się i przeciągnęłam. Z powodu uszkodzonej nogi nie mogłam wstać tak lekko jak dużo ode mnie starszy agent FBI. Postanowiłam nie użalać się nad sobą. Poruszyłam się ostrożnie, rozluźniając mięśnie. – I pomyśleć, że mało co nie wpadliśmy na ten patrol. A wydawało nam się, że okolica jest zupełnie wyludniona! Powinni tam zainstalować światła sygnalizacyjne. – Zostało nam jeszcze sporo do przemyślenia, ale robiło się późno, a mieliśmy zobowiązania towarzyskie i choć wizyta u Morgensternów napawała mnie niechęcią, musiałam się zacząć do niej przygotowywać. – Idę coś koło siebie zrobić. Chyba musimy iść na ten lunch. Tolliver wypuścił powietrze ze świstem. Myślał o tym z taką samą niechęcią jak ja, a może nawet większą, biorąc pod uwagę komplikacje wynikające z prawdopodobnej obecności Felicji Hart.

– Wiesz, Morgensternowie chyba mają wyrzuty sumienia, że to przez nich tkwimy w Memphis –

powiedział. – Mam wrażenie, że chcą nam to jakoś wynagrodzić i czują się naszymi gospodarzami.

– Ale właśnie się dowiedzieli, że ich córka nie żyje. Nie powinni sobie teraz zawracać głowy innymi rzeczami, tylko skupić się właśnie na tym.

– A może właśnie nie chcą. Może potrzebują czegoś, co pozwoli im się od tego oderwać.

Wzruszyłam ramionami.

– No to przynajmniej będziemy pomocni – stwierdziłam, ale nie poprawił mi się nastrój. – Uważam, że to fatalny pomysł.

– Mnie też nie zachwyca. Ale musimy tam iść.

– Dobra, dobra – ustąpiłam, słysząc cierpki ton Tollivera. – Zaraz przestanę stroić fochy. Okej, ty weź prysznic, a ja się ubiorę. – Zerknęłam na zegarek. – Mamy półtorej godziny. Wiemy, jak tam dojechać?

– Tak, Joel wytłumaczył mi drogę. Jestem pewien, że Felicja tam będzie. – Spojrzał na mnie surowo. – Czy mam cię prosić, żebyś była grzeczna?

– Nie martw się, będę – obiecałam ze sztucznym uśmiechem, by wzbudzić w nim niepewność. Nie rozmawialiśmy wiele podczas jazdy. Ja prowadziłam, a Tolliver mnie pilotował.

Choć położony w nieco skromniejszej okolicy, memphijski dom Morgensternów nie różnił się zbyt od tego w Nashville. Diana i Joel woleli ekskluzywne przedmieścia od dzielnic starego miasta. Widocznie lubili miejsca, gdzie drzewa zostały niedawno posadzone, trawniki rozwinięte równiutko, ludzie uprawiali jogging rano i wieczorem, a pomiędzy domami krążyły furgonetki firm usługowych niczym podnawki czekające na resztki rekinich posiłków.

Czerwone okiennice oraz drzwi odcinały się od jasnej elewacji. Ogródek frontowy musiał wiosną wyglądać pięknie, a podwójnej szerokości łukowaty podjazd zajmowało teraz kilka lśniących samochodów, w tym perłowy lexus, bordowy buick, zielony navigator oraz cukierkowo czerwony mustang. Zaparkowaliśmy i wysiedliśmy. Nie wiem jak Tolliver, ale ja poczułam się jak na innej planecie. Kilka sąsiednich domów udekorowano na Święto Dziękczynienia. Diana także wystawiła przed swoim kilka bel siana, przyozdabiając je dyniami, kabaczkami, kolbami kukurydzy i innymi jesiennymi płodami rolnymi.

Może jak będziemy mieli wiosny dom, zrobię to samo, pomyślałam i od razu wiedziałam, że to bzdura. Próbowалам sobie po prostu wmówić, że mogłabym mieszkać w takiej okolicy, nie czując się obco. Tolliver uśmiechnął do mnie ponad dachem samochodu.

– Gotowa? – zapytał. – Wyglądasz świetnie.

Miałam na sobie rdzawy sweter z długimi rękawami, ciemnobrązowe spodnie, a na nogach skórzane buty na szpilkach. Na to zarzuciłam brązową kurtkę ze sztucznego zamszu, a przypomniawszy sobie w ostatniej chwili o biżuterii, założyłam prosty złoty łańcuszek. Rzadko noszę biżuterię, ale okazja wydawała się odpowiednia, żeby zadać trochę szyku. Tolliver przemógł się i włożył koszulę z kołnierzykiem oraz spodnie w kolorze khaki. Zastanawiałam się, czy wystroił się tak dla Felicji. Mówił, co prawda, że ma jej dość, że jej nie rozumie, ale mimo to... Nie mogłam odpędzić tych myśli.

Ruszyłam chodnikiem, z trudem stawiając kroki. Naciskając dzwonek, zauważyłam ozdobną płytkę przyklejoną do prawej futryny. Miedź, turkusy i błyszczące kamienie tworzyły ciekawy ornament przedstawiający symbole gołębi i gwiazd Dawida. Sprawiała wrażenie masywnej pokrywy niewielkiej skrzynki, w której mogło się coś znajdować. Zerknęłam pytająco na Tollivera, ale wzruszył ramionami. Też nie miał pojęcia, co to jest.

Drzwi otworzyła Diana. Nie wyglądała najlepiej, ale chyba nic w tym dziwnego. Cięża wyraźnie nie służyła jej urodzie. Diana miała ciemne podkowki pod oczami, straciła wdzięk – poruszała się powoli i ociężale. Szybko jednak przywołała na twarz gościnny uśmiech, wyraziła radość z naszego przyścia i zaprosiła do środka. Zaraz potem pojawił się Joel, który uściśnął nam dłonie. Spojrzał mi głęboko w oczy i powiedział, że bardzo się cieszy z tego spotkania.

Nawet kobieta taka jak ja, która nie była fanką Joela, poczułaby dreszczyk na takie powitanie. A jednak wiedziałam, że za jego zachowaniem nie kryje się nic osobistego, że to nic nieznaczący gest gospodarza witającego gościa. Nie traktowałam tego w kategorii flirtu. Taki miał po prostu sposób bycia.

– Siedzimy w salonie – rzekła Diana znużonym głosem. – Jest miło, wreszcie mamy trochę spokoju. Wyłączyliśmy telefony i komputery, nikt nie ogląda nawet telewizji. – Przez jej twarz przemknął lekki grymas, ale opanowała się szybko, rozciągając usta w uprzejmym uśmiechu. – Chodźcie, przywitacie się z resztą.

„Resztą” okazali się Felicja, jej ojciec, rodzice Joela, Wiktor oraz Dawid, a także dwie przyjaciółki Diany. Samantha oraz Esther wyrwały się z Nashville na jeden dzień. Obie były mniej więcej w wieku Diany i obie tak wymuskane, że ogarnęło mnie współczucie dla ciężarnej gospodyni. Gdy weszliśmy, w salonie toczyła się rozmowa raczej niebyt ożywiona i głośna. Joel zamachał ręką, aby zwrócić uwagę obecnych.

– Tym, którzy jej jeszcze nie znają, przedstawiam Harper, kobietę, która odnalazła Tabitę – ogłosił Joel, a twarze gości zamieniły się nagle w maski bez wyrazu.

Zaskoczyła mnie ta reakcja, tak inna od tych, których doświadczałam do tej pory. Nigdy jeszcze

mnie w ten sposób nie przedstawiono. Już sama prezentacja brzmiała dziwacznie, a biorąc pod uwagę, że dokonywał jej ojciec ofiary zabójstwa, wydawała się jeszcze bardziej osobliwa. Zupełnie jakbym wyświadczyła im ogromną przysługę, a nie wykonała płatne zlecenie, które w dodatku udało mi się zrealizować z kilkumiesięcznym opóźnieniem. Oczywiście, w Nashville zapłacili mi za czas, jaki na nie poświęciłam. I nagle przemknęła mi przez głowę myśl, że skoro wtedy wzięłam pieniądze za niewykonane zadanie, to może powinnam odmówić przyjęcia nagrody, albo oddać ją na cele charytatywne.

Postanowiłam rozważyć tę kwestię później, ale pierwsza moja reakcja sprowadzała się do „nigdy w życiu”. Nigdy nie obiecywałam, że na pewno odnajdę ciało, a tylko w takim przypadku mogłam podać dokładną przyczynę śmierci. Przez wiele dni starałam się odnaleźć Tabitę i włożyłam w to wiele wysiłku – po prostu nie było jej tam, gdzie szukałam.

Stojąc tak na widoku, uświadomiłam sobie jeszcze jedno. Żaden z gości nie wiedział nic o zwłokach w grobie, to znaczy o tych odkrytych dzisiaj. Ze słów Diany wynikało, że przez cały ranek byli odcięci od informacji. Otworzyłam usta, żeby podzielić się z nimi nowiną, ale zrezygnowałam. I tak niedługo się dowiedzą. Zerknęłam na Tollivera, który nieznacznie skinął głową. On doszedł do tego samego wniosku.

Starsi Morgensternowie, para po pięćdziesiątce, wstali, ruszając ku mnie powoli. Matkę Joela podtrzymywał mąż – widać było, że kobieta cierpi na chorobę Parkinsona. Pan Morgenstern wyglądał na silnego mężczyznę, podobnie jak jego synowie, i miał mocny uścisk dłoni. Właściwie, gdyby był wolny i chciał się ze mną umówić, rozważyłabym jego propozycje, bo synowie najwyraźniej odziedziczyli właśnie jego geny.

– Bardzo nam ulżyło, że możemy w końcu zająć się Tabitą – powiedziała pani Morgenstern. – Jesteśmy pani wdzięczni za pomoc. Teraz, gdy nie musimy już żyć w niepewności co do jej losu, może Diana i Joel będą mogli powitać dzieciątko w lepszej atmosferze. Mam na imię Judy, a to mój mąż, Ben.

– Tolliver, mój brat – wskazałam na niego, podając rękę rodzicom Joela.

– A to ojciec Felicji, Fred Hart – dokonał prezentacji Ben. Fred Hart nie był tak krzepki i otwarty jak Ben, ale jak na pięćdziesięciolatka też trzymał się nieźle – nieco szeroki w pasie i siwawy, ale nadal robił wrażenie. W ręku trzymał szklanekę i raczej nie sądziłam, że jest w niej woda sodowa czy sok.

– Miło mi cię poznać, Fred – powiedziałam, gdy w milczeniu potrząsnął moją dłonią. Jego kwadratowa twarz była zacięta w wyrazie ponurej powagi, a na zaciśniętych w cienką linię ustach pewnie rzadko pojawiał się uśmiech. Nic dziwnego – jego córka zmarła na raka, a potem spotkał go kolejny cios, gdy zaginęła przybrana wnuczka. Upił łyk ze szklanki i powędrował wzrokiem do żyjącej córki. Może obawiał się, że ona także może nagle zniknąć. Troje starszych gości skupiło się

przy wbudowanych w ścianę półkach, wypełnionych rodzinnymi fotografiami i innymi pamiątkami.

– Patrzcie, nadal zapalają świece w menorze Tabity – zauważyła Judy, wskazując na świecznik. Ten symbol judaistyczny rozpoznałam. Obok stała druga menora, ale w zupełnie odmiennym stylu.

– Każde dziecko ma swoją? – zapytałam.

– W niektórych rodzinach – wyjaśniła Judy. Wskazała trzęsącą się ręką na drugi świecznik. – Ta jest Wiktora. Oczywiście, musiała być inna. – Posłała mi porozumiewawczy uśmiech, jakby chciała powiedzieć, że wszystkie nastolatki są trudne. Menora Wiktora wyglądała jak mała platforma albo półka z siedmioma świeczkami, za którymi znajdowało się lustro z misternie wykonanym mosiężnym zwieńczeniem. Gdyby obie menory nie miały uchwytów na świece, nie przyszłoby mi do głowy, że to tego samego rodzaju przedmiot kultowy. Fred Hart drżącym palcem wskazał jedną z fotografii.

– Moja córka – rzekł, a ja posłusznie przeniosłam wzrok na zdjęcie, z którego emanowało szczęście. Bardzo atrakcyjna kobieta o krótkich, kasztanowych włosach została sfotografowana w ogrodzie, sadząc z bujności rozkwitłych roślin, prawdopodobnie w maju. Siedziała na białym krześle z kutego żelaza, trzymając na kolanach dziecko w marynarskim ubranku – niechybnie Wiktora. Chłopczyk miał ognistą czuprynę – nic dziwnego, skoro oboje rodzice byli rudowłosi – i uśmiechał się szeroko do obiektywu. Choć nie jestem najlepsza w szacowaniu wieku dzieci, oceniłam go na jakieś dwa lata. Pan Hart dotknął ramki z nieco surową czułością, a potem w milczeniu odsunął się i stanął przy oknie, wyglądając na zewnątrz.

Judy i Ben przedstawili mnie swojemu drugiemu synowi, Dawidowi – nieco mniej okazałej i pociągającej wersji brata. Dawid robił większe wrażenie na zdjęciach niż na żywo. Podobnie jak brat, także był rudzielcem o niebieskich oczach, ale trochę delikatniejszej budowy ciała, a jego spojrzenie nie miało tego charakterystycznego dla Joela magnetyzmu. Dawid Morgenstern nie wyglądał na szczególnie zachwyconego poznaniem mnie. Z chłodnej miny oraz po sposobie, w jaki raczej dotknął mojej dłoni niż ją uściśnął, wywnioskowałam, że nie bardzo pojmuję, dlaczego brat zaprosił mnie i Tollivera do swojego domu.

Właściwie sama się nad tym zastanawiałam, więc nie winiłam go za tę oziębłość. Ciekawa sprawa, ale podczas poprzedniego zlecenia także zostaliśmy przez klienta zaproszeni na lunch do domu. Ale to raczej epizodyczne sytuacje. Normalnie ograniczaliśmy nasz pobyt w miejscu zlecenia jak najbardziej się dało. Nie lubiłam spoufalać się z klientami – ciągnęło to za sobą głębsze zaangażowanie się w ich problemy, a to zawsze oznacza kłopoty. Obiecowałam sobie, że już nigdy tego nie zrobię.

Choć Fred Hart zachowywał dystans wobec reszty gości, starsi Morgensternowie postanowili się nami zająć. A ponieważ uparcie wlekli nas od gościa do gościa, nie byłam w stanie uniknąć kolejnej osoby na trasie tej rundki prezentacyjnej.

– To była szwagierka Joela, Felicja Hart. – W głosie Judy pobrzmiwały lodowate nuty. – Córka Freda.

– Pierwsza żona Joela, Whitney, była nam bardzo droga – rzekł Ben, jasno dając do zrozumienia, że mają odmienny stosunek do jej siostry. Morgensternowie żywili wyraźną niechęć do Felicji. Zastanawiałam się, czym mogła ich tak do siebie zrazić.

– Mieliśmy okazję poznać Felicję – powiedziałam.

– Widziałam się z Tolliverem i Harper dwa dni temu, w hotelu – oznajmiła Felicja w tym samym momencie. Uścisnęła nam obojgu dłonie z nienaganną swobodą, ale wyraz jej oczu nie był tak neutralny jak gesty. Nie sądziłam, że moja obecność zrobi na niej wrażenie, ale spodziewałam się jakiejś reakcji na widok Tollivera. I to ciepłej.

Jednak musiałam zaszeregować ją raczej do klasy gorących, albo nawet wulkanicznych.

Nie „weź mnie w ramiona i zanurzymy się w wulkanie miłości”, ale raczej „ustaw się na szczycie krateru, żebym mogła cię zepchnąć w odmęty rozżarzonej lawy”.

Zagotowałam się w środku. Co ona sobie wyobraża? Chyba nie sądzi, że Tolliver w obecności jej ojca nawiąże jakoś do ich romansu? A może, podobnie jak Dawid, uważała, że nasza obecność na tym rodzinnym (choć właściwie ona też nie była szczególnie związana z nową rodziną Joela) spotkaniu jest nie na miejscu? Jeśli tak, to niech ją szlag. Skoro Tolliver był na tyle dobry, by dzielić z nią łóżko, to jest też dość dobry, żeby dzielić stół z jej najbliższymi! Właśnie miałam coś powiedzieć i prawdopodobnie widać było po mnie złość, bo Tolliver ścisnął znacząco moja rękę. Opanowałam się. Wyraźnie dawał mi znać, że sam sobie poradzi z Felicją.

Zamieniłam kilka słów z Esther i Samanthą, a potem zaczęłam rozglądać się za miejscem, gdzie mogłabym złapać chwilę oddechu. Czułam coraz większe zmęczenie. Dawały mi się we znaki nie tylko przeżycia emocjonalne, ale także noga. Słabła i zaczynała drętwieć, jakby w każdej chwili mogła mnie zawieść.

Zauważyłam pusty fotel stojący obok drugiego, okupowanego przez osobę, która chyba nie czuła się tu wyobcowana. Wiktor kulił się w kącie siedziska jakby dodatkowo chciał się zdystansować od reszty. Obserwował z niepokojem, jak zbliżam się i siadam w fotelu. Niemal niedostrzegalnie skinął głową, po czym spuścił wzrok, skupiając go na swoich rękach w Nashville. Właściwie świadomość, że choć może przypadkiem, ale to mnie obdarzył zaufaniem, sprawiała mi przyjemność.

Przypuszczałam jednak, że Wiktor wspomina to wydarzenie z niechęcią, zakłopotany, że się tak wtędy rozkleił.

Nie miałam natomiast wątpliwości, że to zebranie uważa za jedno wielkie wciskanie kitu. Starał się trzymać jak najdalej od starszych. Wpojono mu zasady dobrego wychowania, na pewno też spoważniał od naszego ostatniego spotkania, ale nadal był nastolatkiem, który wolałby spędzić ten czas z kolegami niż tkwić tu z rodziną, zgromadzoną w dodatku z tak ponurej okazji. Cóż, trudno było mu się dziwić. Biorąc to pod uwagę, nie mogłam mu mieć za złe, że nie przywitał mnie z otwartymi ramionami. Tak więc zebrani tu ludzie nie byli szczególnie zachwyceni naszą obecnością.

Niektórzy udawali życzliwość, inni nawet się nie wysilali. Sami gospodarze zaprosili nas tu tylko dlatego, że czuli się po prostu to tego zobligowani.

Potrafiłam ich zrozumieć. Potrafiłam nawet wejść w ich położenie. Ale to niczego nie zmieniało. Utknęliśmy tu, bez szans na zgrabne wycofanie się z tej wyjątkowo dyskomfortowej sytuacji. Jedynym wyjściem byłoby sięgnięcie po ostentacyjną wymówkę jak nagła choroba, ważny telefon, po którym musielibyśmy niezwłocznie opuścić spotkanie, albo coś równie naciąganego.

Nie wiedziałam jednak, jak zrobić coś podobnego, nie narażając wszystkich na jeszcze większe nieprzyjemności.

W milczeniu patrzyliśmy z Wiktorem, jak Samantha podaje Joelowi szklanekę mrożonej herbaty, którą ten przyjmuje z kurtuazyjnym skinieniem, a potem obserwowaliśmy, jak kobieta zostaje przy nim, czekając z nadzieją na kolejny strzępek zainteresowania.

Wiktor spojrzał na mnie i prychnął pogardliwie.

– Mój tata, zaklinacz lasek – podsumował drwiąco, zaliczając mnie tym samym go grona „niewapniaków”, do których można się odezwać. A jednak nie wyczułam w jego tonie zazdrości, której można by się spodziewać w tej sytuacji po chłopcu w jego wieku. Wydawało się, że celem tego szyderstwa są tak samo „laski”, jak i ojciec. Teraz, kiedy przewyciężył niechęć do rozmowy, nabrał chyba ochoty na odnowienie znajomości. Przysunął się trochę bliżej. – Nie jesteś żydówką, prawda?

– Nie – odparłam. To było proste pytanie.

– Wiktor, mój drogi – zawołała Judy. – Przynieś mi, proszę, z auta moją laskę. Chłopiec przyjrzał mi się uważnie, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy chciał powiedzieć mi coś ważnego. Wstając, posłał mi ponure spojrzenie i powlókł się, aby spełnić prośbę babki. Miałam nadzieję na chwilę spokoju, ale ku mojemu zaskoczeniu, miejsce Wiktora zajęła Felicja. Przyznam, że byłam ciekawa nie tylko tego, co ma mi do powiedzenia po tak chłodnym powitaniu. Postanowiłam odkryć, co też pociągało Tollivera w tej kobiecie.

Mój brat, który rozmawiał akurat z Dawidem, zauważył, jak Felicja siada koło mnie i rzucił mi pytające spojrzenie, nieco zabarwione zakłopotaniem. Ale stał za daleko, żeby usłyszeć, o czym

mówimy, co zresztą było mi na rękę.

– Ty także mieszkasz w Memphis? – zagałam. Mimowolnie pomasaowałam bolącą nogę, ale szybko cofnęłam rękę.

– Tak, mam mieszkanie w apartamentowcu w centrum. Oczywiście z ochroną. Tata był przerażony, jak je kupiłam. „To centrum! Zobaczysz, napadną cię!” – Uśmiechnęła się konspiracyjnie, tak jakby niepokój rodziców był czymś niemądrym. – Do garażu mogą wjechać tylko samochody mieszkańców. Brama jest strzeżona przez całą dobę. To dość kosztowne, ale ile można mieszkać z ojcem? W końcu każdy wylatuje z gniazda. Frank Hart zniknął na chwilę w kuchni, po czym wyszedł stamtąd z kolejnym drinkiem. Wrócił na swoje miejsce i znów zapatrzył się na widok za oknem. Felicja podążyła za moim wzrokiem i zarumieniła się lekko.

– Bardzo dbasz o bezpieczeństwo – powiedziałam, żeby rozładować chwilowe zakłopotanie.

– To ważne dla kobiety, która mieszka sama. Joel ciągle namawia mnie na przeprowadzkę do wschodniej części miasta. – Potrząsnęła głową z uśmiechem, jakby chciała, bym dzieliła z nią rozbawienie troskliwością Joela. Dawała mi w ten sposób do zrozumienia, że pozostaje z nim w bliskich stosunkach. – A tata chciałby, żebym wróciła do niego. Mieszka sam w wielkim domu. – Kolejny podtekst. Tym razem oznajmiała, że pochodzi z bogatej rodziny. – Ale jak widać na przykładzie tych wydarzeń, większe zagrożenie może czyhać na przedmieściach niż w centrum, jeśli nie podejmie się odpowiednich środków bezpieczeństwa.

– Wtedy mieszkali w Nashville – zauważyłam.

– Żadna różnica. Na przedmieściach ludzie czują się zbyt bezpiecznie. Biorą to za coś oczywistego.

Diana, Samantha i Esther opuściły pokój, jak sądziłam, żeby zająć się przygotowaniem lunchu. Rozwahałam, czy nie powinnam zaproponować im pomocy, ale doszłam do wniosku, że pewnie swobodniej będą czuły się we własnym towarzystwie.

– Pewnie teraz nie traktują już tego jak coś oczywistego – zwróciłam się do Felicji. Przez jej szczupłą, dystygowaną twarz przemknął cień.

– Nie, teraz już nie. Obawiam się, że już zawsze będą zerkać przez ramię, szczególnie teraz, gdy przyjdzie na świat nowe dziecko. Wiktor jest już wystarczająco duży, by o siebie zadbać, przynajmniej w pewnym stopniu. Jest typowym nastolatkiem. – Pokręciła głową z uśmiechem. Najwyraźniej typowe nastolatki były według niej głupkowate. – Wydaje im się, że są nieśmiertelni.

– Kto jak kto, ale Wiktor powinien wiedzieć, że to nieprawda. Pomimo chwilowej konsternacji,

Felicja brnęła dalej. – To dziwne, Wiktor ma końskie zdrowie, podobnie jak ja. Jego matka, Whitney, była najstarsza z rodziny. W dzieciństwie była alergiczką. Rodzice całymi nocami siedzieli przy jej łóżku, kiedy dusiła się i kaszłała. – Spochmurniała. Ciekawe, jak wyglądało jej życie w domu, gdzie wszystko kręciło się wokół chorowitej siostry. – W podstawówce przeszła zapalenie płuc, potem mononukleozę, zapalenie migdałków, a w liceum, już umawiała się wtedy z Joelem, pęknięcie wyrostka. Ja nigdy nie leżałam w szpitalu. – Spojrzała na szwagra. – Trzeba było widzieć, jak Joel zajmował się nią podczas ostatniej choroby. Nikogo do niej nie dopuszczał. Tata zresztą niewiele mu ustępował. – Przeniosła spojrzenie na Freda, który niespodziewanie postanowił porozmawiać z Joelem. Nie było słychać o czym mówią, ale Joel słuchał go z uprzejmą, choć nieco znudzoną miną.

– Wiktor pewnie był za mały, żeby odwiedzać ją w szpitalu?

– Tak, poza tym nie chcieliśmy, żeby zapamiętał Whitney tak, jak wyglądała podczas ostatnich dni. Przeniosłam się do nich na ten czas i opiekowałam Wiktorem. Był takim słodkim dzieckiem.

– Wyrósł na przystojnego młodzieńca – rzuciłam zdawkowo.

– Nadal mam na niego oko, przez wzgląd na pamięć o siostrze. Bardzo się cieszę, że przenieśli się do Memphis. Wiktor czasem u mnie zostaje, jak atmosfera w domu robi się przyciężkawa. – Wyłaziła ze skóry, żebym zapytała o przyczyny tej przyciężkawej atmosfery. Czy jej zdaniem uprowadzenie i śmierć dziewczynki to mało?

– Szczęście, że ma tak odpowiedzialną ciotkę wybrałam najbardziej neutralną z możliwych odpowiedzi.

– Spotkałam się parę razy z twoim bratem – oświadczyła nagle Felicja, jakby wrzucała kamyczek do stawu, sprawdzając, co się stanie.

– Wspominał coś – przyznałam obojętnie. Chyba znalazła się w kropce, gdy nie rozwinęłam tematu.

– Możliwe, że trochę za bardzo się przejął, gdy uznałam, że taki związek na odległość nie ma sensu i lepiej będzie się rozstać – rzekła po chwili. Nie bardzo wiedziałam, jak zareagować, ale byłam wściekła. Zupełnie inaczej przedstawił mi tę sprawę Tolliver. Więc ona, naturalnie, kłamała.

– W pewnym wieku już trudno sobie kogoś znaleźć – rzuciłam. Zmarszczyła brwi.

– No wiesz – ciągnęłam. – Faceci są albo żonaci, albo właśnie się rozwodzą, mają dzieci albo są zaangażowani w inne związki.

– Możliwe, nie mam pojęcia. Nigdy nie miałam z tym problemu – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

– Ale ty cały czas jesteś w drodze, więc pewnie trudno ci trafić na wolnego faceta.

O, nie. Jeśli myślała, że dotknie mnie, sugerując, że ciągle przebywam w towarzystwie Tollivera, to się grubo myliła. Poza tym, po co krzyżować szpady z tą kobietą? Tolliver jest dorosły, sam sobie poradzi z jej gierkami.

– Znasz doktora Clyde’a Nunleya? – zapytałam, nie patrząc na nią.

– Studiowaliśmy razem w Bingham – odparła, a ja poczułam ukłucie zaskoczenia. Byłam przekonana, że nigdy go nie spotkała. – Jest kilka lat starszy ode mnie, ale znamy się. Należeli z Dawidem do jednego bractwa. Skinęła w stronę Dawida. Popatrzył na nią pytająco, a kiedy się uśmiechnęła, podszedł, choć niebyt ochoczo. Dawid Morgenstern nie zamierzał zostać przewodniczącym mojego fanklubu, ale kiwnął mi uprzejmie głową.

– Harper pytała właśnie o Clyde’a Nunleya – zaczęła Felicja. Dawid przewrócił oczami.

– Dupek – podsumował. – Na studiach był świetnym gościem, imprezowicz, pierwszy do draki, ale jak tylko został wykładowcą, ubzdurał sobie, że teraz należy do *elyty*. Mądrzejszy i lepszy od zwykłych śmiertelników. Nie spotykamy się na gruncie towarzyskim, ale widuję go czasem na zjazdach absolwentów.

To już przeszłość.

– Diana woła nas do jadalni – powiedziała Felicja, wstając. Dawid przeprosił nas i zniknął za drzwiami w holu, prawdopodobnie łazienkowymi. Tolliver prowadził dyskusję ze starszymi Morgensternami, a z kilku słów, które dosłyszałam, wynikało, że rozmawiają o memphijskiej radzie miasta. Starsi państwo wyglądali na bardziej odprężonych. Może byli zadowoleni, że choć przez chwilę nie muszą rozmawiać o Tabicie. Ruszyłam w kierunku, który wskazała Felicja. Chyba obu nam ulżyło, że nasze małe tete-a-tete dobiegło końca. Nie wiem, co Felicja chciała dać do zrozumienia, umknęło mi to najwyraźniej.

– Czemu pytałaś o Clyde’a? – spytała nagle.

– Przyszedł wczoraj do hotelu, był wzburzony – powiedziałam po chwili.

– O cóż mu, u licha, chodziło? – zdumiała się.

– Nie mam pojęcia – ucięłam, nie chcąc przedłużać rozmowy. Z potraw, które przynieśli sąsiedzi, Diana zrobiła szwedzki bufet. Półmiski ustawiła na długim kontuarze w lśniącej czystości kuchni. W rogu pomieszczenia znajdował się stół, otoczony oknami z ponurym widokiem na szare, zimowe niebo. Na końcu kontuaru, prostopadle do niego, umieszczono barek śniadaniowy z wysokimi

krzesłami, który minęłam, przechodząc przez jadalnię. W tym domu przywiązywano dużą wagę do posiłków.

Niektóre potrawy były zimne, inne gorące, w tym sporo zapiekanek. Kwiatami, które Morgensternowie dostali od przyjaciół, udekorowano kontuar, barek oraz stół. Nie podejrzewałam Diany o taki artyzm. Przeszło mi przez głowę, że to może jej przyjaciółki przyozdobiły to wszystko, ale szybko zganiłam się w duchu za taki brak wiary w możliwości Diany. Nie wiedziałam przecież, jaka jest w normalnych okolicznościach. Gdy goście kręcili się po pokoju, rozejrzałam się bacznie. Kuchnia była przepiękna, można by umieścić jej zdjęcia w magazynie wnętrzarskim. Białe szafki, blaty z ciemnego marmuru, a na środku wyspa. Na ladzie z jedzeniem pysznił się serwis z chińskiej porcelany oraz lśniące srebra. Na zlewozmywakach i sprzęcie AGD ze stali nierdzewnej nie było nawet jednego śladu palca. Jeśli Morgensternowie mieli gosposię, nie było jej w zasięgu wzroku. A może Diana była z rodzaju tych kobiet, które sprzątaję, gdy są w dołku?

Diana zaprosiła wszystkich do poczęstunku, pomogła matce Joela nałożyć wybrane potrawy, a następnie usadziła teściów przy stole w jadalni. Ustawiłam się w kolejce za Felicją oraz Dawidem.

Czekając, obserwowałam jak Diana namawia Freda Harta, by podeszedł do kontuaru i jak mężczyzna odmownie kręci głową. Felicja przyglądała się temu z obojętnym zainteresowaniem, jakby nie pozostały w niej żadne uczucia względem ojca.

Po dłuższej chwili podeszła do niego jednak i powiedziała coś cicho.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju. Biorąc do ręki talerz, zastanawiałam się, czy nie powinnam wyjść i poszukać dla odmiany jakiejś szczęśliwej rodzinie. Los stykał mnie z tyłoma nieszczęśliwymi ludźmi.

Esther zachęciła mnie gestem do poczęstunku, bo stałam bez ruchu, wstrzymując kolejkę. Zganiłam się w duchu za gapiostwo.

Jakaś dobra dusza przyniosła cienko pokrojoną pieczeń, ale przeszłam obok, żeby nałożyć sobie brokuły, owocową zapiekankę w sosie curry, roladę oraz sałatkę fasolową. Diana powiedziała, że możemy usiąść w kuchni, jadalni lub zabrać jedzenie do salonu. Zabrałam sztucce (owinięte w jasną serwetkę) i wspięłam się na wysoki stołek przy blacie.

Ledwie się usadowiłam, podeszła do mnie Esther i stawiając przy talerzu szklanekę z herbatą, uśmiechnęła się niczym rekin, szczerząc olśniewająco białe zęby.

– Bez cukru – zaznaczyła. – W porządku? – Jej ton dawał do zrozumienia, że lepiej przytaknąć.

– Wspaniale, dziękuję – powiedziałam, a Esther odeszła do innych gości. Ku memu zaskoczeniu,

miejsce obok zajął Wiktor, który widocznie uporał się już ze zleceniem od babki. Postawił przed sobą talerz niemal niewidoczny spod ogromnej sterty jedzenia – w której, jak zauważyłam, niemal nie było warzyw – i z prowokacyjnym psyknięciem otworzył sobie puszkę z colą.

– Masz dość dziwaczną pracę – zagał.

– Owszem.

Jeśli chciał mnie urazić, to moja rzeczowa odpowiedź zbiła go z tropu. Ale ja byłam mu wdzięczna za tę odrobinę bezpośredniości.

– A więc cały czas jesteś w drodze? – Tak.

– Fajnie.

– Czasem. Czasem chciałabym mieć taki miły dom.

Potoczył wokół pogardliwym spojrzeniem. Nigdy mu tego nie brakowało, więc prawdopodobnie nie doceniał tak pięknego, zadbanego miejsca.

– Uhm, jest w porządku. Ale żaden dom nie jest dobry, gdy ludzie w nim nie są szczęśliwi.

Interesujące i prawdziwe spostrzeżenie. Choć moim zdaniem wygoda jest zawsze miła, bez względu na stan psychiczny.

– A ty nie jesteś szczęśliwy.

– Nie bardzo. Dość osobista konwersacja jak na dwójkę ludzi, którzy niemal się nie znają.

– Z powodu śmierci Tabity? – Skoro mówimy bez ogródek... Pokręcił głową z wahaniem. Nie przerywał jedzenia podczas tej niemrawej wymiany zdań. Dobrze, że przynajmniej nie mówił z pełnymi ustami. Nagle zdałam sobie sprawę, że jestem mu najbliższa wiekiem i pewnie z tego powodu szukał mojego towarzystwa.

– Może – zgodził się niechętnie. – A teraz to dziecko, które będzie płakało całymi nocami. Tak jak Tabita – dodał niemal szeptem.

– Naprawdę ją lubiłeś, prawda?

– Tak, była w porządku. Wkurzała mnie. Ale była okej.

– Policja dała ci w kość po jej zniknięciu?

– Tak. Czepiali się. Wypytywali. Tata wynajął mi prawnika. – Usłyszałam nutkę dumy w jego głosie. – Nie mogli pojąć, że nie miałbym jej gdzie ukryć. Zresztą, po co miałbym to robić? Gdzie miałbym ją zabrać? Kłóciliśmy się, ale nawet prawdziwe rodzeństwa się sprzecniają. Ty też pewnie się kłócisz z bratem, prawda?

– Dorastaliśmy w tym samym domu, ale nie jest moim prawdziwym bratem. Moja matka wyszła za jego ojca. – Byłam zaskoczona, że mówienie o tym przychodzi mi z taką łatwością. Słowa same układały się w zdania i wyskakiwały z ust.

– To chyba strasznie dziwne mieszkać z kimś w tym samym wieku, kto nie jest rodziną. Szczególnie, wiesz, z kimś innej płci.

– Trochę to potrwało, zanim przywykliśmy – przyznałam. Ale niezbyt dużo czasu upłynęło, nim cała nasza czwórka zjednoczyła się przeciw wspólnemu wrogowi. Odetchnęłam głęboko. – Nasi rodzice brali narkotyki – wyrzuciłam z siebie. – Kokainę. Trawę. Hydrokodon. Kodeinę. Wszystko, co udało im się kupić. Gdy nie było narkotyków, pili. Czy twoi rodzice mieli kiedyś podobny problem?

Szczęka mu opadła i to dosłownie. Nie jesteśmy tacy wyluzowani, co, Wiktorku?

– Rany – odzyskał w końcu głos. – To okropne. To dzieci biorą prochy, nie rodzice.

Jeśli nie było to najbardziej naiwne stwierdzenie, jakie słyszałam, mało mu brakowało. Ale to słodkie w pewnym sensie, że miał jeszcze takie złudzenia. Czekałam jednak na odpowiedź.

– Nie – oświadczył, kiedy otrząsnął się z zaskoczenia. – Starzy nigdy nie zrobiliby czegoś takiego. Nigdy. Żadnych narkotyków. Prawie nie piją, a co dopiero...

– Masz szczęście. Szkoda, że nie wszyscy rodzice są tacy.

– Mama i tata są w porządku. – Chciał, żeby zabrzmiało to pewnie i obojętnie, ale nadal był wstrząśnięty. – To znaczy, oczywiście, nie da się z nimi pogadać. Nic nie rozumieją. Ale można na nich liczyć, jak by co. Kiedy nazwał Dianę mamą, przypomniałam sobie, jaki był mały, gdy Joel poślubił drugą żonę.

– Dużo podróżujesz – rzekł i przejechał dłonią po kasztanowych włosach. – Znasz prawdziwe życie.

– Nawet zbyt dobrze, jak na moje potrzeby. – Ale ty byś wiedziała... – wycofał się w momencie,

kiedy zaczynało się robić coraz ciekawiej.

Nie naciskałam go. Poruszyłam wszystkie sprawy, jakie mogłam, bez zahaczania o te, które mogły wydać mu się dziwne. Nie ja zaczęłam tę rozmowę, ale sporo się z niej dowiedziałam. Jednak patrząc na Wiktora, nakładającego sobie potrawy, których jeszcze nie próbował, wiedziałam, że coś ukrywa. Może był to poważny sekret, a może mała tajemnica, ale musiałam się dowiedzieć, o co chodzi. Miałam nadzieję, że może sam się do mnie z tym zwróci, chociaż ciężko cokolwiek przewidzieć w przypadku nastolatków, biorąc pod uwagę ich zmienne nastroje. W kuchni znajdował się mały telewizor, pewnie po to, żeby podczas gotowania można było oglądać Ophrę lub inny talkshow. Choć Diana mówiła, że wyłączyli wszystkie odbiorniki i telefony, ktoś włączył ten kuchenny, może żeby sprawdzić prognozę pogody, albo wynik meczu. Mimo że nie było dźwięku, coś przykuło uwagę Wiktora. Stał przed telewizorem z talerzem w ręku. Na jego twarzy pojawiło się jednocześnie zaskoczenie, konfuzja i niepokój. Nietrudno było domyślić się, co widzi. Cóż, wiedzieliśmy, że prędzej czy później Morgensternowie o wszystkim się dowiedzą. Jak widać, nastąpiło to prędzej.

– Tato! – zawołał Wiktor takim tonem, że Joel w jednej chwili znalazł się tuż przy nim. – Tato! Znaleźli tego gościa z uczelni! W grobie Tabity! Westchnęłam, wbijając wzrok w talerz. Nie myślałam o tym w ten sposób. W końcu był to grób Josiaha Poundstone’a, on zajmował go najdłużej. Choć, prawdę mówiąc, był to bardzo zatłoczony grób.

W domu nastąpiło poruszenie, ktoś włączył duży telewizor i cała rodzina zebrała się przy nim, w większości z talerzami w rękach. Porozumiałam się wzrokiem z bratem. Zerknął załośnie na kontuar z jedzeniem, ale kiwnął głową. Musieliśmy się stąd wymknąć.

Nie chcieliśmy być niegrzeczni, więc podziękowaliśmy szeptem pani domu, która prawie nie zauważyła, że coś do niej mówimy. Zaraz potem cicho wyszliśmy. Nie wiem nawet, czy ktokolwiek to zauważył.

– Jak wrócimy do hotelu, zaraz ktoś zacznie nam zawracać głowę – oświadczył Tolliver ponuro.

– Przejdźmy się nad rzekę.

Nie wiem, czemu, ale płynąca woda działa na mnie uspokajająco. Pomimo chłodu i niezbyt przystosowanych do pieszych wędrówek butów, spacerowaliśmy po wyludnionym parku na wałach. Wody Missisipi przetaczały się leniwie wzdłuż przedmieść Memphis, tak jak robiły to przed wiekami i jak to będą robić, gdy miasto rozsypie się w gruzy – o ile cała kula ziemską nie zostanie zniszczona wcześniej. Tolliver otoczył mnie ramieniem i szliśmy bez słowa. Miło było pomilczeć z Tolliverem. Miło było znaleźć się daleko od pełnego gości domu Morgensternów. Minęliśmy dwójkę bezdomnych, którzy podawali sobie butelkę, gdy sądzili, że na nich nie patrzymy. Byli zadowoleni, że nie zwracamy na nich uwagi i vice versa.

– Dziwne to wszystko – odezwał się Tolliver.

– Tak. Ale mają bardzo ładny dom. Śliczna kuchnia.

– Rozmawiałem z Fredem. Dostał fantastyczne warunki leasingowe na tego lexusa. – Tolliver strasznie chciał nowy samochód. Nasz miał tylko trzy lata, ale sporo na liczniku... – Widziałem, że przysiadła się do ciebie Felicja.

– Tak. Przyznała, że się spotykaliście. Napomknęła, że z tobą zerwała.

– Ciekawe, czemu w takim razie do mnie wydzwania – prychnął. – Nie pojmuję tej kobiety – dodał po chwili. – Nie pasujemy do przedmiść. Choć mówił lekkim, ironicznym tonem, zorientowałam się, że jest co najmniej zbity z tropu. Kobieta, z którą sypiał, która się za nim uganiała, nie chciała z nim rozmawiać w obecności rodziny. To mogło wytrącić z równowagi każdego, bez względu na stosunek uczuciowy do takiej kobiety. Moja niechęć do Felicji zaczęła przeradzać się w coś zdecydowanie głębszego.

– Wiktor coś ukrywa – powiedziałam, zmieniając temat.

– Może ma porno pisemka pod łóżkiem. Cyscate kociaki.

– Nie sądzę, żeby o to chodziło. A przynajmniej nie to mnie interesuje. Szliśmy przez jakiś czas w milczeniu.

– Myślę, że wie coś o kimś z rodziny, czego usilnie stara się nie łączyć z morderstwem.

– Nie łapię.

– Pomimo wszystko, jest jeszcze naiwnym dzieckiem. – Staralam się, żeby nie zabrzmiało to zbyt protekcjonalnie. – I sporo ostatnio przeszedł.

– Usilnie próbuję nie doszukiwać się tu analogii. – Ja także. Ale chodzi o to, że Wiktor może powiązać któregoś członka rodziny z...

– No, z czym? Ze śmiercią przyrodniej siostry? Clyde'a Nunleya?

– No, nie wiem. Nie do końca. Mówię tylko, że on coś wie i ta wiedza nie wychodzi mu na zdrowie.

– I co mamy z tym zrobić? Nie pozwolą mu się z nami spotkać. Nie uwierzą nam. A skoro nie mówi... Poza tym, co, jeśli to coś dotyczy któregoś z rodziców? Kolejna chwila ciszy.

– A mówiąc o Joelu – odezwał się Tolliver. – Jak ci się udaje nie mdleć na jego widok?

– Proszę?

– Tak, jak inne kobiety. Nie zauważyłaś, że ta śledcza zaczęła się ślinić, jak tylko wypowiedziała jego imię?

– Nie – zdumiałam się.

– Nie zauważyłaś, jakie słodkie oczy robi do niego żona?

– Hmm. Nie.

– Nawet Felicja siada prosto i gapi się, gdy on zaczyna mówić. A jego własna matka zerka na niego dwa razy częściej niż na Dawida.

– Widzę, że mu się bacznie przyglądasz – zauważyłam ostrożnie.

– Nie jemu, raczej innym i ich reakcjom. Wszyscy się dziwnie zachowują w jego obecności, prócz ciebie.

– Chyba po prostu jest typem faceta, który zwraca uwagę kobiet. Ale na mnie jakoś nie działa. Lwie paszcze – wiedziałam, że to jego pomysł i powiedziałam ci wtedy, że jest facetem, który zauważa kobiety, wie, co lubią. Ale nie sadzę, żeby był zainteresowany kimś poza Diana. Moim zdaniem nawet nie wie, na czym polega jego urok. Albo może przyjmuje to jako coś naturalnego, jak zielone oczy czy ładny głos.

– A więc robi wrażenie na kobietach, ale tego nie wykorzystuje – podsumował Tolliver.

– Coś w tym stylu.

– A na ciebie to nie działa, tak? – dopytywał się sceptycznie.

– Mówię tylko, że... tak, właśnie tak.

– I jeśli nie byłby żonaty i chciałby się z tobą umówić, odrzuciłabyś jego propozycję? Zastanawiałam się dłużej niż trzeba.

– Tak sądzę.

– Jesteś nieczuła na męski urok?

– Nie, nie o to chodzi. Po prostu nie ufam facetom, którym wszystko łatwo przychodzi.

Tolliver zatrzymał się i odwrócił mnie do siebie. – To śmieszne. Uważasz, że mężczyzna powinien zapracować sobie na uczucie kobiety?

– Możliwe. A może po prostu uważam, że Joel zaakceptował swoją władzę nad kobietami jak coś naturalnego, coś, co mu się należy.

– Twierdzisz, że nie jest w porządku?

– Nie, nie. Nie uważam go za podrywacza, oszusta czy łajdaka.

– Więc nie podoba ci się tylko dlatego, że nie musi się starać o kobietę?

– Mówię tylko, że to nie fair, kiedy dostaje się tyle bez żadnego wysiłku.

– Nadal nie rozumiem. – Tolliver wzruszył ramionami. Nie potrafiłam mu tego lepiej wyjaśnić. Nie jestem dobra w tłumaczeniu skomplikowanych rzeczy, szczególnie jeśli chodzi o uczucia. Ale miałam wyrobione zdanie na ten temat. I nie do końca ufałam Joelowi Morgensternowi.

W hotelu czekał na nas Rick Goldman. Siedział w holu, w tym samym fotelu, który zajmował, rozmawiając ze mną ostatnio.

– Mogłem się go spodziewać, biorąc pod uwagę wczorajszy incydent – powiedział Tolliver. – Ciekawe, czy mówił już o tym glinom. Przedstawiłam Ricka Tolliverowi tak uprzejmie, jakby detektyw wpadł zaprosić nas na herbatkę. Ale mięśnie zaciśniętych szczęk Goldmana pulsowały, a cała postawa wyrażała napięcie.

– Możemy porozmawiać gdzieś na osobności? – warknął.

– Tak będzie najlepiej – odparł Tolliver. – Chodź. Podróż w windzie przebiegła w złowieszczym milczeniu. Z zadowoleniem stwierdziłam, że podczas naszej nieobecności w pokoju była sprzątaczką. Salonik tchnął czystością, panował w nim idealny porządek. Uważam, że przyjmowanie gości w pokoju, gdzie wszędzie widać ślady pobytu – wózek z resztkami jedzenia, pomięte gazety, rozrzucone książki i buty – jest oznaką niechlujstwa. Cieszyłam się, że mieszkamy w tym hotelu, choć nie zapominałam, że płacimy za to bająnskie sumy.

– Nie musiałaś od razu zabijać Nunleya – wypalił Goldman. – Wiem, że był zalany, ale przecież tak naprawdę nic ci nie zrobił. – Przeniósł wzrok na Tollivera. – A może to ty? Wściekleś się, że napastował twoją siostrę i dopadłeś go po moim wyjściu?

– Równie dobrze to my możemy podejrzewać ciebie – zripostowałam ostro, rozdrażniona jego posądzeniami. – To ty się z nim szarpałeś. Jeśli zamierzasz oskarżać nas, nie mając najmniejszego dowodu, że widzieliśmy się z tym człowiekiem później, możesz od razu wyjść. Zdjęłam kurtkę i cisnęłam ją do sypialni. Tolliver rozebrał się spokojniej.

– Rozumiem, że poinformowałaś już policję o tym wydarzeniu? – zapytał.

– Naturalnie – rzekł Rick. – Clyde Nunley był dupkiem, ale przy okazji wykładowcą w Bingham. Miał rodzinę. Zasługuje na to, by schwytano jego mordercę.

– Tak, słyszałam w wiadomościach, że był żonaty – powiedziałam. – Aczkolwiek nie przypominam sobie, żebym widziała na jego palcu obrączkę.

– Wielu mężczyzn nie nosi obrączki – oświadczył Rick.

– Naprawdę? – zdziwiłam się. – Nie wiedziałam.

– Miał uczulenie na metal – wyjaśnił detektyw.

– Nie spodziewałam się, że tak dobrze go znałeś.

– Czytałem jego akta personalne.

– Założę się, że dziwny temat zajęć Nunleya nie był jedyną przyczyną, dla której zlecono ci śledztwo – stwierdził Tolliver. – Domyślam się, że podejrzewano go o romans, może ze studentką? I uczelnia postanowiła to sprawdzić, mam rację?

– Różne plotki chodziły po kampusie.

– A jego żona nie była zaskoczona, że nie wrócił na noc – przypomniałam sobie. – Na policję zadzwoniła dopiero rano. – Usiadłam na sofie, założyłam nogę na nogę i splotłam dłonie na kolanie. Tolliver, zbyt wzburzony, by znaleźć sobie miejsce, krążył niespokojnie po pokoju. Nasz gość, nie czekając na zaproszenie, rozsiadł się w fotelu.

– Rick, nadal masz przyjaciół w policji, prawda? – zapytał Tolliver.

– Pewnie.

– Więc nie masz nic przeciwko, że wypytają obsługę hotelową o szczegóły wczorajszego zdarzenia w holu?

– Oczywiście, że nie.

– Mimo że opiszą twoim byłym kolegom jak wyrzuciłeś Nunleya z hotelu, podczas gdy moja siostra stała obok i nawet go palcem nie tknęła? Zrobiłam wielkie oczy i postarałam się, żeby błysnęły w nich łzy. Mimo że w istocie byłam twarda, sprawiałam wrażenie kruchej kobiety.

– Ciekawe, jak to zapamiętali. Jak myślisz, powiedzą, że ty zachowywałeś się gwałtownie, stosując przemoc, czy Harper?

– Do diabła. Ja starałem się jej pomóc. – Rick spoglądał na nas tak, jakby nie mógł uwierzyć, że ludzie tacy jak my chodzą spokojnie po ziemi – Niech was szlag!

– Byłam ci bardzo wdzięczna za pomoc, dopóki nie zacząłeś mnie oskarżać – wytknęłam. – Sytuacja z Nunleyem była nieprzyjemna, ale nie groźna. Teraz on nie żyje, a ja nie miałam nic wspólnego z jego śmiercią. Byliśmy z wizytą u Morgensternów, gdy usłyszeliśmy o tym w telewizji. To było okropne.

– Zaprosili was do domu? – Znów udało nam się go zaskoczyć.

– Nie wszyscy mają nas za hochsztaplerów i morderców – rzekłam z przekąsem.

– Poddaję się – powiedział, wyrzucając ręce do góry w melodramatycznym geście.

Najwyraźniej postanowił zafundować nam pokaz aktorszczyzny w wydaniu maestro Ricka.

– Niezłe z was przekręty. Do szału mnie doprowadza, że nie mogę was rozgryźć. Podaliście prawidłowo każdą przyczynę zgonu. Nie pomyliliście się ani razu. Jak wam się udało zdobyć wcześniej te dokumenty? Jak to zrobiliście? No jak?!

Szkoda czasu na próby przekonywania kogoś, kto nie słucha rozsądnych argumentów, albo – mówiąc ściślej – w ogóle nie słucha.

– I tak nie uwierzysz, jak jest naprawdę – powiedziałam. – Nie ma sensu z tobą o tym rozmawiać. Poza tym zaraz tu pewnie będzie policja, a ja chcę wziąć prysznic zanim przyjdą – skłamałam, chcąc żeby Rick Goldman wyniósł się jak najszybciej.

Manfred Bernardo zadzwonił z holu, pytając, czy może do nas wpaść. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu, wyobrażając sobie miny pracowników hotelu na widok gościa o twarzy suto udekorowanej różnego rodzaju kolczykami.

– Ciekawe, co się dzieje, jak przechodzi przez wykrywacze metalu na lotniskach – rzuciłam w stronę Tollivera. Brat czytał kryminał Roberta Craisa, jeden z tych o detektywie Elvisie Cole’u i uśmiechał się od czasu do czasu pod nosem.

– Nie sędzę, żeby często to robił – mruknął. Manfred był typem, który lubił kontakt fizyczny.

Otworzywszy drzwi, ledwie zdążyłam zauważyć, że jest ode mnie nieco wyższy, bo od razu pochylił się, całując mnie w policzek. Nie miałam w zwyczaju witać się w ten sposób, ale chyba uśmiechałam się, zapraszając go do środka.

– Cześć – powiedział przyjaźnie, potrząsając dłonią Tollivera. Brat lustrował go przez moment. Chłopak, tak jak poprzednio, ubrany był cały na czarno. Miał na sobie skórzaną kurtkę i spodnie, gładki podkoszulek, ciężkie buty, a na szyi, twarzy oraz rękach niewielką fortunę w srebrze. Widać było, że niedawno zafarbował odrosty w platynowej czuprynie i bródce. Ciekawe, czy wystroił się tak dla mnie, czy po prostu lubił zwracać na siebie uwagę wyglądem.

– Siadaj. Co u babki? – zapytałam, sadowiąc się na sofie. Spodziewałam się, że Manfred zajmie fotel obok Tollivera, ale chłopak usiadł obok mnie.

– Nie czuje się najlepiej – odpowiedział bez uśmiechu. Widać było, że się o nią martwi. – Ma koszmary o ludziach w grobie, w którym nie powinni się znajdować.

– Oglądałeś dzisiaj wiadomości? Nie wiem, jak daleko od Memphis mieszkacie, ale chyba macie kanał lokalny?

– Nie mamy telewizora – oznajmił. – Babcia uważa, że odbiornik zakłóca jej fale mózgowie. Jak chcę coś obejrzeć, to idę do znajomych.

– No to zobacz, co przyniósł nam dzisiaj agent FBI – powiedział Tolliver, włączając telewizor i odtwarzacz.

Manfred patrzył na ekran w milczeniu. Poczulałam się dziwnie, gdy wziął mnie za rękę, ale nie był to gest o podtekście seksualnym. Miałam wrażenie, że próbuje raczej odebrać jakiś przekaz

energetyczny. Rodzina Bernardo musiała być naprawdę wyjątkowa, jeśli wszyscy mieli tak wyczuloną percepcję pozazmysłową jak Xylida i Manfred.

– Nie wszyscy. Tylko ja i babcia – rzekł Manfred nieobecny tonem, obserwując ekran. Jego srebrne pierścionki rozgrzewały się powoli po podróży do hotelu.

Zaskoczona, musiałam na chwilę otworzyć szeroko oczy, bo Tolliver zerknął na mnie pytająco. Potrząsnęłam głową, dając mu do zrozumienia, że nic się nie stało. Spojrzał przelotnie na nasze splecione dłonie, unosząc brwi, więc uspokoiłam go wzrokiem, że wszystko jest w porządku.

– Czy ten mężczyzna w grobie – odezwał się Manfred, gdy taśma się skończyła – to ten sam, który zaprosił cię do Memphis?

– Owszem.

– A więc pierwszy pochówek odbył się dawno temu, gdy kościół jeszcze działał, tak?

Potwierdziłam. Intensywnie niebieskie oczy Manfreda skupiały się na mej twarzy, ale chłopak nie widział mnie.

– A potem była tam ta dziewczynka? – Tak.

– A wczoraj w nocy poszliście na cmentarz i w tym samym grobie znaleźliście ciało tego mężczyzny? Podskoczyłam, ale Manfred przytrzymał mnie stanowczo, choć łagodnie.

– Tak – powiedział Tolliver powoli. – Odkryliśmy jego zwłoki wczorajszej nocy.

– W tym czasie babcia miała wizję. Wie, że widzieliście przybysza.

– Przybysza?

– Tak nazywa duchy – wyjaśnił Manfred żywo. Nagle znowu był młodym mężczyzną, trzymającym za rękę kobietę, która mu się podobała. Uśmiechał się do mnie szeroko, a ćwiek w jego języku mrugał do mnie srebrzyście. – Babcia często posługuje się własnymi określeniami.

Manfred był zadziwiającym chłopcem. Nie posiadał zbyt wiele doświadczenia życiowego, a jednak wiedział zaskakująco dużo o niezwykłych sprawach. Czułam, że nie onieśmiela go wykwinność, ani nie imponuje mu bogactwo.

– Nie chłopcem – powiedział, patrząc mi w oczy z uśmiechem. Trudno było nie zauważyć w jego wypowiedzi erotycznej aluzji. – Jestem stuprocentowym mężczyzną. Nie byłam pewna, czy jego

słowa przyprawiły mnie o dreszczyk przyjemności czy raczej dreszcz przerażenia; czy mam się roześmiać, czy raczej uciec z krzykiem.

Uśmiechnęłam się do niego niewyraźnie.

– Babcia chciała, żebym wam coś przekazała. Powiedziała, że zobaczycie pierwszą mogiłę Tabity. Nie zrozumiałem tego wtedy, ale nie mogła przyjść sama, bo dokucza jej dzisiaj biodro. Lubi cię, wiesz? Chciała cię ostrzec. Masz uważać na ten grób.

Podobnie jak w kawiarni, pocałował mnie w rękę, fundując pełną gamę wrażeń. Potem, nie prostując się, spojrzał na mnie.

– Daje do myślenia, nie? – spytał miękko.

– Od myśli do czynów jeszcze długa droga – stwierdziłam pragmatycznie.

– Ale zawsze to jakiś początek. – Wstał, uściśnął dłoń Tollivera i wyszedł równie nagle, jak się pojawił.

– O co mu chodziło? – spytał Tolliver podejrzliwie.

– Prawdopodobnie potrafi nawiązać jakiś rodzaj łączności za pomocą dotyku. Nie wiem, może odczytuje emocje? – Czułam się trochę niepewnie, dochodząc do wniosku, że niektóre z moich myśli mogły mieć specyficzne zabarwienie. – Nie wiem, czy jego talent dotyczy wszystkich, czy tylko tych, którzy sami posiadają zdolności parapsychiczne.

– Ale to Xyllda jest jasnowidzem – zauważył Tolliver. – I do tego, co mówiła w kawiarni, dorzuciła dzisiaj coś jeszcze. Będiesz szczęśliwa w czas lodu, cokolwiek to znaczy, i zobaczysz pierwszą mogiłę Tabity.

– Chyba nie mam ochoty widywać się więcej z Xyldą. A jeśli postawi dla mnie karty, nie chcę wiedzieć, co zobaczyła. Zaczynam się jej bać.

– A Manfred? Masz ochotę widywać się z nim? – zapytał Tolliver z uśmiechem.

– No wiesz? – fuknęłam z dezaprobatą. – Chodzi o to, że on jest taki... niezwykły. Jak widzisz kogoś takiego, to zaczynasz się zastanawiać... – zacukałam się. Tolliver zlitował się nade mną.

– Uhm. Też bym się zastanawiał, gdybym spotkał tak ukolczykowaną dziewczynę.

– Taa... Dopiero popołudnie, jeszcze sporo dnia przed nami. Może zrobimy coś fajnego?

– Może zrobię rozliczenie czeków.

– Fantastycznie.

– Możemy sprawdzić, co mają w wypożyczalni hotelowej.

– Mam dość tego pokoju i chcę zrobić coś, co wymaga więcej ruchu niż oglądanie filmów. Jakiś pomysł?

– Chodźmy pobiegać do parku nad rzeką.

– A reporterzy?

– Wymkniemy się od tyłu.

– Zimno jest i chyba będzie padać.

– W takim razie pobiegniemy szybko.

Udało nam się umknąć dziennikarzom, ale nie policji. Funkcjonariusze Young i Lacey nie byli zachwyceni naszym sposobem spędzania czasu, kiedy znaleźli nas w parku. Nie byłam zaskoczona ich widokiem. Dziwiłam się raczej, że nie zadzwonili do hotelu i nie kazali nam pofatygować się na posterunek. Policjanci zakutali się w płaszcze nieprzemakalne, rękawiczki i szaliki. Lacey miał ponurą, lecz zrezygnowaną minę. Young przyglądała nam się z urazą. Gdy podbiegliśmy, okazało się, że ma katar. Czerwony nos świecił jej się jak u renifera Rudolfa z zaprzęgu Świętego Mikołaja. W jednej ręce trzymała parasol, w drugiej zmiętą chusteczkę.

– Zwariowali państwo? – wychrypiała. – Ganiać na takim zimnie prawie nago!

– Wskazała na moje spodenki. Przez chwilę biegłam w miejscu, zwalniając tempo ruchów. Byłam spocona i zmarznięta, ale i ożywiona, jakby wilgotne, chłodne powietrze oczyściło mi umysł z zalegających w nim pajęczyn.

– Pewnie chcecie z nami o czymś porozmawiać? – wydyszał Tolliver, wykonując skłony. Dostrzegłam, że wzrok śledczej Young prześlizgnął się po jego pośladkach.

– Tak – rzekł Lacey pospiesznie. – Może pójdziemy na posterunek? Tam jest przynajmniej ciepło i sucho.

– Nie, nie chcę iść na posterunek – oświadczyłam. – Nie ma tu w pobliżu jakiejś kawiarni? Będzie nam się przyjemniej rozmawiało, jeśli oczywiście nie zamierzacie nas aresztować. Może nawet będą mieli gorącą czekoladę – rzuciłam kusicielsko w stronę policjantki, która kichnęła dwa razy pod rząd, po czym wytarła zaogniony nos w wilgotną chusteczkę.

– Na Popplar jest knajpka – zwróciła się do niezdecydowanego partnera. – Pamiętasz? Mają tam to pyszne ciasto – dodała, nie ukrywając nawet próby przekupstwa.

Jej słowa wywarły magiczny efekt.

Pół godziny później siedzieliśmy w mocno nagrzanej kawiarni. Mężczyźni zamówili kawę, przede mną zaś i przed policjantką stały parujące kubki czekolady. Lacey, szczęśliwy jak prosiak w błotku, zabierał się do orzechowej tarty z bitą śmietaną, a Young miała prawie łzy w oczach, że w końcu znalazła się pod dachem.

– Agent Koenig poinformował nas, że wiecie już o Nunleyu – powiedziała nosowym, lecz w miarę ludzkim głosem. Przytaknęliśmy.

– Przyniósł nam tę wiadomość rano – uściśliłam, chcąc udzielić jak najwięcej informacji. Zawsze staram się mówić szczerze.

– A nas odwiedził Rick Goldman – oznajmiła Young i z błogością łyknęła czekolady. – Opowiedział nam o tej przepychance w holu hotelowym.

– Tak, rzeczywiście przykry incydent – przyznałam. – Wyrzucił Nunleya za drzwi. Mam wrażenie, że doktor był pijany. Zachowywał się agresywnie – wyjaśniłam szczegółowo, mając nadzieję, że brzmi to szczerze.

– Tak, nie tylko pani odniosła takie wrażenie. Zbadamy jego krew na obecność alkoholu. Miał do pani jakieś wąty? – Albo leki na przeziębienie wywołały u niej taką bezceremonialność, albo miała już dość krążenia wokół tematu – Uważał, że mimo podjętych przez niego środków ostrożności, zdobyłam jakimś cudem jego dokumenty i nauczyłam się na pamięć przyczyn zgonu każdego pochowanego na tym cmentarzu człowieka. Goldman oskarżył mnie o to samo.

– Mieli rację?

– Nie, nie muszę uciekać się do oszustw. Mam prawdziwy dar. Zapadła cisza, podczas której funkcjonariusze albo przetrawiali moje słowa, albo kwalifikowali je jako kolejną bzdurę, jaką próbowałam im wcisnąć.

– Czy wczoraj, po powrocie pana Langa z Beale Street wychodzili państwo gdzieś jeszcze? – zapytała Young wprost. Lacey odłożył widelec i wbił w nas wzrok zdolny przeniknąć płytę ołowianą.

– Tak, wychodziliśmy – przyznał Tolliver. Nie mogliśmy zaprzeczyć, bo parkingowy przyprowadził nam auto.

– Dokąd?

– Zrobiliśmy sobie przejażdżkę do Gracelandu – oświadczył Tolliver, a ja mrugnęłam zaskoczona. Sprytne kłamstwo. Niemal każdy turysta w Memphis chce przynajmniej przejechać koło domu Elvisa. A skoro powiedzieliśmy Koenigowi, że pojechaliśmy pozwiedzać, to miejsce pasowało do tego idealnie. Zresztą, zaraz po wyjściu agenta obejrzelśmy Graceland w Internecie, żeby przynajmniej mieć blade pojęcie, co powinniśmy wiedzieć.

– W nocy?

– Tak, nie mieliśmy nic do roboty, a nie byliśmy pewni, czy będziemy mieć jeszcze okazję pozwiedzać. Pojechaliśmy więc do Whitehaven i przespacerowaliśmy się przed posiadłością. Piękne

miejsce. I ta brama... Wspaniała.

– I nie zamierzacie tam wracać? Żeby za dnia zwiedzić dom?

– Elvis Presley jest pochowany na terenie posiadłości tak? – zapytałam.

– Hmm. Owszem. Podobnie jak Vernon i Gladys – jego rodzice oraz Minnie May, babcia.

– W takim razie nie. – Pokręciłam głową. – Zdecydowanie nie mam na to ochoty.

Śledcza Young cmoknęła znacząco. Po wypiciu czekolady w ciepłym pomieszczeniu, poczuła się chyba trochę lepiej. Chociaż jej brązowe włosy nadal zwisały smętnie w rzadkich strąkach, oczy błyszczały ożywieniem. Jej partner miał błogą minę amatora słodkości, który przed chwilą zjadł wyjątkowo pyszny deser. Ale ciasto nie poprawiło mu bystrości.

– Czemu? – zdziwił się bezmyślnie. – Czemu nie chce pani iść tam, gdzie są pochowani?

– Wie pan, chcąc nie chcąc nawiązuję łączność z ciałami. Takie coś mogłoby mi zepsuć wrażenia z Gracelandu.

Z drugiej strony mogłoby rozwiązać kilka wątpliwości. Tolliver był wyraźnie rozbawiony.

– No więc już wiecie, dlaczego nie zależało nam na zwiedzaniu tego miejsca w dzień – podsumował, przejmując prowadzenie rozmowy. – Widzieliśmy też Piramidę i Beale Street. Potem po prostu wróciliśmy do hotelu. Ulżyło mi na myśl, że wyczyściłam dzisiaj rano buty, a spodnie oddałam do pralni hotelowej.

– A wczesnym rankiem odwiedził was agent FBI, tak? – upewniła się Young. Dobrze, że o tym wspomniałam, bo najwyraźniej policjanci wiedzieli o tej wizycie.

– Tak. Chciał, żebyśmy jak najprędzej dowiedzieli się o odnalezieniu ciała. Pewnie chciał być świadkiem naszej pierwszej reakcji.

– I jaka była ta reakcja?

– Cóż, oczywiście to straszne, że Clyde Nunley został zamordowany albo wpadł do grobu i rozbił sobie głowę na kamieniach, czy co tam mu się stało. Zawsze przykro słyszeć o czyjejś śmierci, nawet jeśli jest to ktoś, kogo się nie zna za dobrze. – Choć czasami bardziej, a czasami mniej przykro. – W każdym razie nie mieliśmy żadnego powodu, aby mu źle życzyć.

– Ale pan, panie Lang, mógł być zły, że w taki sposób potraktował pana siostrę. Zwłaszcza w

miejscu publicznym. I szczególnie, że nie było tam pana i musiał jej pomóc ktoś inny.

O, to był cios poniżej pasa. Ale wierzyłam, że Tolliver sobie z tym poradzi, przynajmniej na to wskazywał jego lekki uśmiech.

– Harper potrafi o siebie zadbać – rzekł, a jego słowa sprawiły mi przyjemność. – Nawet gdyby Goldman się wtrącił, nic by jej się nie stało. Lacey przełknął porażkę i zaatakował z innej – Agent Koenig wspomniał, że prosił panią o odczyt z ciała Nunleya, a pani zgodziła się pod warunkiem uzyskania dostępu do szczątków Tabity.

– Och, to nie do końca tak – zaprotestowałam. – To nie był mój pomysł. Agent Koenig uważa, że może uda mi się dowiedzieć czegoś więcej podczas ponownego nawiązania kontaktu – ja tylko przystałam na jego prośbę. Oczywiście, przebywanie w pobliżu ciała dziewczynki będzie dla mnie bardzo trudne, ale jeśli policja uzna, że mogę w ten sposób pomóc, naturalnie postaram się przełamać.

– Sam nie wiem, co o pani myśleć. – Lacey po raz setny świdrował mnie niebieskimi oczkami. – Nigdy dotąd nie spotkałem kogoś takiego i nie mam pojęcia, czy jest pani oszustką czy... Nawet nie wiem, czym.

– Nie pan jeden – pocieszyłam go, bo wydawał się skonsternowany. – Niech się pan nie przejmuje. Jestem do tego przyzwyczajona.

– Macie państwo dzieci? – wypaliła Young nagle. Zapatrzyliśmy się na nią bezmyślnie.

– My? Razem? – wykrztusił Tolliver po dłuższej chwili.

– Proszę wybaczyć, myślałam, że jesteście... – Policjantka chyba zdała sobie sprawę, że popełniła gafę.

– Mieszkamy razem, odkąd ojciec Tollivera poślubił moją matkę. Byliśmy wtedy nastolatkami – wyjaśniłam. – Jest dla mnie jak... brat. – Po raz pierwszy zawahałam się, wypowiadając to słowo.

– Ja mam dwójkę – powiedziała Young pospiesznie, chcąc zatuszować niezręczność. – Parcę. Jeśli któreś z nich by zaginęło, poruszyłabym niebo i ziemię, żeby je odnaleźć. Zawarłabym pakt z diabłem, jeśli trzeba. Zapytam, co Morgensternowie sądzą o pani... ponownym kontakcie z ciałem Tabity. Zobaczmy, co powiedzą.

Ciekawe, jak policjanci zareagowaliby na wiadomość, że widziałam ducha. Jak szybko zaliczyliby nas do szarlatanów. Przypomniałam sobie kościstą dłoń i na chwilę przymknęłam oczy. Jak to się stało, że duch Josiaha Poundstone'a nadal tkwił przy grobie? Wydawało mi się, że mam ustalony

pogląd na sprawę życia po śmierci, ale teraz stanęłam na grząskim gruncie. Dostrzegłam, że ruch uliczny na zewnątrz wzmógł się, a niebo pociemniało. Zbliżał się wieczór. Przez moment opanowało mnie nieprzemienne pragnienie, by wrócić na cmentarz, sprawdzić, czy duch wciąż tam jest, i dowiedzieć się, po co. Co właściwie robiły duchy? Tkwiły w miejscu, nawet gdy w pobliżu nie było ludzi, którzy mogliby je zobaczyć? Materializowały się tylko wtedy, gdy chciały nawiązać kontakt, czy zawsze tam były...?

– Harper. – Głos Tollivera przerwał moje rozważania. – Możemy już iść?

– Tak, tak, oczywiście. – Pospiesznie zaczęłam wkładać kurtkę. Policjanci stali już przy drzwiach w pozapinanych płaszczach, gotowi do wyjścia. Ich miny mówiły, że już od jakiegoś czasu na mnie czekali.

– Przepraszam – powiedziałam. – Zamyśliłam się. – Starłam się przybrać przytomny wyraz twarzy, ale nie jestem dobra w udawaniu, więc pewnie mi nie wyszło. – Ta przebieżka zmęczyła mnie chyba bardziej niż przypuszczałam. Policjanci odprężyli się, słysząc sensowne wyjaśnienie mojego rozkojarzenia, choć Lacey nadal przyglądał mi się nieco podejrzliwie.

– Powinna pani wrócić do hotelu i trochę odpocząć – poradził. – I nie pakujcie się państwo w żadne kłopoty podczas pobytu w Memphis. Skontaktujemy się z wami po rozmowie z Morgensternami.

– Oczywiście. Dziękujemy. – Zapłaciliśmy za nasze napoje, opuściliśmy kawiarnię i rozeszliśmy się do samochodów.

– Co się stało? – zapytał Tolliver, kiedy staliśmy, czekając na możliwość skrętu na drogę do hotelu. Zwierzyłam mu się z dręczących mnie pytań.

– Tak, to faktycznie zastanawiające i sam chciałbym poznać odpowiedzi – przyznał. – Ale odąd postaraj się raczej dumać nad tym w łóżku, albo gdzie indziej, bez publiczności. Miałaś dziwnie nieobecny minę.

– Wyglądałam dziwnie? – spytałam urażona.

– Nie dziwnie – zaprzeczył natychmiast. – Miałaś nieobecny wyraz twarzy.

– Aha.

W końcu doczekaliśmy się na przerwę w strumieniu samochodów wyjeżdżających z centrum. Zbliżaliśmy się do rzeki, gdy odezwałam się znowu.

– Wiesz, z kim chciałabym jeszcze porozmawiać? – No?

– Z Wiktorem. Ale sam mówiłeś, że coś takiego wyglądałoby dziwnie, a co dopiero, gdybyśmy zadzwonili do niego, prosząc o spotkanie.

– Tak. To wykluczone.

– Słuchaj, a może skoro oni zaprosili nas na lunch powinniśmy się zrewanżować i postawić im obiad w restauracji? Tolliver zastanowił się nad tym przez chwilę.

– Są w żałobie, a poza tym pewnie mają teraz na głowie te wszystkie przygotowania do pogrzebu. No i co mielibyśmy im powiedzieć? Owszem, moglibyśmy usprawiedliwić to chęcią rewanżu, ale o czym rozmawialibyśmy z nimi przy stole? Jedyne, co nas łączy, to śmierć ich córki. To nie wpływa dobrze na apetyt, siostrzyczko.

Nie nazywał mnie tak od dawna. Ciekawe, czy sugestia Young też go poruszyła.

– Może masz rację – ustąpiłam. – Ale utknęliśmy w Memphis i to na dobre, więc. Hej, ciekawe, co by się stało, gdybyśmy wyjechali? – Milczeliśmy przez moment. – Pewnie sprowadziliby nas tu z powrotem – odpowiedziałam sama sobie. – I trzymali, dopóki sprawa Nunleya nie zostanie rozwiązana. Dlaczego ktoś go zabił? Nie rozumiem. Przecież wiedział tylko o... O czym on mógł wiedzieć?

– Co łączy Clyde'a Nunleya i Tabitę Morgenstern? – Tolliver wyraźnie naprowadzał mnie na jakiś trop. Nie cierpiałam, gdy to robił.

– Wspólna mogiła.

– Ale poza tym.

– Poza tym nic.

– Owszem, coś jeszcze.

Ściemniło się już niemal całkowicie. Samochody kierujące się na wschód sunęły ulicami zderzak w zderzak. Dobrze, że droga w kierunku zachodnim była luźniejsza. Zaczęło padać, więc Tolliver włączył wycieraczki. – Dobra, nie wiem – poddałam się. – Co łączy te dwie osoby? – Ty.

Miałam wrażenie, jakbym dostała obuchem w głowę.

– Chcesz powiedzieć, że Nunley został zamordowany, bo znał osobę, która zaproponowała mu mój udział w tych zajęciach? – Zrobiło mi się zimno. Może przywykłam do śmierci, może mam silniejszą niż inni świadomość jej zwykłości i nieuchronności, nie znaczy to jednak, że łatwiej mi się pogodzić z faktem, iż mam w niej jakiś udział. To tak, jak z gradem – wiadomo, że występuje w przyrodzie i że jest nieuniknionym zjawiskiem atmosferycznym, ale przecież nie przyjmuje się go z radością.

– Dokładnie. Dużo myślałem o tym zeszłej nocy. Po prostu nie mogłem uwierzyć w tak niesamowity zbieg okoliczności. A jeśli to nie przypadek, ktoś musiał zaaranżować wszystko tak, żebyśmy to właśnie my znaleźli Tabitę. Idąc tym tropem, osoba, która to zrobiła, musi być mordercą. Skoro Clyde Nunley poprosił cię o udział w eksperymencie na cmentarzu, ktoś podszeptał mu twoje nazwisko. Nie wiem, czy ten ktoś naciskał na Nunleya, czy tylko uczynił przyjacielską sugestię w rodzaju: „Słuchaj, prowadzisz zajęcia z okultyzmu, masz pod nosem stary cmentarz; zaprosz tę dziwną kobietę, która odnajduje ciała, żeby zrobiła pokaz dla twoich studentów”.

– Więc sądzisz, że Clyde’a zaskoczyło, gdy odnaleźliśmy ciało Tabity?

– Myślę, że tak. I podobnie jak my nie uwierzył w zbieg okoliczności. Pewnie skojarzył fakty i uznał, że osoba, która mu o tobie powiedziała, musiała coś wiedzieć o śmierci dziewczynki. Był dupkiem, ale nie kretynem.

– Fakt – przyznałam. – Cóż, to znacznie zawęży możliwości, prawda?

– Czyli?

– Wiktor odpada.

– Czemu? Założę się, że jest zapisany do Bingham. Jest w ostatniej klasie liceum, prawda?

– No, dobrze, niech ci będzie. Mało przekonujące, ale okej. Myślałam raczej o tym, że Felicja i Dawid studiowali w Bingham. Podobnie jak starsi Morgensternowie, którzy znają pewnie wiele osób stamtąd, także z tego względu, że mieszkają w Memphis i cztery lata płacili za naukę jednego z synów. To samo dotyczy Freda Harta.

W sumie starsi Morgensternowie nie byli wcale tak posunięci w latach.

– Judy ma zbyt zaawansowanego parkinsona, żeby sama dała radę to zrobić, ale jej mąż jest wysportowany – zauważyłam. – Sądząc na oko, Fred Hart także jest silny.

– To byłoby straszne, gdyby okazało się, że to któryś z dziadków.

– To i tak straszne. Niezależnie, kto to zrobił. Zabicie jedenastoletniego dziecka zawsze jest makabryczną zbrodnią... – urwałam, potrzebując chwili, żeby wziąć się w garść. – Byłam tak wstrząśnięta, kiedy ją znalazłam, że nie zdążyłam.. Musiałabym mieć więcej czasu, żeby czegoś się dowiedzieć.

– Więc chcesz do tego wrócić? Jeśli Koenigowi uda się to zorganizować?

– On chce, żebym zrobiła odczyt dla ciała Nunleya. Przecież nie wie, że tam byliśmy. Nie chcę dotykać znowu Tabity. Nie chcę nawet o tym myśleć. Ale muszę mieć pewność, że dowiem się wszystkiego, co tylko może mi powiedzieć.

– Jesteś dobrym człowiekiem. – Zaskoczył mnie tym stwierdzeniem.

– Nie sędzę, żebym była jakoś szczególnie dobra, a sporo osób ma na ten temat wręcz przeciwne zdanie – powiedziałam, żeby ukryć jak wielką przyjemność sprawiło mi uznanie w jego głosie. Zerknęłam na zegarek, sprawdzając przy okazji datę. I nagle sobie o czymś przypomniałam. – Och, powinniśmy zadzwonić do dziewczynek.

Tolliver powiedział coś, od czego zaczerwieniłyby mi się uszy, gdybym nie słyszała tego setki razy. Ale nie protestował, choć zwykle buntował się przeciw tej ciężkiej próbie, jaką na własne żądanie przechodziliśmy co dwa tygodnie.

Wchodząc do hotelu, ucieszyłam się, że przed wejściem nie czatowali już reporterzy, a w recepcji nie było dla nas żadnych wiadomości. (Pierwszego dnia dostaliśmy ich kilkanaście. Wszystkie oczywiście wyrzuciliśmy do kosza).

W pokoju zagraliśmy w „papier-nożyce-kamień”, aby wytypować, kto tym razem zadzwoni i będzie rozmawiał z ciotką Ioną. Jak zwykle przegrałam, co wydawało się zabawne, biorąc od uwagę moje zdolności. Jeśli naprawdę – jak często ludzie uważają – byłabym jasnowidzem, bez trudu poradziłabym sobie z tak prostą zgadywanką.

Wybrałam numer, Iona Gorham (z domu Howe), jedyna siostra matki Tollivera, wyszła za Hanka dwanaście lat temu. Gorhamowie byli bogobojną parą i przez długie lata bezdzietną. Kiedy przy okazji śledztwa w sprawie Cameron wyszły zaniedbania, jakich dopuścili się względem nas rodzice i oboje ich aresztowano, ciotka zabrała do siebie Mariellę oraz Gracie. Nie byłam wtedy pełnoletnia, więc nie miałam nic do powiedzenia. Mną nie chcieli się zająć, prawdopodobnie uważając, że

siedemnaście lat z matką odcisnęło na mnie trwałe piętno. Zostałam umieszczona w rodzinie zastępczej, co właściwie nie było wcale takie złe. Pomimo wcześniejszych traumatycznych przeżyć, przez ten rok, ostatni rok liceum, odżyłam. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu mieszkałam w czystym domu i jadałam regularnie posiłki, których nie musiałam sama sobie przygotowywać. Mogłam odrabiać w spokoju lekcje, nikt nie rzucał mi sugestywnych komentarzy, nikt nie brał przy mnie narkotyków, a moi opiekunowie byli ludźmi prostymi, miłymi, wymagającymi jeśli chodzi o dyscyplinę. Każdy znał tam swoje miejsce. Wraz ze mną w tym domu mieszkała jeszcze dwójka przybranych dzieci. Przy odrobinie wysiłku, dawaliśmy sobie jakoś radę.

Tolliver, wówczas już dwudziestoletni, przeniósł się do brata. Odwiedzał mnie tak często, jak mógł i jak pozwalali mu na to Goodmanowie.

– Halo? – Męski głos w słuchawce wyrwał mnie z zamyślenia.

– Witaj Hank, tu Harper. – Staralam się mówić spokojnie, bez emocji, nie intonując zdań. Rozmowa z Ioną i Hankiem wymagała transformacji w Szwajcarię. Neutralnie, powtarzałam sobie w duchu. Neutralnie.

– Witaj – rzekł bez krzty sympatii czy entuzjazmu. – Co u ciebie? Gdzie jesteś?

– Wszystko dobrze, dziękuję. W Memphis.

– Pewnie z Tolliverem?

– Och, tak, naturalnie – odparłam wesolutko jak diabli. – Mamy tu fatalną pogodę. A jak w Dallas?

– Nie narzekam. Dość ciepło, około dziesięciu stopni.

– Zazdroszczę. Chciałabym rozmawiać z Mariellą, jeśli jest gdzieś w pobliżu, a potem z Gracie.

– Iona wyszła do sklepu. Zobaczę, czy uda mi się zawołać dziewczynki. Prawdziwy uśmiech losu.

– Złej wiedzy nie ma na horyzoncie – szepnęłam do Tollivera, zakrywając mikrofon, Iona zawsze wynajdywała jakieś wymówki, żeby uniemożliwić nam rozmowę z dziewczynkami. Hank nie był tak podstępny albo tak bezwzględny.

– Cześć – odezwała się w słuchawce Mamiła. Miała teraz dziewięć lat i sprawiała sporo kłopotów. Ale spodziewałam się, że nie będzie aniołkiem, po tym co przeszła. Przez parę pierwszych lat życia dziewczynki nie miały prawdziwych rodziców, którzy wpoiliby im jakieś zasady. Nie mówię, że matka i ojczym ich nie kochali, ale nie była to miłość, która zmusiłaby ich do rzucenia nałogu i odpowiedzialnego zajmowania się dziećmi. Starsze dzieci doświadczyły takiej miłości przez

pewien czas, więc przynajmniej mieliśmy podstawowy system wartości i pojęcie, jak to wszystko powinno wyglądać. Wiedzieliśmy, jacy powinni być rodzice. Znaliśmy dotyk czystej pościeli, smak domowego jedzenia i kiedyś chodziliśmy w nowych ubraniach, które kupiono specjalnie dla nas.

– To ja, Harper – przedstawiłam się, choć przecież Hank na pewno powiedział jej, kto dzwoni. – Co u ciebie?

Staraliśmy się bardzo – ja, Cameron, Tolliver, nawet Mark podrzucił nam czasem jedzenie, jak trochę więcej zarobił.

– Dostałam się do drużyny koszykarskiej w YMCA – obwieściła Mariella.

– Och, to fantastycznie! – I rzeczywiście. Po raz pierwszy Mariella powiedziała coś poza zwyczajowym ponurym pochrząkiwaniem. – Zaczęliście już grać czy dopiero trenujecie?

– W tym tygodniu mamy pierwszy mecz. Jakbyście byli w okolicy, to możecie wpaść.

Zrobiłam do Tollivera minę, dając mu do zrozumienia, że rozmowa przebiega zupełnie inaczej niż zazwyczaj.

– Z przyjemnością. Sprawdzimy nasze plany, ale bardzo chcielibyśmy zobaczyć, jak grasz. Gracie też jest w drużynie?

– Nie. Mówi, że to obrzydliwe tak się pocić przy wszystkich. Mówi, że chłopcy nie lubią dziewczyn, które się pocą. I że wszyscy będą mówili, że jestem lesba. Dosłyszałam w tle oburzony okrzyk Hanka.

– Nie słuchaj jej – powiedziałam pospiesznie. – Pewnie mówi tak dlatego, że sama nie chce grać w koszykówkę. A może grasz troszkę lepiej od niej, co?

– No jasne – stwierdziła Mariella dumnie. – Gracie nie umie rzucić nawet obok kosza. A ja na ostatnim treningu trafiłam dwa razy.

– Na pewno Gracie też jest w czymś dobra – bawiłam się w dyplomację, usiłując jednocześnie podkreślić wagę osiągnięć Marielli.

– Taa – prychnęła Mariella ironicznie. – Chyba w snach.

– Robiliście już w tym roku zdjęcia szkolne? – Uhm. Powinny niedługo przyjść.

– Zostaw dwa dla nas, pamiętaj. Jedno dla Tollivera i jedno dla mnie. Nosimy je w portfelach.

– Dobra. Ej, wiesz? Gracie zapisała się do chóru.

– Poważnie? Jest tam gdzieś przy tobie?

– Tak, w kuchni. – Usłyszałam odgłosy przepychanki.

– No? – Usłyszałam głos drugiej siostrzyczki. Gracie nas nie znosiła.

– Słyszałam, że jesteś w szkolnym chórze, Gracie?

– No i co?

– śpiewasz sopranem czy altem?

– Nie wiem. Śpiewam piosenkę.

– Aha, pewnie w sopranach. Słuchaj, może uda nam się przyjechać na jeden z meczów Marielli. Usiadłabyś z nami na trybunach?

– Nooo, pewnie będę tam z przyjaciółkami. – Tymi, które widywała codziennie w szkole, po szkole i z którymi gadała pół nocy przez telefon, jeśli wierzyć Ionie.

– Wiem, że one są ważne – przyznałam, wcielając się z powrotem w Szwajcarię. – Ale tak rzadko się widzujemy...

– No dobra, zobaczymy – ustąpiła niechętnie. – Głupia koszykówka. Jak Mariella biegnie przez boisko, latają jej policzki. Jak fafuły u psa.

– Mariella to twoja siostra – wysnęło mi się nie tak neutralnie, jak sobie tego życzyłam. – Powinnaś jej kibicować.

– Ta? Bo? Dość tej neutralności.

– Bo masz cholerne szczęście, że masz siostrę! – zaczęłam wzburzona, ale zaraz jak tylko usłyszałam swój głos, umilkłam i odetchnęłam głęboko. – Dlatego Gracie, że tak trzeba. Daję ci brata. – Przekazałam słuchawkę Tolliverowi.

– Cześć Gracie. Bardzo chciałbym usłyszeć, jak śpiewasz. – Spisał się świetnie. Pewnie dokładnie to chciała usłyszeć, bo obiecała, że sprawdzi, kiedy będzie miała występ, żebyśmy mogli przyjechać do Dallas. Potem najwyraźniej oddała telefon ciotce.

– Cześć, Iona – przywitał się Tolliver. Udało mu się nawet powiedzieć to miłym tonem. – Co u was? Naprawdę? Znowu dzwoniłi ze szkoły? Wiesz przecież, że Gracie nie jest głupia, problem musi tkwić gdzie indziej. Aha. Kiedy idzie na badania? Dobrze, że to program stanowy, ale wiesz, że możemy... – Słuchał przez chwilę. – Dobrze. Daj nam znać, jak będą wyniki. Bardzo nam na tym zależy.

Jeszcze jakiś czas musiałam słuchać tej jednostronnej konwersacji, więc byłam uradowana, gdy Tolliver wreszcie pożegnał się i przerwał połączenie.

– Co się stało? – niecierpliwiłam się.

– Nie jest dobrze – odparł chmurnie. – Chociaż rozmowa z Ioną sama w sobie była prawie normalna. Ale nauczycielka uważa, że Gracie ma ADHD. Zaleciła badania w tym kierunku, Iona zabiera tam małą w tym tygodniu. To jakiś program, bo za badania płaci stan.

– Nic nie wiem o tym ADHD – przyznałam. – Musimy poszukać czegoś w Internecie.

– Iona mówi, że jeśli Gracie na to cierpi, będzie musiała przyjmować leki.

– Jakie są skutki uboczne? – Jakieś są na pewno, ale Iona raczej koncentrowała się na zaletach. Najwyraźniej Gracie ostatnio mocno daje w kość w szkole i ciotka chce w końcu trochę spokoju.

– Każdy chce, ale te efekty uboczne...

Resztę wieczoru spędziliśmy przy laptopie, szukając w sieci informacji o ADHD oraz o lekach stosowanych przy tym zaburzeniu. To nie żadna nadopiekuńczość, jeśli wziąć pod uwagę, że wychowywaliśmy te dziewczynki od urodzenia. Poród wywołał w matce instynkty opiekuńcze i nawet starała się zajmować nimi w niemowlęctwie, ale gdyby nie my, Mariella i Gracie nie byłyby karmione, przewijane, nie umiałyby liczyć i nikt nie czytałby im bajek. Gdy Cameron została porwana. Mariella miała trzy, a Gracie pięć lat. Dziewczynki chodziły do przedszkola, ale to my je tam zapisaliśmy i my przekonaliśmy matkę, że to konieczne. Odprowadzaliśmy je przed szkołą, a ona musiała tylko je odbierać o określonej porze, co też przeważnie robiła, jeśli zostawiliśmy jej kartkę z przypomnieniem.

Nie mogłam się powstrzymać od wspomnienia, choć była to ostatnia rzecz, na jaką miałam teraz ochotę.

– Na razie dość – oświadczył Tolliver wreszcie, gdy już wiedzieliśmy nieco na temat tej choroby i leków. ~ Dowiemy się więcej, jeśli diagnoza się potwierdzi.

Byłam wstrząśnięta. Nie miałam pojęcia, że dzieci mogą mieć tyle problemów w szkole. A co

działo się z tymi wszystkimi dziećmi zanim odkryto przyczyny ich problemów i znaleziono sposoby terapii oraz leki?

– Pewnie uważano je za nieprzystosowane, trudne albo opóźnione – stwierdził Tolliver. – I na tym się kończyło.

Zrobiło mi się żal dzieci, które nigdy nie miały szansy na odpowiednie traktowanie, bo nie rozumiano ich problemów. Jednocześnie podczas naszych poszukiwań natknęliśmy się na artykuły mówiące o tym, że rodzice chętnie faszeringują lekami dzieci sprawiające kłopoty. Kurację przechodzą nawet takie, które są po prostu niesforne lub źle się uczą, ale nie mają zaburzeń wymagających podawania medykamentów. To straszne. Zaczęłam się zastanawiać, czy kiedykolwiek odważę się mieć własne dzieci. Raczej mało prawdopodobne. Zdecydowałabym się na założenie rodziny tylko z takim partnerem, któremu bym całkowicie ufała. A jak do tej pory, jedyną taką osobą był Tolliver.

Nagle, gdy tylko to pomyślałam, czas na chwilę stanął. Zupełnie jakby ktoś niespodziewanie włączył żarówkę w mojej głowie. Tolliver odwracał się, kierując do swojej sypialni, a ja wstawałam z krzesła, na którym siedziałam przy stole z laptopem. Wtedy spojrzałam na plecy Tollivera – mój świat wywinął kozła i powrócił na miejsce już zupełnie inny. Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale zamknęłam je z powrotem. Doszłam do wniosku, że ostatnie, czego chcę, to spojrzeć mu teraz w twarz. Gdy zaczął się odwracać, zerwałam się, pognałam do swojej sypialni, zatrzasnęłam drzwi i oparłam się o nie.

– Harper? Coś się stało? – Usłyszałam jego zaniepokojony głos. Wpadłam w panikę.

– Nie!

– Ale masz dziwny głos, jakby coś się stało?

– Nie! Nie wchodź! Tym razem odezwał się dużo chłodniejszym tonem:

– W porządku. – I chyba poszedł do swojego pokoju. Osunęłam się na podłogę.

Nie wiedziałam, co o sobie myśleć, co powiedzieć takiej idiotce jak ja. Znalazłam się na najlepszej drodze, żeby zniszczyć jedyne, co miałam w życiu dobrego. Jedno nieopatrzne słowo, jeden niewłaściwy gest, a mój świat rozpadnie się na kawałeczki. Upokorzę się i wszystko stracę. Błysnęła mi myśl, czy nie powinnam się zabić i w ten sposób z tym skończyć. Ale mój silny instynkt przetrwania odrzucił ją, zanim na dobre zagnieździła się w moim umyśle. Skoro przeżyłam porażenie piorunem, przeżyję i to odkrycie.

On nie może się o tym dowiedzieć, nigdy. Podczołgałam się do łóżka, wdrapałam na materac i ległam bez sił. Przerazona własnym egoizmem i bezmyślnością w ciągu kilku minut dokładnie

zaplanowałam sobie nadchodzący tydzień. Trzymanie Tollivera przy sobie choćby sekundę dłużej byłoby czymś niewybaczalnym.

Ale nie mogę tego zrobić tak nagle, przekonywałam się w duchu. Jeśli przegonię go tak z dnia na dzień, bez wątpienia zacznie coś podejrzewać. Nie mogłam sobie na to pozwolić. Za kilka dni, tydzień, jak to wszystko przemyślę i znajdę jakiś dyskretny sposób. Do tego czasu musiałam mieć się na baczności, uważać na wszystko, co mówię i robię. Życie, które jeszcze przed chwilą wydawało mi się rozpostartym wielowymiarowym barwnym patchworkiem, naraz stało się płaskie i szare. Wpatrywałam się w sufit, przecinając go jasną smugę światła latarni zza okna i czerwone światełko czujnika dymu. Godzinami usiłowałam obmyślić jakąś nową drogę życia, ale nie potrafiłam nawet obrać kierunku.

Blankiem, wychodząc z pokoju przypominałam raczej zombie niż żywego człowieka. Tolliver, który jadł właśnie śniadanie, bez słowa nalał mi kawy. Podeszłam ostrożnie do stołu i opadłam na krzesło z taką ulgą, jakbym właśnie przebrnęła przez pole minowe. Tolliver obrzucił mnie znad gazety przerażonym wzrokiem.

– Jesteś chora? – zaniepokoił się. – Rany, wyglądasz jak siedem nieszczęść! Zdecydowanie poczułam się lepiej. Gdyby powiedział coś miłego, mogłabym się załamać, rzucić na niego i zmoczyć mu całą koszulę łzami.

– Miałam ciężką noc – powiedziałam, wążąc każde słowo. – Nie spałam za dobrze.

– Poważnie? No, co ty nie powiesz? – zakpił. – Wiesz, lepiej zrób sobie makijaż.

– Wielkie dzięki. Jakiś ty miły.

– Ależ proszę. Nie chciałabym, żeby koroner pomylił cię z trupem.

– Dobra, dość!

A jednak ta wymiana zdań poprawiła mi nastrój.

Tolliver złożył gazetę i przesunął ją w moim kierunku. Najwyraźniej nie zamierzał komentować mojego wczorajszego zachowania.

– Niewiele piszą o Tabicie. Chyba temat stygnie.

– Najwyższy czas. – Nawet udało mi się donieść drżącą ręką filiżankę do ust, nie oblewając się przy tym. Pociągnęłam tęgi łyk, po czym powoli odstawiłam naczynie. Tolliver, który zostawił sobie dodatek sportowy, był na szczęście pochłonięty artykułem o koszykówce, więc moja żenująca słabość uszła jego uwadze. Odetchnęłam głęboko, uspokoiłam się i już pewniej wypiłam resztę kawy. Kofeina to wynalazek bogów. Wiedząc, że później tego pożałuję, wzięłam z koszyczka rogalika i pochłonęłam go w przeciągu minuty.

– Mądrze, powinnaś nabrać trochę ciała – rzucił Tolliver.

– Sypiesz dzisiaj komplementami jak z rękawa – odgryzłam się i poweselałam. Nagle ujrzałam

przyszłość w jasnych barwach, choć optymizm ten miał znacznie słabsze podstawy, niż moje nocne załamanie. Przesadziłam wczoraj, prawda? Nic się przecież nie stało, wszystko jest jak dawniej. I nic się nie zmieni. Sięgnęłam po kolejnego rogalika. Nawet posmarowałam go masłem.

– Idziesz pobiegać? – spytał Tolliver łagodnie. – Nie.

– Cóż za święto. Pieczywo i żadnego biegania. A jak noga?

– Dobrze. Zupełnie dobrze. Zapadła chwila ciszy.

– Dziwnie się wczoraj zachowywałaś – zaczął.

– Ech. Miałam parę spraw do przemyślenia – zbyłam go, przy okazji zataczając rogalikiem szeroki krąg, żeby podkreślić, jak wiele tych spraw było.

– Mam nadzieję, że już ci lepiej. Nieźle mnie nastraszyłaś.

– Wybacz. – Staralam się, aby mój głos brzmiał lekko i obojętnie. – Każdy czasem miewa galopadę myśli.

– Uhm. – Przyjrzał mi się i jego myśli chyba również wystartowały właśnie do biegu.

Komórka zadzwoniła zanim zdążył wrócić do czytania. Sięgnęłam, by odebrać, ale był szybszy ode mnie. Ostatnio naprawdę zaczynaliśmy być wobec siebie coraz bardziej tajemniczy.

– Tolliver Lang przy telefonie. – Słuchał przez kilka sekund. – Dobrze. Gdzie to jest? – Znów chwila ciszy. – W porządku. Będziemy tam za trzy kwadranse – powiedział i zatrzaskał klapkę. Popatrzył na mnie tym razem nieco smutno.

– Rodzina wyraziła zgodę. Możemy jechać do kostnicy. Bez słowa wstałam i poszłam do swego pokoju, żeby się ubrać. Dwadzieścia minut później wyszłam umyta, w czystym ubraniu, ale to wszystko, co zdołałam ze sobą zrobić. Wbrew radom Tollivera nie zamierzałam wygłupiać się z makijażem, przejechałam tylko włosy szczotką. Nosiłam krótką fryzurę, bo zwykle nie miałam czasu, żeby siedzieć za długo przed lustrem; właśnie tak jak dzisiaj. Założyłam pierwszy z brzegu sweter, dżinsy, które nawinęły mi się pod rękę i byle jakie skarpetki. Dobrze, że woziłam ze sobą rzeczy, które do siebie mniej więcej pasowały, bo inaczej wyglądałabym, jakbym ubierała się po ciemku.

Tolliver dorównywał mi dzisiaj elegancją. Przed wyjściem z pokoju objął mnie, a ja, zaskoczona, oddałam uścisk, czując tę samą wdzięczność i radość, że jest ze mną. Kiedy nagle dotarło do mnie, co robię, zeszywniałam. Tolliver zareagował błyskawicznie, uświadamiając sobie, że coś jest nie tak.

– O co chodzi? – Odsunął się lekko. – To przeze mnie? Coś ci zrobiłem? Nie potrafiłam mu spojrzeć w oczy.

– Nie, nic – bąknęłam. – Chodźmy i miejmy to już za sobą. W samochodzie panowało niezręczne milczenie. Tolliver jechał zgodnie ze wskazówkami i zanim zdążyłam przygotować się psychicznie, parkowaliśmy pod kostnicą. Już na chodniku czułam intensywne wibracje niedawno zmarłych ludzi. Było ich tam tylu, że z auta wysiadłam na miękkich nogach, przytłoczona wrażeniami. Gdy weszliśmy do środka, kręciło mi się w głowie. Wiem, że rozmawialiśmy z kimś, ale to wszystko, co pamiętam. Podczas przejścia korytarzem wibracje przenikały mnie od stóp do głów. Dość słabo rejestrowałam otoczenie, gdy potężna młoda kobieta prowadziła nas do ciała, które przyszliśmy zobaczyć. Nie miała makijażu, a jej ubranie niewątpliwie pochodziło ze szmateksu.

Praca w takim miejscu pozbawiała pewnie ochoty na cokolwiek.

Kobieta zapukała w jedno z wielu identycznych drzwi i widać musiała usłyszeć zaproszenie, bo otworzyła je i weszliśmy do pomieszczenia.

– Dzień dobry – powitał nas stojący pod ścianą blondyn w białym fartuchu. W pokoju znajdowały się dwa metalowe stoły, na których leżały plastikowe pokrowce. Jeden z nich był wyrzuszony dużo bardziej niż drugi. Tolliver zakaszłał. Intensywny zapach przenikał nawet przez gruby plastik.

– Możesz wyjść – zaproponowałam Tolliverowi, choć wiedziałam, że tego nie zrobi.

Dokonałam prezentacji, a mężczyzna przedstawił się jako doktor Lyle Hatton. Bardzo wysoki, nieproporcjonalnie zbudowany, sprawiał wrażenie niezdarnego. Patrzył na nas zza okularów, dosłownie i w przenośni, z góry. Jednak wobec wszechogarniającego brzęczenia nie zwracałam uwagi na jego niechęć i pogardę.

Zaczęłam unosić plastik, żeby dotknąć Tabity, ale doktor Hatton powstrzymał mnie szybko.

– Rękawiczki! – powiedział ostro.

Irytujący facet. Miałam tu coś do zrobienia, a przez ten huk ledwo docierało do mnie czego chce. Ale najwyraźniej miałam do wyboru albo dotknąć ciała przez plastik, albo założyć rękawiczki. Nigdy się chyba nie zastanawiałam, czy materiał, przez który dotykam zwłok, ma jakieś znaczenie. Ale podświadomie czułam, że do moich celów odpowiedniejsza byłaby bawełna niż guma.

Nie wiedziałam tego jednak na pewno. Położyłam więc dłoń na worku w miejscu, gdzie powinno znajdować się ciało dziewczynki. Oczywiście po tylu miesiącach jej szczątki nawet kształtem nie przypominały ciała. Błyskawicznie nawiązałam kontakt i zobaczyłam ostatnie chwile życia Tabity: obudzona ze snu, z drzemki. Zbliżająca się niebieska plama poduszki. Uczucie... zdrady,

niedowierzania, przerażenia, NIE, NIE, NIE, mamó, ratuj, pomóż mi!

– Pomóż – wyszeptałam. – Pomóż mi. – Nie dotykałam już ciała. Tolliver obejmował mnie mocno, a po policzkach spływały mi łzy. Otoczyłam Tollivera ramionami, wtulając się w niego – pofolgowałam sobie niebezpiecznie, ale tak bardzo potrzebowałam jego bliskości. Spojrzałam na mężczyznę w fartuchu.

– To pan zbierał ślady z jej ciała?

– Tak – przyznał powściągliwie.

– Czy znalazł pan nitki w jej ustach lub nosie? Niebieskie?

– Owszem – potwierdził po wymownej chwili milczenia. – Niebieskie nitki – Udużona – oświadczyłam. – Ale walczyła, zanim zmarła.

Doktor uczynił ręką gest, jakby chciał mi coś pokazać, ale zamarł w pół ruchu.

– Kim pani jest? – zwrócił się do mnie, jak do interesującego okazu mutanta.

– Tylko kobietą, którą poraził piorun – odparłam. – Nie urodziłam się z tym.

– Piorun albo zabija, albo nie i już – stwierdził doktor Hatton zniecierpliwiony.

– Od razu widać, że nigdy nie spotkał pan osoby, która przeżyła coś takiego – zirytowałam się. – Niech pan przyjdzie do mnie kilka miesięcy po tym, jak trzepnie pana kilka tysięcy volt, wtedy porozmawiamy o efektach.

– Jeśli prąd o takim napięciu poraziłby panią bezpośrednio, bez wątpienia byśmy się tu spotkali, ale – nie mówiłaby pani wtedy wiele. Ci, którzy przeżyli coś takiego byli wystawieni tylko na pośrednie wyładowanie. Piorun uderzył obok nich, nie w nich. Nie mogłam uwierzyć, że facet kłóci się ze mną o coś, czego ja doświadczyłam, a o czym on nie miał bladego pojęcia. Dyskusja ta wydawała się jeszcze bardziej absurdalna ze względu na leżące pomiędzy nami ciało Tabity.

– Niech panu będzie – rzekłam i wyprostowałam się, dając Tolliverowi znak, że może mnie już puścić. Trudno było mi zrezygnować z tej bliskości, ale przemogłam się i rozluźniłam uścisk, a on zrobił to sama Podeszłam do drugiego kształtu, większego. Przymknęłam powieki i położyłam rękę na piersi denata. Natychmiast otworzyłam oczy i spojrzałam gniewnie na Hattona.

– To nie jest Clyde Nunley – powiedziałam. – To jakiś młody człowiek, który zmarł od ran zadanych nożem. Doktor Hatton wyglądał, jakbym na jego oczach przemieniła się w ducha.

– To prawda – wyszeptał do siebie. – Na Boga, to prawda – powtórzył i zerknął na mnie jakby obawiając się, że w każdej chwili mogę na niego skoczyć. – Zaprowadzę panią do doktora Nunleya.

Tolliver był na niego wściekły, ja zresztą również. Ale chciałam załatwić sprawę do końca bez względu na wszystko. Podążyliśmy za doktorem korytarzem do większego pomieszczenia – chłodni, w której leżało mnóstwo zwłok. Panował tam nieporządek. Mary stały bezładnie, a tu i ówdzie spod płacht wystawała ręka lub stopa. Wszędzie unosił się ten szczególny zapach – bouquet de la mort. Wibracje zdominowały mój umysł całkowicie. Martwi usiłowali przykuć moją uwagę – zaczynając od staruszki zamordowanej we własnym domu, po niemowlę, które zmarło na zespół nagłej śmierci łóžeczkowej. Ale przyszedłam tu tylko do jednych zwłok i tym razem Hatton zaprowadził mnie prosto do nich. Byłam oszołomiona, rozpraszała mnie taka liczba niedawno zmarłych, więc nie od razu udało mi się skupić na Nunleyu. A potem poczułam to samo, co wcześniej: zaskoczenie, cios, upadek do grobu. Skinęłam Hattonowi, że skończyłam, a potem zachwiałam się, odwracając do Tollivera.

– Dasz radę iść? – zapytał cicho.

– Tak.

– Zaczekajcie – zatrzymał nas Hatton. Popatrzyłam na niego pytająco. Górne światła migotały na jego złotych oprawkach. – Skoro pani już tu jest, mogę prosić o pewną przysługę? Nie myliła się pani co do niebieskich nitek i wiedziała pani, że to nie ciało Clyde’a Nunleya. Może więc będzie mi pani w stanie pomóc Kolejny gratisowy klient.

– O co chodzi? – Nie byłam w nastroju do finezyjnych pogaduszek.

– Te zwłoki, tu... Nie potrafię ustalić przyczyny śmierci tej kobiety. Mieszkała z synem i synową, wystąpiły u niej zaburzenia gastryczne. Przyczyn mogło być wiele, ale spotkałem się z tą parą i mam wrażenie, że ta śmierć jest jakaś podejrzana. Zerknie pani?

Fakt, że Lyle Hatton był dupkiem, ale w tym wypadku nie chodziło o niego, a o zmarłą. A martwym zawsze chętnie pomagałam.

– Analiza toksykologiczna nic nie wykazała, autopsja podobnie – przekonywał mnie Hatton. – Niedługo przed śmiercią zaczęła tracić na wadze, miała też zaburzenia jelitowo-żołądkowe – wymioty, biegunka i tym podobne. Nie chciała jednak iść do lekarza, a w szpitalu znalazła się, gdy było już za późno.

– Ta? – Wskazałam na zwisającą rękę o barwie nieprzypominającej koloru człowieczej skóry. Zamknęłam oczy i dotknęłam jej palcem. Tym razem Hatton nie miał nic przeciwko bezpośredniemu kontaktowi. – Co mi pan tu wciska? – burknęłam, zmęczona. – To młoda kobieta i zmarła z powodu niedokrwistości aplastycznej.

Medyk patrzył na mnie, jakby wyrosła mi druga głowa. Zerknął na przywieszkę.

– Przepraszam – rzekł szczerze. – Bardzo przepraszam, myślałem, że to ona. To ta. – Dwukrotnie sprawdził identyfikator przyczepiony do sąsiednich zwłok.

Westchnęłam ciężko. Dotknęłam plastikowego pokrowca i zmrużyłam oczy. Skoro chciał się ze mną bawić, to proszę bardzo.

– Cleono Chatsworth – jęknęłam przeciągle. – Przybądź, Cleono. Kątem oka dostrzegłam, jak Tolliver pochyła głowę, aby ukryć uśmiech. Doktor Hatton pobladł tak bardzo, że odcieniem skóry przypominał teraz jednego ze swoich podopiecznych. Zaczął nerwowo łapać powietrze. Dobrze odgadłam imię i nazwisko. Na szczęście Cleona Chatsworth bardzo chciała, żeby ktoś dowiedział się, jak zmarła. Nie mogła się wręcz tego doczekać.

– Została otruta – wyszeptałam, ręką zataczając kręgi nad ciałem. Hatton wyglądał, jakby zaraz miał zemdleć.

– Czego mam szukać? – wydusił.

– Trucizna była w sosie do sałatki – powiedziałam śpiewnie. – To selen. Otworzyłam oczy.

– Ta kobieta została otruta. Lyle Hatton wpatrywał się we mnie szklanym wzrokiem.

– Idziemy – zwróciłam się do Tollivera, który nadal spoglądał na doktora, gniewnie zaciskając pięści.

Wróciliśmy tą samą drogą do miejsca, gdzie czekała nasza przewodniczka. Bez słowa odeskortaowała nas do wyjścia. Poczułam niewymowną ulgę, wychodząc na zimną, szarą ulicę, gdzie w końcu mogłam odetchnąć nieskażonym powietrzem. Staliśmy z Tolliverem chyba z pięć minut, obserwując ruch uliczny na Madison, szczęśliwi, że opuściliśmy wreszcie ten budynek. Przed wejściem wibracje zdawały mi się bardzo intensywne, ale to nic w porównaniu do tego, jak czułam się w środku.

– To nie Diana ją zabiła – oznajmiłam, kiedy trochę doszłam do siebie. – Umierając, Tabita wzywała matkę.

– Cudownie – stwierdził Tolliver. – Jednego podejrzanego mniej.

– Nie śmieję się – oburzyłam się, chociaż kąciki jego ust nawet nie drgnęły. – Zawsze to coś.

– Jasne. I wcale się nie śmieję. – Złapał mnie za ramię, odwracając ku sobie. – Nie wiem, jak

udaje ci się przy tym nie oszaleć. Naprawdę, autentycznie cię podziwiam.

To nie był najlepszy moment na okazywanie mi współczucia i to z takim namaszczeniem.

– Chcę się tylko dowiedzieć, kto to zrobił. – Ruszyłam w stronę parkingu. – Zwykle nie mam wyjścia, po prostu przyjmuję do wiadomości, że jedni ludzie zabijają innych. Taki już jest ten świat. Ale tym razem nie potrafię się z tym pogodzić. Jestem naprawdę wściekła.

– Przecież zajmowałaś się już dziećmi – przypomniał Tolliver, mając na myśli wcześniejsze zlecenia.

– Owszem, ale teraz jest inaczej. Nie wiem, czemu. Może to ta rodzina? Wciąż czeka, aż morderca zostanie odkryty, nie mogąc uwolnić się od myśli, że zrobiło to któreś z nich. Nie daje mi to spokoju.

– Właśnie widzę, że strasznie cię to gnębi. I przy okazji wykańcza. Powinnaś przestać się dręczyć.

– Tak, powinnam. Ale nie potrafię. No i nie dowiedziałam się od niej, kto to zrobił. A w dodatku nie możemy stąd wyjechać.

– A w ogóle chcesz wyjeżdżać? Uderzona jego tonem zamarłam w trakcie zapinania pasa.

– Nie rozumiem?

– Zazwyczaj, kiedy zrealizujemy zlecenie, nie możesz się doczekać wyjazdu. Ale ostatnio nawet o tym nie wspominałaś. Co cię tu tak trzyma? Manfred Bernardo? Joel Morgenstern? Czy Seth Koenig?
– Unikał mojego spojrzenia. I bardzo gwałtownie przekręcił kluczyk w stacyjce.

– Co? – Gapiłam się na niego, jakby nagle przeszedł na szwedzki. Roześmiałam się, gdy dotarło do mnie, o co mu chodzi. Ironia losu. Być może w przeszłości takie pytanie miałoby jakieś uzasadnienie. W tamtym życiu może i myślałabym o Manfredzie albo nawet snuła fantazje o Koenigu. Albo Joelu. Umieśnione, silne ciało zapaśnika było niezłym materiałem do takich wizji. Oooh, przygwoźdź mnie do maty, Joel! Ale nie marzyło mi się przygważdżanie przez kogokolwiek.

A jeśli chodzi o Manfreda, to mimo że dzieliła nas niewielka różnica wieku, dla mnie był tylko chłopcem – Nie jestem zainteresowana Joelem i już ci to mówiłam. Poza tym ma szczęśliwe małżeństwo, a ja nie nadaję się na cudzołożnicę. A Manfred, mmm... – mruknęłam z udawanym podziwem. – On to co innego. Nie mogę przestać myśleć, co też kryje się pod tym skórzanym ubrankiem. Tolliver drgnął i gwałtownie obrócił ku mnie głowę. Na widok mojego uśmiechu, zrobiło mu się głupio.

– Dobra, dobra, przepraszam – powiedział zakłopotany. – Przesadziłem, wiem. Jestem

rozdrażniony, bo znalazłem się w dość kłopotliwym położeniu.

– Co? – Natychmiast spowaźniałam. – Co się dzieje?

– Felicja nęka mnie telefonami. – Stanęliśmy na światłach, więc zerknął na mnie wymownie.

– Po wczorajszym? Po tym jak udawała, że widzi cię po raz pierwszy w życiu? Przytaknął.

– Dzisiaj dzwoniła już ze cztery razy.

– Na pewno nie masz ochoty do niej oddzwonić? – Staralam się go wybadać.

– Absolutnie nie. Pamiętasz, jak mówiłaś, że czasem masz wrażenie, jakby mężczyźni chcieli się z tobą spotykać tylko dlatego, bo jesteś taka... inna? Skinęłam głową.

– Właśnie tak się czuję w tym wypadku. – Zabłysło zielone światło, więc Tolliver skupił się na drodze. – Nigdy, tak naprawdę, nic nas nie łączyło. Felicja nie wydawała się pałać do mnie uczuciem, w ogóle nie próbowała poznać mnie lepiej. Nie rozumiem, dlaczego teraz tak usilnie stara się znów ze mną spotykać. A jak się widzimy, zachowuje się jakby mnie nie znała. A potem znowu dzwoni.

– Spałeś z nią. Może, hmm... może jej się po prostu spodobało? – Siliłam się na swobodny ton. Nie rozmawialiśmy często na takie tematy. Żadne z nas nie było typem erotomana gawędziarza. Oboje uważaliśmy, że dyskusje o sprawach łóżkowych są w złym guście. A na dodatek niestosowne.

– Prawdę mówiąc, nie było w tym nic szczególnego. Zwykły seks. – Wzruszył ramionami. Widocznie poczuł, że wykazał się brakiem galanterii, bo dodał: – To piękna kobieta. I ma gorący temperament. Może nawet nieco zbyt gorący. Nie jest za bardzo zainteresowana rozmowami. Szukałam sposobu, aby ująć delikatnie to, co chciałam powiedzieć.

– Czułeś się, jakby cię wykorzystywała? – rzuciłam w końcu, pilnując, aby w moim tonie nie zabrzmiała nawet najłżejsza nutka satysfakcji.

– Właśnie. Teraz wiem, co czują kobiety, których mężczyźni używają jako przyrządów do masturbacji.

Dość wulgarne w formie, ale akuratne w treści.

– A teraz ona nagabuje cię telefonicznie? – Takie zachowanie nie pasowało mi do eleganckiej, niezależnej Felicji.

– Tak. Miesiącami się nie odzywała, a teraz nagle dostała małego rozumu.

– I co zamierzasz z tym zrobić?

– Początkowo myślałem, żeby jej ulec – odparł bardzo zakłopotany. – Znaczy...

– Seks to seks – rzuciłam lekceważąco, chcąc przynajmniej okazać, że podchodzę to tego ze zrozumieniem.

– Ale coś mnie w niej odrzuca. Mogę uprawiać seks z kimś, kogo nie... ehm, z kim nie łączą mnie głębokie uczucia, i czerpać z tego przyjemność. Ale bez przesady. W takiej sytuacji wypada zamienić przynajmniej kilka słów.

– Myślisz, że cię nie lubi? – spytałam z wahaniem. Nigdy nie rozmawiałam z Tolliverem o kobietach w ten sposób i zaczynałam się trochę martwić.

– Nie wiem. Teraz to i ja nie jestem pewien, czy ją lubię.

– Bo jest taka chętna? – Nie podobał mi się wydźwięk takiej supozycji.

– Nie, nie. To mi nawet pochlebia. – Pokręcił głową, wyraźnie sfrustrowany. – Nie jestem facetem, któremu podobają się tylko kobiety trudne do zdobycia. I nie uważam, że te, które nie ukrywają ochoty na seks to dziwki. Tylko że Felicja jest taka... – urwał, szukając odpowiedniego określenia. Jednak widocznie nie umiał go znaleźć, bo zaczął z innej strony. – Z nią wszystko jest takie zbyt intensywne. Tak, jakbym przyzwyczajony do basenu zaczął nagle pływać w oceanie.

To było efektowne porównanie. Popatrzyłam na Tollivera z podziwem i odrobiną zdumienia. On sam miał nieco oszołomioną minę. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, więc uciekłam w żart.

– No to narobiłeś sobie bigosu. I to z własnej winy. – Spojrzał na mnie sceptycznie. – Jesteś tak diabelsko pociągający, że babki nie mogą bez ciebie żyć. Wywrócił oczami.

– Daruj sobie.

Nie wróciliśmy do tematu w pokoju, ale nie przestałam o tym myśleć. Tolliver na pewno wiedział, że go nie zbyłam, tylko po prostu muszę się nad tym zastanowić. Kiedy włączył telewizor i zaczął oglądać mecz koszykówki, zasiadłam na kanapie z książką. Po chwili tak wciągnęła mnie akcja kryminału Margery Allingham „Tygrys we mgle”, że zapomniałam o bożym świecie, przenosząc się o całe dziesięciolecie wstecz do Anglii. Kiedy zadzwonił telefon, zirytowana odłożyłam książkę i podniosłam słuchawkę.

– Cześć, możemy do was wpaść? – usłyszałam męski głos.

– Kto mówi?

– Przepraszam. Tu Wiktor. Wiktor Morgenstern. Zmarszczyłam brwi.

– My, to znaczy, kto? – Jestem z przyjacielem.

Zakryłam dłonią słuchawkę i powtórzyłam wszystko Tolliverowi.

– To dziwne. Kombinuję, jak tu z nim porozmawiać, a on sam zjawia się na progu – powiedziałam.

Tolliver nie był tym tak zachwycony. Właściwie zdawał się nieco rozdrażniony nieoczekiwaną wizytą.

– No, dobra. – Machnął ręką. – Myślałem, że wyskoczymy gdzieś na lunch. Ale okej, zobaczymy, o co mu chodzi. Myślisz, że chce się popisać przed kumplem, czy coś w tym stylu?

Wzruszyłam ramionami i podałam chłopcu numer pokoju. Chwilę później rozległo się niepewne pukanie do drzwi.

Tolliver przywitał gości ponurą miną i niebezpiecznym błyskiem w oku. Nie był wściekły na nich, tylko niezadowolony, że przerwano mu oglądanie meczu. Ale ponieważ ogólnie ma powierzchowność twardziela, gdy jest rozdrażniony rzeczywiście wygląda trochę groźnie. Gdyby stojący w progu chłopcy byli psami, pewnie sierść zjeżyłaby im się na karkach. Jak wielu nastolatków, Wiktor oraz jego przyjaciel robili wrażenie jednocześnie nieśmiałych i zادیornych.

Dopiero teraz, gdy Wiktor miał na sobie opiętą koszulkę, widać było, że rzeczywiście ostatnio sporo ćwiczył. Nie odziedziczył po Joelu tego specyficznego magnetyzmu, ale uroku dodawały mu bardzo duże, niebieskie oczy. Jego towarzysz, wysoki, szczupły blondyn, też niewątpliwie zasługiwał na miano wyjątkowo atrakcyjnego młodzieńca. Obaj mieli na sobie szkolne kurtki, dżinsy i adidasy oraz polo: Wiktor zielone, zaś drugi chłopiec miodowe.

– Co u was? – zaczął Wiktor. – To mój przyjaciel, Barney.

– Dziękuję, dobrze – odparłam. – Harper Connelly – przedstawiłam się Barneyowi. – A to mój brat. Tolliver Lang.

– Cześć. – Barney obrzucił nas szybkim spojrzeniem, po czym wbił wzrok we własne buty. Zaproszeni, usiedli na sofce. My zajęliśmy fotele.

– Może się czegoś napijecie? – zaproponowałam.

– Nie, dzięki. Właśnie skończyliśmy colę – rzekł Wiktor, po czym zapadła chwila niezręcznego milczenia. – Słuchaj, stary, chciałbym pogadać z twoją siostrą – zwrócił się do Tollivera, usiłując przybrać stanowczy wyraz twarzy, jak przystało na prawdziwego mężczyznę.

Mimo że ze wszystkich sił starałam się zachować powagę, czułam, jak drgnęły mi usta.

– No to mów – zachęcił go Tolliver, nie mrugnawszy nawet okiem. – Chyba że chcesz, żebym wyszedł?

– Nie, stary, nie trzeba – zapewnił go Wiktor niecierpliwie i zerknął na Barneya, który poparł go lekkim skinieniem głowy. – Byłaś wtedy w Nashville, więc wiesz, jak to wyglądało – zwrócił się do mnie. – Znaczy wiesz, że było naprawdę źle.

Przytaknęłam.

– Matka... znaczy macocha, trochę świrowała.

– Świrowała? W jakim sensie? – Wyprostowałam się, skupiając uwagę na chłopcu. Nie byłam bardzo zaskoczona, gdy Barney ujął go za rękę. Przez oblicze Wiktora przemknął wyraz zdumienia, ale nie samym gestem, a raczej tym, że przyjaciel tak swobodnie czuł się w naszej obecności. Przez chwilę patrzyli na siebie, po czym Wiktor zacisnął palce na dłoni Barneya.

– Brała... leki, no wiesz. Naprawdę się załamała. Felicja cały czas kursowała między Nashville a Memphis, żeby pilnować, czy w domu jest wszystko w porządku.

– Rozumiem, to musiało być dla was straszne. – Kiwnęłam głową, zachęcając go łagodnie.

– Było – powiedział wprost. – Zacząłem mieć kłopoty w szkole, tęskniłem za siostrą, czułem się okropnie. Ojciec starał się chodzić codziennie do pracy, a matka wstawać co rano, robić coś w domu albo spotykać się z przyjaciółmi, ale ciągle płakała.

– Utrata kogoś z rodziny wywołuje zmiany – rzuciłam nieco bezmyślnie i zaraz zdałam sobie sprawę, że tego, o czym mówił, nie da się podciągnąć pod „zmiany” spowodowane utratą siostry. Nie miałam pojęcia, do czego zmierza Wiktor, ale ogarnęła mnie ciekawość na tyle silna, że zdecydowałam się wysilić, aby konwersacja toczyła się gładko.

– Tak. I to duże. – Otrząsnął się i ciągnął z wahaniem. – Tamtego ranka, wiesz? Kiedy to się stało... Kiedy Tabita...

– Uhm?

– Tata był w okolicy – wyrzucił z siebie. – Zauważyłem jego auto kilka przecznic od domu.

Nie poderwałam się i nie krzyknęłam: „O Boże!”, ale nie było mi łatwo zachować ten pozorny spokój. – Tak?

– No tak, bo wiesz... Znaczy, byłem na treningu. Ale potem... Miałem w Nashville przyjaciela...

Znaczy, to nie był ktoś taki jak Barney, ale spotkaliśmy się i potem chciałem wziąć prysznic, więc pomyślałem, że podskoczę do domu i jak tam szedłem, zobaczyłem po drodze samochód taty, jak stał na światłach. No i pomyślałem, że to niedobry pomysł, że coś zauważy. Znaczy, nie żeby mógł, ale wiesz, jacy są rodzice. – Wzruszył ramionami. – No więc wróciłem na korty, poćwiczyłem trochę, pogadałem ze znajomymi, którzy przyszli pograć. To bardzo blisko, więc jak wróciłem, to zaparkowałem nawet w tym samym miejscu. Nie musiałem nawet mówić, że przez chwilę mnie tam nie było. Relacja ta wywarła na nas wrażenie.

– Oczywiście, nie mogłem nikomu powiedzieć – dodał Wiktor.

– Tak, to oznaczałoby komplikacje – zauważył Tolliver.

– No właśnie, wiesz, słowo do słowa, a potem musiałbym im o sobie powiedzieć – potwierdził.

Tak, bo cały świat kręcił się tylko wokół Wiktora.

– A więc rodzice nie wiedzą?

– No co ty?! – rzucił Wiktor, i obaj chłopcy jednocześnie wywrócili oczami. – Chyba by padli trupem. A potem mnie zabili.

– Moja mama wie i jest spoko. Ale to wyjątek – Nareszcie okazało się, że Barney potrafi mówić.

Chodziło mi o to, czy rodzice Wiktora wiedzą, że widział samochód ojca, ale chłopak zinterpretował moje pytanie po swojemu.

– Jesteś pewien, że to było auto twojego taty? – dopytywał się Tolliver. – Na sto procent?

– Tak – potwierdził Wiktor, jakby stał pod ścianą naprzeciw ogromnej armii. – Oczywiście, że tak. Znam samochód ojca, stary. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś mówił do Tollivera „stary” i mimo okoliczności, bardzo mnie to bawiło.

– Czym jeździ? – spytałam.

– Lexusem. Hybrydą. Perłowy, skórzana tapicerka koloru kości słoniowej. Przez tydzień oglądaliśmy to auto w sieci, zanim je zamówiliśmy. Faktycznie, dość charakterystyczne. Na pewno nie dało się go łatwo pomylić z innym. Poczułam ukłucie rozczarowania, jakby wystawowy pies, którego polubiłam, nagle mnie ugryzł.

– I nigdy go o to nie zapytałeś? – Nie potrafiłam pohamować niedowierzania. – Wiedziałaś, że ojciec mógł mieć coś z tym wspólnego, wiedziałaś o tym przez cały ten czas i nikomu o tym nie powiedziałaś? Wiktor zaczerwienił się mocno, a Barney popatrzył na mnie z jawną wrogością.

– Bo zdajesz sobie sprawę, że tym samym przyznajesz, że twój ojciec kłamał na temat swojego alibi – ciągnęłam, gdy żaden z chłopców się nie odezwał. – Dajesz do zrozumienia, że według ciebie porwał twoją przyrodną siostrę, a swoją córkę i ją zabił.

Podniósł głowę i chciał coś powiedzieć. Widać, że nie potrafił sobie z tym poradzić, był taki młody, bezbronny. Bardzo żałowałam, że tak ostro go traktuję, ale nie mogłam inaczej.

– Daj mu spokój – warknął Barney. Duże, gładkie dłonie zaciskał w pięści. – Przez cały ten czas przechodził piekło. Wie, że jego tata nie mógłby czegoś takiego zrobić. Ale widział samochód i nie może o tym zapomnieć. Nie wiesz, jak to jest. Mylił się, wiedziałam.

– Dlaczego nam to mówisz, Wiktor? Żebyśmy się tym zadręczali razem z tobą?

Chłopak zaczerwienił się jeszcze bardziej. Musiał mieć jakiś poważny powód, że zwierzył się nam po półtora roku trzymania tego w tajemnicy.

– Pomyślałem... – zaczął głosem pełnym cierpienia. – Pomyślałem, że dowiesz się, kto ją zabił. Że uda ci się odkryć zabójcę. Nie mogłem im tego powiedzieć. Przecież zeznałem co innego, a potem musiałbym odwołać to wszystko, przyznać, że kłamałem, że byłem tam wtedy... Bałem się.

– Jak dawałeś sobie z tym radę, mieszkając z nim tyle czasu pod jednym dachem? – zapytałam z czystej ciekawości.

– Nie widziałem go, tylko samochód. Nie widziałem jego twarzy, nie rozmawiałem z nim, widziałem samo auto. To nie jedyny lexus, dziadek też takiego ma. Mieszkaliśmy w dobrej dzielnicy, wiele osób miało podobne.

– Ale byłeś przekonany, że ten należał do niego?

– Bo widziałem go właśnie tam, blisko domu. I pomyślałem: „O, jedzie tata”, bo dziadek był

wtedy w Memphis.

Tolliver rozparł się w fotelu, posyłając mi pytające spojrzenie. Co mieliśmy z tym zrobić? Coś, jakiś drobiazg przekonał wtedy Wiktora, że widzi ojca. Nie wątpił w to. A potem powiedział, że nie widział twarzy kierowcy. I rzeczywiście wiele jest przecież perłowych lexusów, jak wspomniał. Poczułam głęboką niechęć do chłopca za to, że podzielił się z nami tą bezużyteczną wiedzą.

Wiktor wprost przeciwnie, czuł się chyba zdecydowanie lepiej po wyjawieniu nam swojego sekretu. Z jego postawy i drobnych gestów można było wywnioskować, że jest gotowy, aby się stąd zmyć. Nie wątpiłam, że zaraz to zrobi i byłam zła, chociaż starałam się walczyć z tym uczuciem. Przecież nie mam prawa robić miazgi z chłopaka za to, że wyjawiał w końcu to, co powinien był powiedzieć od razu. Podskoczyłam, gdy rozległo się ostre pukanie do drzwi. Chłopcy przejawiali niepokój, więc domyśliłam się, że przyszli tu bez wiedzy kogokolwiek z rodziny. Zaczynałam myśleć, że nasz apartament stał się drugim domem dla wszystkich, którzy mieli jakiś związek ze zniknięciem Tabity Morgenstern. Tolliver, choć zwykle tego nie robił, zerknął przez wizjer.

– Dawid – poinformował. Chłopcy odskoczyli od siebie, jakby nagle ktoś zmienił bieguny ich wzajemnego przyciągania na odpychanie. Zamiast pary na sofie siedziało teraz dwóch kumpli, których surowy dorosły przyłapał w miejscu, gdzie nie powinni się znajdować. – Mam go wpuścić?

– A co? Chcesz go trzymać za drzwiami? Dawid wkroczył do pokoju, podejrzliwie lustrując wszystkie kąty. Kiedy ujrzał bratanka, wyraz jego twarzy wskazywał, że właśnie potwierdziły się jego najgorsze domysły.

– Co ty tu, do diabła, robisz?! – krzyknął, pałając świętym oburzeniem.

– Witaj, Dawid. Jak miło, że wpadłeś – powiedziałam, a Dawid Morgenstern przeniósł na mnie wzrok i zaczerwienił się z gniewu.

– Ty dziwko! – syknął i natychmiast zgiął się wpół, gdy dosięgnął go cios Tollivera.

Cios przyszedł niespodziewanie. Tolliver po prostu zamachnął się i z całą siłą uderzył go pięścią w brzuch. Gdy Dawid, kaszląc, osuwał się na dywan, Tolliver dokładnie zamknął drzwi, żeby nikt nie zobaczył, co dzieje się u nas w pokoju. Barney był przerażony, a na twarzy Wiktora odmalowało się wiele różnych emocji – wśród nich wybijały się zdumienie, zazdrość, a nade wszystko gniew.

Tolliver z uśmiechem satysfakcji rozcierał rękę. Odstąpił od niespodziewanego gościa, żeby dać mi do zrozumienia, że nie zamierza go dalej bić.

– Przyszedł pan z jakąś konkretną sprawą, czy tylko, żeby mnie wyzywać? – spytałam, gdy Wiktor pochylał się nad stryjem, pomagając mu wstać.

– Widziałem, jak rozmawiałaś z Wiktorem wczoraj w domu – powiedział Dawid, kiedy w końcu odzyskał oddech. – A potem, gdy chłopak tu przyszedł...

– Śledziłeś mnie? – przerwał mu Wiktor zdumiony. – Nie wierzę, kurwa, nie wierzę!

– Nic wyrażaj się – złażał go mężczyzna, który przed chwilą nazwał mnie dziwką.

– Doszedł pan do wniosku, że chcę zaciągnąć Wiktora do łóżka? – zapytałam tonem urażonej godności.

– Chciałem tylko sprawdzić, czy nic mu nie jest – zaprotestował Dawid. – Joel i Diana są zaprzątnięci tą sprawą z Tabitą, Felicja poszła do pracy, a moi rodzice... Matka źle się czuje. Stwierdziłem, że ktoś musi pilnować Wiktora. Chłopak nie powinien zadawać się z takimi jak wy.

– Pana zdaniem pilnowanie polega na obrażaniu ludzi?

Tolliver stanął przy mnie, a ja poczułam, że mam ochotę ucałować dłoń, która grzmotnęła Dawida Morgensterna.

– Pomyślałem – zająknął się i zaczerwienił tak, jakby zaraz miał dostać wylewu. Odchrząknął, wsparł się na podłokietniku fotela, jakby potrzebował czegoś się przytrzymać i zaczął znów. – Pomyślałem, że może chłopcy przyszli tu, żeby...

Nie zamierzałam mu pomagać. Cierpliwie czekaliśmy, aż dokończy zdanie. Wiktor i Barney wymienili spojrzenia, które jasno sugerowały, jak idiotyczne ich zdaniem były posądzenia Dawida i co myślą o śledzeniu dzieci. Dorośli!

– Hm. Pomyślałem, że przyszli tu, bo uważają, że jesteście tacy fajni – dokończył niewyraźnie Dawid chyba świadomy nieudolności swego kłamstwa.

– Bo jesteśmy – oświadczyłam. – Prawda, Tolliver?

– Jasne – odrzekł Tolliver, poklepując moją dłoń swoją potłuczoną ręką. Dawid w końcu pozbierał się na tyle, by okrążyć fotel i usiąść. Aczkolwiek nikt nie wystąpił z taką propozycją.

– Może nam pan wyjaśnić, dlaczego obrażanie mnie uważa pan za rzecz naturalną? – spytałam słodko.

– Przepraszam – odezwał się, gdy moja cierpliwość była bliska wyczerpania. – Ale pani brat nie musiał mnie od razu bić!

– Tolliver nie jest moim bratem, a najbliższym przyjacielem – sprostowałam ku własnemu zdumieniu. – I nie lubi, gdy ktoś obrzuca mnie wyzwiskami. Pan nie uderzyłby osoby, która nazwałaby Dianę dziwką?

– Kiedy Tabita zniknęła, Diana zaczęła dostawać różne telefony – wyznał nieoczekiwanie. – Ludzie wyzywali ją od najgorszych. Szczególnie po tym, jak wyszło na jaw, że wcześniej się pokłócili. Nawet sobie pani nie wyobraża, jacy ludzie potrafią być chamscy.

– Z przykrością muszę stwierdzić, że sobie wyobrażam.

Dopiero po chwili dotarł do niego sens mojej odpowiedzi. Czerwień oblała go niczym fala przyływu.

– Ma pani rację, okropnie się czuję. Postąpiłem niewybaczalnie. Przekonałem się, że Wiktorowi nic nie jest, towarzyszy mu jego najlepszy przyjaciel i wszystko gra. Zachowałem się jak idiota. Cześć, Barney – rzucił Dawid w żalostnej próbie odzyskania godności. – Co u ciebie, chłopcze?

– Dziękuję, dobrze – odparł Barney wyraźnie zakłopotany. – A u pana? – rzucił automatycznie i natychmiast zakaszłał, żeby ukryć chichot, który nieomal wyrwał mu się z ust, gdy dostrzegł niezamierzoną ironię swojego pytania.

– Bywało lepiej. – Dawid odzyskiwał powoli panowanie nad sobą. – Może się gdzieś przeleccie, chłopcy? Mam do pomówienia z panną Connelly i panem Langiem.

– Dobrze stryjkę. Jeśli czujesz się na tyle dobrze, żeby cię zostawić – powiedział Wiktor z fałszywą troską.

Dawid spojrzał na niego ostro, a ja pomyślałam, że Wiktorowi przyjdzie słono zapłacić za ten moment zabawy. Ale chłopak nieźle udawał powagę.

– Chodź, Barney – zwrócił się do towarzysza. Dorośli chcą porozmawiać. – Wyszli z pokoju, rzucając sobie ukradkiem porozumiewawcze uśmiešky. Drzwi zamknęły się za nimi z hukiem. Ostatnio bywało tu tyle ludzi, że równie dobrze mogliśmy je zostawiać otwarte.

Usiedliśmy z Tolliverem na sofie, czekając aż Dawid zacznie mówić.

– Diana wspominała, że dostaniecie nagrodę za odnalezienie ciała Tabity – wypalił. Czekaliśmy nadal.

– Nic nie powiecie? – zapytał zapalczywie. Wydawałoby się, że ogień został ugaszony, a tu nagle wybucha znowu.

– Co mielibyśmy powiedzieć? – spytałam.

– Chcecie wziąć pieniądze od mojego brata i jego żony – oburzył się. – Pieniądze, które są im potrzebne.

– Mnie także – zauważyłam rozsądnie. – Zarobiłam je. Poza tym, założę się, że to nie oni wyłożyli całą kwotę. Zaskoczyłam go.

– Cała rodzina się zrzuciła – przyznał. – Dużo dał Fred i oczywiście sporo moi rodzice. Nie mogłam sobie wymarzyć lepszej okazji.

– Twój ojciec był bardzo związany z Tabitą, prawda?

– Owszem. – Zapatrzył się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. – Ojciec jest wspaniałym człowiekiem. Gdy jechali odwiedzić Joela, zawsze szedł z Tabitą do stajni na lekcje jazdy konnej. Chodził na jej mecze softballowe.

– Twoja matka im towarzyszyła?

– Nie. Chyba zauważyłaś wczoraj, że jest chora.

Parkinson powoli odbiera jej siły. Jeśli przyjeżdżała do Nashville, zostawała w domu z Dianą. Ma na jej punkcie kota. Oczywiście, Whitney też bardzo lubiła.

– Twoi rodzice mają lexusa, tak? Takiego samego jak Joel?

– Czemu mnie tak wypytyujesz?

I tak się dziwiłam, że wcześniej o to nie zapytał. Może Dawid był samotny wśród bliskich sobie osób? Patrząc na niego, zadałam sobie pytanie, czy to on właśnie jest powodem, dla którego Felicja utrzymuje tak ożywione kontakty z rodziną, której praktycznie przestała być członkiem. Tolliver przyglądał mi się dziwnie, z nieodgadniętym wyrazem twarzy.

– Gdzie pracujesz? – zapytał. Nikt by nie pomyślał, że kilka minut temu grzmotnął tego mężczyznę tak, jakby chciał, żeby jego pięść przeszła na wylot.

– W Commercial Appeal* [*Gazeta lokalna w Memphis (przyp. tł.)]. W dziale ogłoszeń.

Nie wiem, na czym polegała taka praca, ale przypuszczałam, że Dawid zarabiał znacznie mniej niż jego brat. Joelowi musiało powodzić się bardzo dobrze, sądząc z tego, na co mógł sobie pozwolić. Joel miał także już drugą żonę, a obie jego wybranki były piękne, jeśli zdjęcie, które widziałam w domu, nie było bardzo wyretuszowane. Joel miał syna i córkę. A co miał Dawid? Stertę zawiści? Pudło zazdrości?

– Często pożyczasz auto od ojca? – spytałam.

– Buicka? Po co?

– Zaraz, mówiłeś, że ma lexusa?

– Nie, nic takiego nie powiedziałem. Zapytałaś, czy ma lexusa, a ja, dlaczego chcesz wiedzieć.

Przypomniałam sobie, że o samochodzie Tolliver rozmawiał z Fredem, nie z Benem. A Wiktor nie precyzował, który z dziadków ma lexusa. Poczyliłam szereg założeń i w rezultacie wyciągnęłam mylne wnioski. Jak zwykle. Opieranie się na założeniach to niebezpieczna sprawa. Chyba za długo przyglądałam się Dawidowi bez słowa, bo zaczął się robić nerwowy.

– Co z wami? – zirytował się. – Przyznaję, pomyliłem się, przepraszam. Lepiej już pójdę.

– Naprawdę śledziłeś Wiktora?

– Ktoś musi się o niego zatroszczyć.

Kolejna wymijająca odpowiedź – Dawid najwyraźniej w tym celował.

– Wszyscy uważają, że powinni troszczyć się o Wiktora. Na pewno ty, Felicja, także obaj dziadkowie wspomnieli, że się o niego martwią.

– Och, Felicja mówi o tym najwięcej – prychnął. – Ale ja osobiście uważam, że wykorzystuje Wiktora jako pretekst, żeby być blisko Joela. I Diany – dodał błyskawicznie, jakby to mogło odwrócić uwagę od tej wyraźnej, skądinąd, aluzji.

Interesująca sugestia, ale pominęłam ją, skupiając się na ważniejszych sprawach.

– Dlaczego tak się martwicie o Wiktora? Są jakieś podstawy, by sądzić, że miał coś wspólnego ze zniknięciem siostry? – Przez głowę przemknęła mi myśl, czy Wiktor nie odegrał po prostu przedstawienia, udając, że zwierza się z najbardziej skrywanych lęków, aby odsunąć od siebie podejrzenia.

– Zastanawiamy się... Rozmawiałem o tym z Joelem. Wiktor jest taki skryty. Ciągłe gdzieś znika i nie chce powiedzieć, gdzie był. Zadaje się z tym Barneyem, są niemal nierozłączni, a rodzice tego dzieciaka nie są... Są chrześcijanami, należą do jednego z tych Kościołów, gdzie wierni noszą sandały. Zamyka pokój na klucz i siedzą tam godzinami. Baliśmy się, że może biorą narkotyki, ale ma dobre stopnie. Należy do drużyny zapaśniczej, jest silny, ale martwimy się, że...

– Czujesz, że Wiktor jest jakiś inny, że coś ukrywa, ale nie masz pojęcia, o co może chodzić? Kiwnął głową.

– A ty wiesz? – spytał wprost. – Przecież po coś do ciebie przyszedł. A jeśli nie chodziło o seks...

– Trudno uwierzyć, że mógł tu przyjść w innym celu, tak? – podchwyciłam.

Dawid zawstydził się znowu.

– Nie sypiam z nastolatkami – oświadczyłam. – Nie uprawiam z nimi seksu w parach, trójkątach ani żadnych innych konfiguracjach. Nie kręci mnie to. Mówiłam spokojnie, więc Dawid, nie mając czym podsycić gniewu, przywołał awaryjną emocję – przytępienie alkoholem zaniepokojenie.

– Więc po co tu przyszedł?

– O to musisz zapytać Wiktora. – Jak na kogoś, kto półtora roku sam zmagał się z myślą, że jego ojciec może mieć coś wspólnego z porwaniem Tabity, chłopak był okazem zdrowia psychicznego. Rozmowa z nami bez wątpienia przyniosła mu ulgę. I to nie tylko dlatego, że mógł podzielić się z kimś swoimi kłopotami, ale także przyznać się otwarcie do swojej orientacji seksualnej. Wiktorowi przydałby się terapeuta. O tym ostatnim wspomniałam głośno.

– Chodził przez jakiś czas na terapię – wyjaśnił Dawid, jakby chciał nas zapewnić, że nie zaniechali niczego, aby pomóc chłopcu, – Ale Fred jest raczej staromodnym typem faceta. Uważał, że Wiktor powinien sam sobie z tym poradzić. Zapomnieć i żyć dalej. Chyba rozmawiał na ten temat z

Joelem i Dianą, bo kiedy przenieśli się do Memphis, nie załatwili chłopakowi nowego terapeuty. I tak naprawdę wydawało się, że po przeprowadzce Wiktor jakby odżył.

– A więc Fred nie chciał, żeby Wiktor z kimś o tym rozmawiał?

– Nie, to nie tak – odparł Dawid zaskoczony. – On po prostu nie pochwała chodzenia do psychoterapeutów. Jest zdania, że człowiek powinien sam rozwiązywać swoje kłopoty, a czas leczy rany.

Miałam już dość tej wizyty. Właściwie miałam dość całej tej wielkiej rodzinie. Plułam sobie w brodę, że przyjąłam to zlecenie. Żałowałam, że stanęłam na tym grobie. Ale nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że zostałam tam zwabiona. Ktoś ściągnął mnie do Memphis właśnie po to, bym znalazła Tabitę, a ja zrobiłam dokładnie to, czego oczekiwał. Przez cały ten czas ktoś mną manipulował.

– Tak, to chyba wszystko – powiedział Tolliver. – No, to do widzenia, Dawid. Mężczyzna zdawał się zaskoczony takim nagłym pożegnaniem.

– Jeszcze raz... – zaczął, podnosząc się z fotela.

– Wiem. Przepraszasz – przerwałam mu. Padałam ze zmęczenia, chociaż nie było jeszcze bardzo późno. W dodatku nie jadłam nic poza lekkim śniadaniem wiele godzin temu. W końcu zostaliśmy sami.

– Zjemy coś na miejscu. Będzie szybciej – zdecydował Tolliver, sięgając po słuchawkę. Złożył zamówienie i mimo dziwnej pory zrealizowano je dość szybko.

Jedliśmy w milczeniu, oboje pogrążeni w myślach. Mamy tyle czasu na myślenie podczas długich jazd, a mimo to nawet przebywając w jednym miejscu, nie robiliśmy nic innego. Jeszcze raz przebiegłam pamięcią wszystko, czego się dowiedzieliśmy. Tabita Morgenstern, lat jedenaście. Ukochane dziecko dwójki dobrze sytuowanych, praktykujących żydów. Porwana w Nashville, pochowana na chrześcijańskim cmentarzu w Memphis. Z tego, co wiedziałam, żadne z rodziców nigdy nie było za nic aresztowane. Podobnie jak starszy brat. Ale tenże brat twierdził, że w dniu zniknięcia Tabity widział samochód ojca blisko miejsca zdarzenia.

Dziadkowie dziewczynki mieszkali w Memphis. Sądząc z tego, co wszyscy opowiadali, starsi Morgensternowie ubóstwiali wnuczkę. Wiktor wspomniał, że dziadek, gdy tylko mógł, towarzyszył jej popołudniami. Miałam podejrzewać, że Ben udawał przywiązanie do dziewczynki? Westchnęłam. Tabita miała też przyszywanego dziadka. Fred Hart zdawał się pozostawać w bliskich kontaktach z mężem zmarłej córki. Fred, absolwent Bingham, posiadał perłowego lexusa, takiego samego, jak ten, którego Wiktor widział w okolicy domu w dniu uprowadzenia. Przyjął, że auto prowadził ojciec, co w tych okolicznościach było uzasadnionym założeniem. Ale może ten lexus należał jednak do dziadka?

Tabita miała także niespokrewnioną ciotkę – Felicję Hart oraz stryja, Dawida Morgensterna. Oboje skończyli Bingham. Dawid mógł zazdrościć bratu sukcesów, ale równocześnie otaczał bratanka troską. Felicja, atrakcyjna kobieta o sporym apetycie na mężczyzn. Nic w tym złego. Podobnie, jak w tym, że była tak bardzo opiekuńcza względem siostrzeńca.

Potańczałam twarz dłońmi. Musiało być coś, co mogłabym wywnioskować z tych informacji, coś, co pomogłoby mi uporać się z tą sprawą i zapewnić spokój duszy Tabity. Zaczynała mi doskwierać niemożność otwartej rozmowy z Tolliverem. Opuściłam ręce i spojrzałam na niego. W tym samym momencie zrobił to samo i nasze oczy się spotkały. Odłożył widelec.

– Coś cię dręczy? – zapytał poważnie. – Cokolwiek to jest, możesz mi o tym powiedzieć.

– Nie – odparłam równie poważnie.

– To o czym chcesz porozmawiać?

– Musimy się dowiedzieć, kto to zrobił i ruszać w drogę. – Wyjazd przyniosłby mi ulgę. – Więc co? Przypadkowy nieznajomy na pewno odpada, tak?

– Tak, ze względu na to, gdzie znaleźliśmy ciało. Niemożliwe, żeby to był zbieg okoliczności.

– Myślisz, że to ja właśnie miałam je znaleźć?

– Tak, uważam, że po to nas tu ściągnięto.

– Z tego wynika, że Clyde Nunley został zamordowany, bo znał osobę, która podsunęła mu pomysł zaproszenia mnie na zajęcia.

– Możliwe, że kluczowym zagadnieniem jest odnalezienie ksiąg parafialnych. Rozważyłam jego słowa.

– Przecież właśnie dlatego cmentarz stał się tak dobrym miejscem do przeprowadzenia eksperymentu. To było doświadczenie w warunkach kontrolowanych.

– Jasne. Nunley musiał jakoś sprawdzić, czy się nie mylę, a mógł to zrobić tylko dzięki takiemu rejestrowi. Zwykle nie ma na to sposobu.

– A więc została tam umieszczona, żebym ją znalazła. Może zrobiono to kilka miesięcy wcześniej, gdy odkryto dokumentację. – Próbowałam intuicyjnie znaleźć w tym jakiś sens. – Ktoś chciał, żeby została odnaleziona.

– I ta osoba jest mordercą. Przez chwilę obracałam tę kwestię w myślach.

– Nie – oświadczyłam w końcu. – Dlaczego uważasz, że tak musi być?

– Niemożliwe, żeby ktoś o tym wiedział i nic nie zrobił – odparł zaskoczony.

– Chyba, że był to ktoś bliski. Nie wydaje się kogoś, kogo się kocha.

– Tym bardziej, jeśli to ktoś z rodziny – zgodził się Tolliver ponuro. – Matka, ojciec, mąż, siostra, brat... Tylko wtedy ukrywa się takie zbrodnie.

– Więc mamy dwa wyjścia. Albo będziemy czekać z założonymi rękami, aż policja rozwiąże sprawę – co pewnie stanie się prędzej czy później. Albo tych rąk użyjemy.

– W takim razie spróbujmy się dowiedzieć, kto powiedział o tobie Nunleyowi – zakończył Tolliver.

Pani Nunley niewątpliwie nie była żydówką, ale chrześcijanką i to bardzo żarliwą. W każdym pokoju znajdowało pełno krzyży oraz krucyfiksów, a na ścianach wisiały święte obrazy. Ta koścista, sucha dewotka prawdopodobnie nie miała wielu przyjaciół. Ucieszyła się nawet na nasz widok. Obawialiśmy się, że wdowa po doktorze nie zechce z nami zamienić nawet słowa, szczególnie kiedy ujrzelibyśmy te wszystkie krzyże. Ale Anna Nunley, choć mogła nie mieć ochoty na pogaduszki z innymi żonami wykładowców czy sąsiadkami, przejawiała wielką chęć do rozmowy z nami. Anna głęboko wierzyła w spirytualizm.

Miałam okazję spotkać wielu gorliwych wyznawców tej teorii – chrześcijan, żydów, wikan, ateistów. Nigdy chyba nie poznałam muzułmanina-spirytualisty, ale to dlatego, że los nie postawił na mej drodze żadnego wyznawcy Mahometa. Chcę przez to powiedzieć, że w tym wypadku nie mają znaczenia przekonania religijne. To po prostu wiara w to, co jest moją domeną, czyli w możliwość kontaktu z duchami zmarłych. Wydaje się, że ateści powinni raczej zaprzeczać istnieniu życia pozagrobowego, ale tak nie jest. Ludzie, chcąc nie chcąc, wierzą w ciągłość istnienia duszy.

Okazało się, że Anna Nunley jest zagorzałą zwolenniczką chrześcijańskiego mistycyzmu.

Przywitała nas w progu, zaprosiła do środka i usadziła w salonie. Nie pytając, przyniosła tacę z kawą i ciastkami. Tego dnia, w przeciwieństwie do poprzednich, pogoda dopisywała. Pomimo że dopiero minęła dziesiąta, było cieplej o co najmniej dziesięć stopni. Przez wychodzące na wschód okna do pokoju wlewało się słońce. Czułam się prawie jak jaszczurka wygrzewająca się na kamieniu w jego ciepłych promieniach.

Spoglądając na wielką tacę z poczęstunkiem, domyśliłam się podłoża tej gościnności. Anna za wszelką cenę chciała uchodzić za najlepszą wdowę na świecie. Uzmysłowiłam sobie także, że pewnie dokuczają jej samotność. Nagła, nieoczekiwana śmierć męża była iskrą, która wywołała w jej umyśle małą eksplozję.

– Jak pani uważa, czy duch Clyde’a nadal znajduje się na cmentarzu? – zagadnęła tonem towarzyskiej pogawędki. – Chciałam, żeby został pochowany na terenie kampusu, to byłoby takie adekwatne. Skontaktowałam się z zarządem, który ma pieczę nad cmentarzem. Chyba nie prosiłam o zbyt wiele, prawda? Przez dziesięć lat pracował w Bingham, umarł tam, no i praktycznie rzecz biorąc, był tam i tak pogrzebany!

– Jego duch nie przebywa na tym cmentarzu – odpowiedziałam na pierwsze pytanie. Moje oświadczenie stało się odskocznią do kilkuminutowej dysputy na temat wierzeń Anny w życie po śmierci, wszechobecności duchów w folklorze irlandzkim (nie, nie mam pojęcia, jak rozmowa zesła

na tę kwestię) oraz istnienia duchów w ogóle. Nie miałam oczywiście zamiaru negocjować tego ostatniego.

Tolliver przysłuchiwał się nam w milczeniu. Anna nie zwracała na niego uwagi; był dla niej tylko cieniem u mego boku.

– Clyde nie dochowywał mi wierności – oznajmiła. – Trudno było mi się z tym pogodzić. Spowiedzi zaczynały być chyba stałym punktem naszego rozkładu dnia.

– Przykro mi, że musiała pani to znosić – powiedziałam ostrożnie.

– Wie pani, mężczyźni to świnie. Wychodząc za niego, byłam przekonana, że wszystko ułoży się tak, jak powinno. Zdawałam sobie sprawę, że nie będziemy bogaci, w końcu posada wykładowcy nie jest szczególnie dochodowym zajęciem, ale liczyłam, że staniemy się szanowaną rodziną, bo przecież trzeba posiadać duże zalety umysłu, aby pracować na uczelni, prawda? A on miał doktorat. Marzyłam o dzieciach, które skończą Bingham, dorosną, założą własne rodziny i dadzą nam wnuki; ten dom jest taki duży. Rzeczywiście dom był duży, umeblowany „niezabytkowymi antykami”, prawdopodobnie po rodzicach Anny lub Clyde’a. Wszystko na wysoki połysk, czyste, ale bez pedanterii. Wygodne, ale nie kosztowne. To był porządny dom w starej dzielnicy, otoczony wysokimi drzewami. Przestronny hol otwierał się na obie strony łukowatymi przejściami. Jedno prowadziło do salonu, w którym siedzieliśmy, drugie zaś – z tego co zauważyliśmy – do sporego pomieszczenia, wyglądającego na gabinet Nunleya.

– Ale dzieci się nie pojawiły. Ze mną było wszystko w porządku, ale Clyde nie chciał iść na badania. Zaczął spotykać się z innymi kobietami. Nie studentkami, to znaczy nie podczas ich nauki tutaj. Dopiero gdy skończyły szkołę, wtedy już mógł. Wyjaśniała to tak dokładnie, jakby szczegóły były bardzo istotne.

– Rozumiem – zapewniłam ją, myśląc jednocześnie jak bardzo myliłam się, obawiając, że trudno ją będzie przekonać do rozmowy z nami. Teraz widziałam, że większy kłopot sprawi nam powstrzymanie jej od mówienia.

– Clyde nie znał tej dziewczynki – przeskoczyła na inny temat. – Jego obecność w jej grobie to straszne... wtargnięcie. Czy ona nadal tam jest?

– Nie. – Zaskoczyło mnie jej pytanie. – Ale mężczyzna, do którego pierwotnie należała mogiła, owszem.

– Och, więc Bóg pragnie, by przyniosła pani pokój jego duszy.

– Tak sędzę.

– Dlatego przyszła pani do mnie? Mam przy tym być?

Nie miałam pojęcia, co mogłabym zrobić dla ducha, esencji czy jakkolwiek nazwać widmo Josiaha Poundstone'a, więc pokręciłam głową.

– Nie, ale chciałam zapytać o kilka innych rzeczy. Skupiła na mnie fanatyczny wzrok.

– Oczywiście, proszę bardzo.

Poczułam się, jakbym wykorzystywała kobietę nie całkiem w pełni władz umysłowych. Ale cóż, miałam do niej pytania, a ona chciała mówić.

– Czy pani mąż utrzymywał kontakty towarzyskie z Felicją Hart lub Dawidem Morgensternem?

– Tak, od czasu do czasu widywał się z nimi – odparła zaskakująco rzeczowo. – Clyde i Fred zasiadali razem w zarządzie Stowarzyszenia Absolwentów Fred działał aktywnie na rzecz uczelni. Podobnie jak jego żona za życia.

– Na co zmarła? – Kobiety w tamtej rodzinie mają wyjątkowego pecha. Żona Joela miała raka, jego matka cierpi na parkinsona, Tabita została porwana... Coś takiego nasuwa pytanie: jaki los czeka Dianę i Felicję?

– Miała atak serca.

– To okropne. – Naprawdę nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Tak. Bieda kobieta. Była wtedy sama w domu. To stało się mniej więcej w tym samym czasie, co ta sprawa z Tabitą. Nie żyła, kiedy ją znaleziono. Tyle nieszczęść w jednej rodzinie.

– Tak, to prawda. – Choć dotyczyło ich tyle tragedii, z atakiem serca pani Hart nie musiała wiązać się żadna ponura tajemnica.

– Czy pani męża mogły łączyć z Felicją inne kontakty, poza czysto towarzyskimi? – spytał Tolliver neutralnym tonem, tak, aby nie spłoszyć gospodyni. Ale Anna spojrzała na niego ostro.

– Mogły – odparła lodowatym, pełnym wrogości głosem. – Ale nie musiały. Nie wymieniał żadnych imion, a ja nie pytałam. Felicja pojawiła się u nas raz czy dwa przy okazji jakiegoś przyjęcia. Prowadziliśmy otwarty dom. Nie mogłam sobie tego wyobrazić. Anna, zajęta przygotowaniami do przyjęcia, zastanawiająca się jednocześnie, którą z kochanek mąż zaprosił tym razem. Podejrzywałam, że Clyde wstydził się tych kłujących w oczy przedmiotów kultu, a Anna nigdy nie zgodziłaby się ich schować na czas przyjęcia. Ze względu na nią miałam nadzieję, że

przynajmniej nie robił do tego przytyków, ale znając – choć słabo – Clyde’a, przypuszczałam, że rzucał na ten temat jakieś złośliwe uwagi w obecności gości.

– Czy Clyde zrobiłby coś dla Felicji, gdyby go o to poprosiła?

– Owszem. – Anna nalała mi kawy. Tolliver w milczeniu zajadał się ulubionymi ciastkami Keebler’s Fudge Stripes. – Clyde chętnie wyświadczał ludziom przysługi, jeśli mu się to opłacało. Felicja jest atrakcyjna, ma świetną pracę i aktywnie działa w stowarzyszeniu, więc tak, zrobiłby to dla niej. Clyde żałuje, że Dawid Morgenstern nie jest już jego przyjacielem. Zwróciłam uwagę, że zdarza jej się mówić o mężu w czasie teraźniejszym.

– Wie pani, dlaczego tak się stało?

– Clyde powiedział mi kiedyś, że jego bratanek nie nadaje się do Bingham – natychmiast wyjaśniła Anna. Może w kawie był pentotal sodu?

– Dlaczego tak uważał?

– Clyde widział kiedyś w kinie Wiktora z innym chłopcem. Był przekonany, że to nie taka zwykła przyjaźń. No wie pani, że jest gejem – sprecyzowała. – Ale to, naturalnie, nieprawda. Że jest gejem. Jest po prostu smutny, to wszystko. Jeśli nawet Wiktor był smutny, nie miało to nic wspólnego z jego orientacją seksualną.

– Oczywiście, Dawid się rozzłościł. Zagroził, że jeśli Clyde jeszcze raz powie coś takiego o Wiktorze, dopilnuje, żeby już nigdy w życiu nie mógł otworzyć ust. Clyde był wściekły, ale jednocześnie było mu żal.

Znali się z Dawidem od lat. Dlatego, jeśli Dawid by go o coś poprosił, Clyde by to zrobił, żeby odzyskać jego przyjaźń.

Czy ta kobieta miała jakiegokolwiek złudzenia co do swojego męża? Przecież każdy takich potrzebuje.

Podczas gdy ja zgubiłam już pierwotny wątek rozmowy, Anna odnalazła go niczym gołąb wracający do gniazda.

– Ale jeśli pyta pani, czy na pewno zrobiłby coś dla Felicji, to nie wiem tego na sto procent i nie chcę nikogo pochopnie osądzać.

Zagryzłam wargę, a Tolliver odwrócił głowę. Nie wiedziałam, czy Anna jest najskwapliwszą do wydawania osądów osobą, jaką spotkałam, czy tylko po prostu bardzo pragmatyczną realistką, ale i

tak chciało mi się śmiać.

– Załatwiła już pani formalności pogrzebowe? – zapytał Tolliver.

– Clyde przywiązywał dużą wagę do rytuału pogrzebowego. Zapisał gdzieś wszystko dokładnie. Muszę tylko znaleźć te papiery – wskazała w stronę gabinetu Nunleya. – Gdzieś tam są. Był antropologiem, więc bardzo interesował się takimi ceremoniami. Sporo o tym myślał i robił notatki, jak ma wyglądać jego pochówek. Większość jego planów uwzględniała jakiś Kościół.

I kapłana. Ostatnio Clyde wpadł na pomysł pogrzebu ze starszyzną, ucztą i rozdawaniem dóbr osobistych.

– Starszyzną, czyli?

– Profesorami antropologii oraz socjologii – odrzekła, jakby to było oczywiste.

– I zamierza pani urządzać tę ucztę, tak?

– Tak, do diabła. Przepraszam. I rozdać te jego rzeczy! Na pewno każdy marzy, żeby mieć jego stary ołówek! Ale tego właśnie chciał, gdy mówił o tym ostatnio. Może w międzyczasie zmienił zdanie? Nie wiem. Ciągle miał nowe pomysły, jeśli o to chodzi.

Widziałam gabinet po drugiej stronie holu. Szafki na dokumenty i szuflady w biurku były pootwierane, a na podłodze walały się papiery. Przez głowę przemknęła mi szalona myśl, że może powinnam zaproponować Annie pomoc w szukaniu zapisków Clyde'a, ale doszłam do wniosku, że to ponad moje siły. Nie chciałam znać dyspozycji Nunleya dotyczących formy pogrzebu i tego, co zrobić z jego majątkiem osobistym. Nie przychodziły mi na myśl żadne inne pytania do Anny. Zerknęłam na Tollivera i wzruszyłam nieznacznie ramionami, pokazując, że z mojej strony to już wszystko. Tolliver podziękował za poczęstunek i zagadnął o najważniejsze.

– Może wie pani, kto wspomniał mężowi o mojej siostrze?

– Owszem, wiem.

– Kto to był? – zapytałam zadowolona, że w końcu dochodzimy do konkretów.

– Ja – odparła, – Na jednym z przyjęć Felicja opowiadała o pani poszukiwaniach w Nashville. Naprawdę wierzyła w pani umiejętności. Zainteresowałam się tym i poszukałam informacji w Internecie. Pomyślałam, że w końcu jest ktoś, kto dałby mu nauczki. Prowadził te zajęcia przez dwa lata i uwielbiał przedstawiać swoich gości jako hochsztaplerów albo ludzi co najmniej niewiarygodnych. Nie dlatego, że nie podzielał ich przekonań, po prostu nie mógł znieść myśli, że

ktoś potrafi robić coś nadzwyczajnego. Ale wiedziałam, że pani ma najprawdziwszy dar. Czytałam artykuły, widziałam zdjęcia. Kiedy odnalazła pani zwłoki dziewczynki, był na panią wściekły. Tego wieczoru, gdy zginął, wyszedł, a potem wrócił jeszcze bardziej rozwścieczony. Z tego co rozumiałam, odwiedził panią w hotelu, tak? Przytaknęłam.

– Potem wykonał jeden czy dwa telefony i znowu wyszedł – rzekła melancholijnie. – Poszłam do swojej sypialni i zasnęłam. On już nie wrócił.

– Bardzo mi przykro – powiedziałam po chwili, gdy wydawało się, że nic już nie doda. Jednak nie byłam pewna, czy nie będzie jej lepiej bez męża. Anna nie wstała, gdy zbieraliśmy się do wyjścia. Wpatrywała się w splecione na podolku dłonie, jakby cała gorączkowa energia nagle z niej uszła, pozostawiając jedynie melancholię. Kiedy zaproponowałam, że może zadzwonię po którąś z sąsiadek, podniosła głowę.

– Muszę przejrzeć papiery Clyde’a – oświadczyła. – A na później zapowiedział się Seth Koenig, agent federalny. W samochodzie przez chwilę nic nie mówiliśmy.

– Był dla niej okrutny – odezwał się w końcu Tolliver. – Lepiej jej będzie bez niego.

– Fakt, Clyde był nędznym padalcem. Ale i tak będzie za nim tęskniła. Pomyślałam, że Anny nie czeka świetlana przyszłość, ale musiałam odłożyć tę kwestię do teczki z rzeczami, na które nie mogłam nic poradzić. Po drodze wyobrażałam sobie przyszłość, w której Anna na pogrzebie Clyde’a spotyka miłego, mądrego wykładowcę mającego słabość do bardzo szczupłych, samotnych kobiet, mieszkających w ogromnych domach. Pomógłby jej wrócić do równowagi. I nigdy nie urządziłby przyjęć. Snując tę wizję, poczułam się nieco lepiej.

Dowiedzieliśmy się od wdowy wielu ciekawych rzeczy o Nunleyu, ale nie byłam pewna, czy pomogą nam one zawęzić grono, z którego typowaliśmy mordercę. Nie martwiłam się tym za bardzo w przypadku Nunleya, ale zależało mi, by odkryć, kto zabił Tabitę.

W Teksasie czekał na mnie mecz koszykówki, który bardzo chciałam zobaczyć, a musiałam być wolna, żeby tam jechać. Przy okazji mogłabym się także rozejrzeć za odpowiednim domem, takim, który znajdowałby się niedaleko miejsca, gdzie mieszkały nasze siostrzyczki. Dla dobra własnego i Morgensternów, pragnęłam zakończyć tę sprawę.

Tolliver zatrzymał się, aby dać parkingowemu napiwek, a ja, nie czekając na niego, weszłam do hotelu. Byłam tak zamyślona, że nie zauważyłam Freda Harta póki mnie nie zawołał.

– Panno Connelly! Panno Connelly! – Słyszając ten specyficzny południowy akcent, wróciłam do rzeczywistości, choć nie byłam tym faktem zachwycona. Możliwe, że spojrzałam na niego nieprzyjaźnie, bo zatrzymał się w drodze do mnie.

– Pan do mnie? – spytałam głupio, ale musiałam przecież jakoś zacząć.

– Tak, przepraszam, że zawracam pani głowę. Joel i Diana prosili, abym wręczył coś pani w imieniu Funduszu „Odnaleźć Tabitę”. Dopiero po chwili dotarło do mnie, o co mu chodzi. W tym czasie Tolliver zdążył już wejść i właśnie witał się z Fredem. Hol hotelowy nie wydawał się najszcześniejszym miejscem na takie rozmowy, więc zaproponowałam Hartowi, aby wszedł na górę. Przystał niezbyt entuzjastycznie i podążył za nami do windy.

Stojąc w kabinie, odkryłam, że Fred musiał chlapnąć sobie burbona dla kurażu. Starłam się nie skrzywić, gdy znajomy zapach uderzył mnie w nozdrza. Dostrzegłam, że twarz Tollivera kurczy się w lekkim grymasie obrzydzenia – jego ojciec namiętnie pijał burbona. I dla mnie i dla niego woń ta wiązała się z nieprzyjemnymi wspomnieniami.

– Z tego, co zrozumiałem, poznaliście moją córkę wcześniej? – W lustrze obserwowałam twarz mężczyzny, który postarzał się w jednej chwili. Oblicze Harta znaczyły głębokie zmarszczki smutku i rozgoryczenia.

– Tak – przyświadczyłam. – Przez jakiś czas spotykali się z Tolliverem. Nie wiem, co za diabeł we mnie wstąpił, ale chyba po prostu dotknęła mnie ta wyraźna niechęć Freda do przyjęcia naszego zaproszenia. Stwierdziłam, że pewnie uważa nas za jakieś odrażające, szemrane typki i chciałam wziąć odwet. Głupio postąpiłam.

– A teraz? Felicja jest taka zaabsorbowana pracą... – urwał. Powinien uzupełnić zdanie czymś w rodzaju „cieszę się, że znalazła czas na rozrywkę” lub „rzadko się z kimś umawia”. Ale zdawało się, jakby jego serce odmówiło posłuszeństwa zanim dokończył wypowiedź. Staraliśmy się nie okazać zaskoczenia.

Gdy dotarliśmy do pokoju, zastanawiałam się, czy nie powinnam wezwać dla niego taksówki. Obawiałam się, że w tym stanie nie da rady prowadzić. Naprawdę się o niego martwiłam. Na tym koszmarnym lunchu u Morgensternów zrobił na mnie dobre wrażenie – mężczyzny poważnego, smutnego, ale zarazem troskliwego i życzliwego. Co mu się stało?

– Panie Lang, panno Connelly – zaczął z namaszczeniem, stanąwszy pośrodku naszego tymczasowego salonu. – Joel prosił, żebym wam to przekazał. – Z wewnętrznej kieszeni wyjął kopertę i podał mi ją. Wpatrywałam się w nią przez chwilę przed otwarciem. Nie widziałam sposobu na wybrnięcie z tak krępującej sytuacji z wdziękiem. Koperta zawierała czek na czterdzieści tysięcy dolarów – nagrodę za odnalezienie ciała Tabity. Dodając te pieniądze do naszych oszczędności, będziemy mogli spełnić nasze marzenie o kupnie domu. Oczy wypełniły mi się łzami. Żałowałam, że zarobiłam je w ten sposób, ale cieszyłam się z tego, co mogą mi dać.

– Wydaje się pani mocno poruszona – zauważył Hart, sam roztrzęsiony, sądząc po głosie. – Może nie zechce pani ich przyjąć, ale wykonała pani swoje zadanie i należą się pani.

Nie miałam zamiaru ich nie przyjmować, nawet przez myśl mi to nie przeszło. Zasłużyłam na nie. Ale jego słowa zawstydziły mnie, poczułam się fatalnie. Jakby tego było mało, dostrzegłam łzę spływającą po policzku mężczyzny.

– Panie Hart? – rzekłam cichutko. Nie wiedziałam, jak postępować z płaczącymi mężczyznami, a przecież nie znałam nawet przyczyny jego załamania.

Opadł ciężko na fotel. Tolliver usiadł na drugim, a ja przycupnęłam na sofie. Właśnie przeprowadziliśmy dziwną rozmowę z Anną Nunley, a teraz najwyraźniej czekało nas podobne doświadczenie z Fredem Hartem. Oczywiście, w przypadku Freda za ten nagły przejaw słabości w dużej mierze odpowiedzialny był alkohol.

– Jak miewają się Joel i Diana? – spytałam znowu niezręcznie. Chciałam odwrócić jego uwagę od tego, co doprowadziło go do tego stanu.

– Dzięki Bogu, dobrze – odparł. – Diana jest dobrą kobietą. Niełatwo było patrzeć, jak Joel żeni się po raz drugi i ktoś zajmuje miejsce Whitney. Diana nie powinna była za niego wychodzić. Nie powinienem pozwolić Whitney na to małżeństwo. Była dla niego za dobra.

– Co pan chce przez to powiedzieć? Źle traktował Whitney?

– Och nie, bardzo ją kochał. Był wspaniałym mężem i bardzo kocha. Wiktora, choć go nie rozumie. Tak bywa w przypadku ojców i synów... A takie ojców i córek.

– Joel nie rozumiał Tabity?

Kiedy spojrzał na mnie, nadal miał mokre oczy, ale na jego twarzy malowało się zniecierpliwienie.

– Oczywiście, że nie. Nikt nie rozumie dziewcząt w tym wieku, a już na pewno nie one same. Nie, chodziło mi o to, że... Zresztą, to bez różnicy. Serce waliło mi jak młotem, czułam, że jesteśmy o krok od poznania tego, co zdarzyło się tamtego ranka w domu Morgensternów.

– Sugeruje pan, że Joel molestował Tabitę? Sekundę później wiedziałam, że popełniłam straszny błąd.

– Cóż za chory pomysł! Ohydna supozycja. Zdaję sobie sprawę, że w pracy styka się pani z różnymi okropieństwami, ale takie coś jest nie do pomyślenia jeśli chodzi o naszą rodzinę, młoda damo.

Nie jestem pewna co miał na myśli mówiąc „w pracy”. Prawdopodobnie sam tego nie wiedział; rzecz w tym, że mając nagle usprawiedliwienie dla swojego gniewu, korzystał z tego w pełnym zakresie.

– A jednak w pana rodzinie stało się coś okropnego – rzekłam tak łagodnie i cicho jak spada płatek śniegu. Jego twarz miała się przez moment niczym papier.

– Tak – potwierdził. – Stało się coś okropnego. – Dźwignął się z fotela. – Muszę już iść – Dobrze się pan czuje? Na tyle, żeby prowadzić? – spytał Tolliver neutralnym tonem.

– Właściwie to nie – przyznał Fred ku memu zaskoczeniu. Chyba nigdy nie słyszałam, jak mężczyzna z własnej woli mówi, że nie jest w stanie prowadzić, a widywałam w życiu mężczyzn w różnych stanach upojenia alkoholowego. Każdy z nich twierdził, że da radę pokierować autem, ciężarówką czy łódką.

– Siądę za kierownicą, a ty pojedziesz za nami – zdecydował Tolliver, patrząc na mnie.

Skinęłam głową. Nie byłam zachwycona perspektywą wyciągnięcia samochodu z garażu hotelowego po raz kolejny tego dnia, ale nie widziałam innego wyjścia. Włożyłam czek do torby z laptopem, a Tolliver zadzwonił do recepcji, aby przyprowadzono oba samochody. Podtrzymując Harta, ruszyliśmy do windy. Całą drogę na dół dziękował nam za pomoc i przeproszał, że tak ostro mnie potraktował.

Nie mogłam rozgryźć tego mężczyzny, więc w końcu zaniechałam prób. Bez wątpienia był pod wpływem jakiegoś ogromnego stresu, a waga problemu przytłaczała go całkowicie. Ale dlaczego Fred Hart? Nie dziwiłabym się temu w przypadku Joela. W końcu stracił córkę, cała rodzina znajdowała się w kręgu podejrzeń, a jego żona niebawem miała w tej tragicznej sytuacji urodzić dziecko.

Z trudem i przy wydatnej pomocy boya hotelowego udało nam się umieścić Freda na siedzeniu pasażera. Przyjechał swoim lexusem, identycznym jak samochód zięcia. Pomimo okoliczności Tolliverowi zaświeciły się oczy, gdy siadał za kierownicą. Uśmiechnęłam się w duchu, przekręcając kluczyk w stacyjce naszego wozu, który w porównaniu z tamtym był bardzo niepozorny.

Widziałam, że Fred, który wskazywał Tolliverowi drogę, coraz bardziej osuwa się na siedzeniu. Podążałam za nimi na wschód, poza kampus, do Germantown. Skręcaliśmy tyle razy, że zaczęłam się martwić, czy wydostaniemy się stąd po odstawieniu Freda do domu.

Tolliver wjechał na drogę prowadzącą do leżącego nieco na uboczu osiedla.

Oszołomiona patrzyłam na luksusowe posesje. Okolicę, w której mieszkał Fred Hart musiano zabudować jakieś ćwierć wieku temu, mniej więcej w jednym okresie. Architektura budynków przedstawiała się dość nowocześnie, ale drzewa mocno wyrosły, a zieleń na skwerach była bujna.

Najbardziej zaskakiwały mnie same domy, które wyglądały jak po dużej dawce sterydów. W najskromniejszym mieściły się co najmniej ze cztery sypialnie. Prawdopodobnie każdy z nich kosztował milion albo i więcej. Na pewno nie w takiej okolicy będziemy z Tolliverem szukać domu. Wjechałam do garażu, w którym prócz lexusa i naszego, zmieściłyby się jeszcze ze dwa inne auta. Poza tym, że garaż mógłby z powodzeniem posłużyć za dom dla czterech rodzin z Trzeciego Świata, prowadziło z niego wejście do sporego schowka, prawdopodobnie składziku na narzędzia. Podłogi nie brudziła nawet jedna plamka oleju.

Wyskoczyłam z wozu, aby pomóc Tolliverowi, który miał wyraźne kłopoty z wyciągnięciem Harta.

– Zasnął po drodze – wyjaśnił. – Dobrze, że zdążył dać mi wskazówki, jak tu dojechać. Mam nadzieję, że klucze pasują. Jeśli pomyliliśmy domy, mamy przekichane. – Roześmialiśmy się, ale niezbyt wesoło. Nie miałam ochoty na kolejną rozmowę z policją, nieważne na jaki temat.

Podał mi klucze wydobyte z kieszeni Freda i wrócił do wywlekania pijanego gospodarza z samochodu, a ja pospieszyłam otworzyć drzwi. Udało mi się dopasować klucz za drugim razem. Jeśli w domu był alarm, to widocznie wyłączony, bo nie zadziałał, kiedy Tolliver wprowadził zataczającego się mężczyznę do środka. Ruszyłam z zamiarem znalezienia jakiegoś odpowiedniego miejsca, gdzie mógłby złożyć swój ciężar, ale przystanąłam w pół kroku. Myślałam, że dom Morgensternów był wielki i wspaniały, ale ten po prostu oszałamiał. Kuchnia, którą mijaliśmy była ogromna, po prostu olbrzymia. Przechodziło się z niej do bawialni, salonu czy sali balowej – nie

wiem jak to nazwać – do wielkiego pomieszczenia ze skośnym sufitem z odkrytą więźbą, gigantycznym kominkiem i skupiskami siedzisk.

– Wychowując się tutaj, nabrałabym przekonania, że mogę mieć wszystko, co zechcę – powiedziałam ogłuszona.

– Gdzie mam go zaprowadzić? – niecierpliwił się Tolliver, głuchy na moje refleksje socjologiczne. Ruszyłam dalej. Główna sypialnia, na nasze szczęście, znajdowała się na parterze. Wspólnymi siłami doholowaliśmy Freda do wielkiego (oczywiście) łóża, zdjęliśmy mu płaszcz oraz buty i nakryliśmy go miękkim, wełnianym kocem, który spoczywał artystycznie przerzucony przez oparcie skórzanego fotela, będącego częścią usytuowanego przed kominkiem kompletu wypoczynkowego. Nie mogłam pojąć, po co samotnemu mężczyźnie tak wielkie siedzisko w sypialni. Przypuszczałam, że gdzieś tu musi być garderoba oraz łazienka. A w łazience zapewne wanna wpuszczona w podłogę. Otworzyłam jedne drzwi, drugie. Tak, jak się spodziewałam. Łazienka z wpuszczoną wanną. I nie tylko.

– Uważaj! – Odwróciłam się zelektryzowana głosem dobiegającym od strony łóżka.

Fred Hart podniósł się nagle, łapiąc za ramię Tollivera, który układał go na łóżku.

– Musicie na siebie uważać. Powiem wam prawdę. Nie wiecie, co się stało... – wyrzucił z siebie Fred, po czym znowu zapadł w pijacki letarg.

– Wiemy, za dużo wypiteś – mruknęłam Tolliver odwiesił płaszcz i rozejrzał się, zastanawiając, co jeszcze moglibyśmy zrobić.

– To tyle – powiedział. – Chodźmy. Czuję się tu jak włamywacz. Zaśmiałam się. Zostawiwszy śpiącego Freda, ruszyliśmy z powrotem do kuchni. Nie mogłam się powstrzymać, by jeszcze raz nie rzucić okiem na salon. Był taki piękny, dominowały w nim ciemne brązy, kolor miedzi i gdzieś tam błękitne dodatki. Westchnęłam, odwracając się, by spojrzeć przez ogromne okno wychodzące na ogród. Zdziwiłam się, nie widząc tam basenu, ale po chwili doszłam do wniosku, że to pewnie przez ogrodnicze hobby Freda.

Ben Morgenstern wspominał, że Fred jest zapalonym ogrodnikiem, ale nie spodziewałam się czegoś takiego. Wysoki ceglany mur, otaczający teren z tyłu domu, porastała winorośl, pięknie przycięta i uformowana. Wzdłuż muru ciągnęły się rabaty krzewinek, a w ziemi prawdopodobnie tkwiły bulwy roślin kwitnących wiosną oraz latem. Poza tym, na trawniku znajdowały się grupy krzewów i klomby, podobne do skupisk stolików, sof i foteli w salonie. Na starszych klombach krzewy były bujne i rozłożyste, ale kilka założono chyba niedawno – cegły otaczające kwietniki różniły się kolorem, a rośliny robiły wrażenie młodszych. Oglądałam ogród w listopadzie, gdy rośliny już nie kwitły, ale i tak zrobił na mnie duże wrażenie. Może Fred zatrzymał ten dom po śmierci żony i córki właśnie dla tego ogrodu?

Za przeszklonym wyjściem na patio znajdował się stolik, na którym dostrzegłam parę rękawic roboczych, jakieś urządzenia do opryskiwania oraz kapelusz. Przedmioty te leżały pomiędzy dzisiejszymi gazetami, więc wywnioskowałam, że Fred pracował dzisiaj w ogrodzie. Stał tam także oparty o stolik szpadel pokryty resztkami ziemi. Fred musiał być naprawdę zapaleńcem, skoro grzebał w ziemi nawet w listopadzie. Ciekawe, czemu nie wyczyścił łopaty, skoro inne narzędzia były w idealnym porządku? Może odłożył ją tylko na chwilę, chcąc później wrócić do pracy? Nie znałam się na ogrodnictwie bardziej niż na astrofizyce. Wzruszyłam ramionami. Może właśnie w listopadzie trzeba było przekopać grządki, żeby gleba oddychała w zimie albo coś w tym rodzaju. Po prawej stronie, tam gdzie mur dochodził do ściany garażu, znajdowały się drewniane drzwi. Pewnie tamtędy właśnie Fred zanosił narzędzia do schowka przy garażu. Tolliver stał z komórką przy uchu.

– Witaj, Felicjo – powiedział. – Tu Tolliver. Wolałbym nie zostawiać takiej wiadomości na sekretarce, ale lepiej, żebyś wiedziała. Twój tata jest w domu i dobrze byłoby, gdybyś do niego wpadła. Odwiedził nas w hotelu i poczuł się nie najlepiej, więc odwieźliśmy go do domu. Chyba jest czymś bardzo zdenerwowany. Teraz nic mu nie jest, śpi. – Tolliver trzasnął klapką, nie dodając słowa pożegnania.

– Dobry pomysł – pochwaliłam. – Powinna później sprawdzić, co z nim. Ciekawe, czy normalnie widują się często. To dość daleko od centrum, a ona ma naprawdę absorbującą pracę – urwałam na widok beznamietnej miny Tollivera. Nie miał chyba ochoty rozmawiać o Felicji.

Jeszcze raz objęłam spojrzeniem dom i poczułam się jak obdarta sierota z powieści Dickensa. Wyszliśmy przez kuchnię, zatraskując za sobą tylne drzwi. Wyjechaliśmy z garażu na pustą ulicę. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę paskudną pogodę.

Po drodze musieliśmy zatrzymać się w drogerii i na stacji benzynowej, żeby zatankować i kupić parę drobiazgów. Znużeni hotelowym jedzeniem – nie tylko samym menu, ale także kosztami, zjedliśmy w sieciowej restauracji. Czerpaliśmy dużą przyjemność z jedzenia normalnych potraw w swojskim otoczeniu. Komórka nie zadzwoniła ani razu, a po powrocie do hotelu nie czekała na nas żadna wiadomość. Dzień mijał szybko.

– Jak sądzisz, czy teraz, kiedy mamy czek, policja nadal będzie nas potrzebowała? – spytałam. – Bo wydaje mi się, że nie. Nie mamy nic w planach aż do przyszłego tygodnia, ale moglibyśmy już wyjechać z Memphis. Zatrzymać się w jakimś tańszym miejscu albo pojechać do Teksasu na mecz Marielli?

– Powinniśmy tu zostać jeszcze z dzień, dwa – powiedział Tolliver. – Żeby zobaczyć, jak to wszystko się rozwiąże.

Przygryzłam wargę. Miałam ochotę przyłożyć Felicji, którą winiłam za ociąganie się Tollivera. Ta suka zabawiała się nim, przypuszczałam to już się wychowała, nabrałam jeszcze większej pewności. Kobiety w jej typie nie wiążą się z facetami takimi jak Tolliver, nie w prawdziwym życiu. On co

prawda zaprzeczał, że to coś poważnego, ale proszę, jego zachowanie świadczyło o czymś przeciwnym.

Chwilę później zadzwonił telefon. Tolliver usiłował robić obojętną minę, odbierając, ale widziałam, że jest spięty.

– Cześć – zaczął. – A, to ty Felicjo. Jak się czuje? Co? Dobrze, zaraz tam będę. Słuchał przez moment niechętnie, wyraźnie skonsternowany. Miałam ochotę ją zamordować.

– Ale ona... – Zakrył dłonią głośnik. Spojrzał na mnie chmurny i zakłopotany. – Chce, żebyśmy przyjechali do domu Freda – szepnął. – Mówi, że chce nas zapytać, w jakim był stanie i co się wydarzyło.

– Upił się, a my odwieźliśmy go do domu – powiedziałam. – To wszystko. Powiedz jej to przez telefon. Zresztą przecież już to zrobiłeś.

– Bardzo nalega.

– Nie mam ochoty tam jechać. Jak chcesz, jedź sam.

– Harper nie ma – rzekł do słuchawki. – Nie. Umówiła się i wyszła. A co za różnica, z kim? Dobrze. Niedługo będę. – Przerwał połączenie i bez słowa poszedł do pokoju po kurtkę. Wykrzywiłam się do swojego odbicia w lustrze koło drzwi.

– Masz, zostawiam ci komórkę. – Rzucił telefon na stół. – Jakby co, zadzwonię do ciebie stamtąd. Nie zabawię tam długo – oświadczył i wyszedł. Kiedy drzwi się za nim zamknęły, ogarnęła mnie samotność. Nieczęsto mi się to zdarza, ale przez kilka minut płakałam. Potem obmyłam twarz, wydmuchałam nos i zwinęłam się na sofie z pustką w głowie i obolałym sercem.

Za dużo się działo w ostatnich dniach.

Przypominałam sobie pierwsze poszukiwania Tabity i Morgensternów zaskorupiałych w bólu, jakby nie mogli wykrzesać z siebie innych uczuć, jakby nie spodziewali się już żadnej radości od życia.

Ale otrząsnęli się i to w całej rozciągłości. Zaczęli zupełnie nowe życie. Przeprowadzili się do innego miasta, jeszcze bardziej zacieśnili kontakty z rodziną Joela, choć te nigdy nie były słabe – w końcu Nashville i Memphis nie są zbyt oddalone. Wiktor poszedł do nowej szkoły, znalazł nowego przyjaciela, Joel pracę, a Diana stworzyła ciepły dom.

Jak będzie wyglądało ich dalsze życie? Oczywiście Diana urodzi i może to dziecko pomoże im

odżyć jeszcze bardziej. Może wiedza, co przydarzyło się Tabicie, także. Może za jakiś czas Wiktor będzie gotów, aby podzielić się swoim sekretem z rodzicami, a oni przyjmą to ze zrozumieniem. Trudno mieć chyba takiego ojca jak Joel. Takiego... wyjątkowego. Pomimo że na mnie jego urok nie działał, widziałam, jaki jest przystojny, mądry i jak kobiety go kochały. Wiedziałam również, że on kocha tylko jedną kobietę, jest jej oddany całym sercem, ale niewykluczone, że gdybym nie była odporna na jego wdzięki, mogłabym tego nie dostrzec. Ciekawe, jak często musiał odrzucać zaloty innych kobiet, jak wielu gorących spojrzeń nie zauważył tylko dlatego, że wydawał się nieświadomy własnej atrakcyjności. Usiłowałam przypomnieć sobie, co Fred powiedział dzisiaj o swoim zięciu. Coś o małżeństwie Joela i Whitney? Aha, Nie powinienem pozwolić Whitney na to małżeństwo. Była dla niego za dobra. Mówił też, że Diana nie powinna była za niego wychodzić. Co mógł mieć na myśli? Przecież Joel ewidentnie uwielbiał Dianę.

Zsunęłam się na podłogę, żeby trochę poćwiczyć. Podnosiłam nogi, nie przestając nad tym myśleć. Co Fred miał przeciwko Joelowi, że nie pochwalał jego małżeństwa z córką? Czy wiedział o nim coś złego, czy był to po prostu nieudany związek? Ale przecież wszyscy powtarzali, jak Whitney i Joel się kochali, i jak Joel cierpiał bardzo po jej stracie. A jednak niecałe dwa lata później ożenił się z Dianą. I jeżeli mogłam oceniać na podstawie tych kilku spotkań, chyba byli bardzo szczęśliwi. Przecież taka tragedia, jak porwanie dziecka, mogłaby zaowocować rozpadem związku, który nie opierałby się na silnych podstawach, prawda? Czytałam, że po śmierci dziecka pary rozchodzą się bardzo często z różnych powodów.

Biorąc pod uwagę kłótnię Diany z Tabitą tuż przed porwaniem, wielu mężów na miejscu Joela mogłoby obarczać winą żonę, zakładać, że sprzeczka miała związek ze zniknięciem dziecka. Ale Joel był lojalny, a Dianie nie przyszłoby do głowy, żeby od niego odejść. Bo kobiety kochały Joela. Kobiety kochały Joela. Fred Hart miał lexusa, identycznego jak Joel. Usiadłam raptownie. Zapatrzyłam się w przestrzeń, myśląc intensywnie.

Na szczęście zapamiętałam dobrze drogę do domu Freda, bo taksówkarz nie odróżniał Germantown od Grenady. Wsiadłam przecznicę od domu i zapłaciłam mu małą fortunę. Odjechał niemal z piskiem opon, nie mogąc się chyba doczekać powrotu na znane terytorium. Miałam na sobie ciemne ubranie, a ponieważ było zimno, zarzuciłam na głowę kaptur bluzy i włożyłam rękawiczki. Tu, w miejscu oddalonym od głównych ulic, noc była cicha i spokojna. W taką pogodę ludzie mieszkający niemal poza miastem siedzieli w swoich ciepłych domach. W wielkich kominkach buzował ogień, na kuchniach parowały smaczne potrawy, a gorąca woda wypełniała dziesiątki wanien lub płynęła z setek pryszniców. Mieszkańcom tej dzielnicy nie brakowało niczego w ich luksusowych posiadłościach.

A jednak Fred stracił żonę, córkę i wnuczkę. Nic nie powstrzyma wkradającej się w życie tragedii. Anioł śmierci nie omija nikogo; nieważne, w jak wielkim domu się mieszka.

Wślizgnęłam się do garażu. Poza samochodem Freda i naszym, stał tam też trzeci, który musiał należeć do Felicji. Przeszłam po jasnym betonie do drewnianych drzwi w ceglany murze. Ostrożnie nacisnęłam klamkę. Były zamknięte. Niech to szlag.

Obejrzałam dokładnie mur. Gdzieś tam znajdowały się w nim luki, będące częścią ażurowego układu cegieł. Wzięłam głęboki oddech, oparłam prawą stopę w otworze i podciągnęłam się. Nie wyszło za pierwszym razem. Słabsza noga nie mogła utrzymać mojego ciężaru. Zmieniłam pozycję i zaciskając zęby, dźwignęłam się znowu. Tym razem udało mi się chwycić rękami krawędź muru i cudem wdrapać na górę. Drzwi znajdowały się pod takim kątem, że mogły być widoczne tylko z salonu i to pod warunkiem, że ktoś stanąłby tuż przy oknie, wyglądając na zewnątrz. Noc była ciemna, a na tę część ogrodzenia nie padało światło ze środka domu. Zamarłam na moment, starając się uspokoić walące serce. Parę razy odetchnęłam głęboko. Położyłam się płasko na wąskim szczytzie muru i zaryzykowałam zerknięcie w dół. Ciężko było rozróżnić, co rosło przy ogrodzeniu, ale coś na pewno. Doszłam do wniosku, że prawdopodobnie wpadnę w jakieś krzaki róż.

Trudno, widać taki ich los.

Okazało się, że lądowanie było bardziej bolesne niż się spodziewałam po różach. Gruba łodyga wbiła mi się w udo. Byłam przekonana, że rozdarła mi spodnie i skaleczyła. A nie mogłam nawet pisnąć. Zaciskałam zęby, wyplątując się z krzewów. Przystanąłam na moment na miękkiej ziemi, żeby trochę się pozbierać, po czym, przekraczając ceglane obramowanie, weszłam na trawnik. Gleba była wilgotna po wczorajszym deszczu, nie wątpiłam więc, że jestem cała ubłoconą. Skulona, zbliżyłam się do wielkiego okna. W środku paliło się światło.

Felicja stała, dzięki Bogu, tyłem do mnie, zwrócona twarzą do Tollivera, który miał podniesione ręce. Fatalnie.

To oznaczało, że Felicja trzymała go na muszce.

Mało tego, Felicja była cała zakrwawiona. Jej białe spodnie pokrywały ciemne plamy. Ciężko ocenić, w jakim stanie znajdował się ciemnozielony sweter. W tafli szkła były przesuwane drzwi. Skoro Fred pracował dzisiaj w ogrodzie, może nie były nawet zamknięte. Chyba że zamknął je machinalnie, wybierając się do nas z czekiem. Nie sprawdzałam tego podczas poprzedniej wizyty w tym domu. Były zamknięte. Jakżeby inaczej.

– Dlaczego mnie nie kocha?! – krzyknęła Felicja tak głośno, że bez trudu usłyszałam ją przez szklaną ścianę. – Dlaczego, do diabła, mnie nie kocha?! Nie miała na myśli ojca. Mówiła o Joelu. Od samego początku chodziło jej o Joela.

– Wina spadnie na ciebie – ciągnęła. – A ja dostanę kolejną szansę. – Uniosła rękę z bronią.

Nawet gdybym mogła dostać się do pokoju, na drodze do niej stanęłoby mi krzesło oraz stolik. Felicji i Tollivera nie przegradzało nic. Wiedziałam, co muszę zrobić. Wzięłam jedną z cegieł z klombu i wsadziłam ją sobie pod pachę, jednocześnie wystukując numer policji.

– Nazywam się Harper Connelly – wyszeptałam, gdy zgłosił się dyżurny. – Jestem w domu Freda Harta, Springsong Valley 2022. Felicja Hart chce mnie zastrzelić. – Odłożyłam telefon na ziemię bardzo ostrożnie, zebrałam się w sobie i wstałam. Tolliver patrzył na mnie ponad ramieniem Felicji z przerażeniem w oczach. Pokręcił lekko głową, dając do zrozumienia, żebym uciekała.

– Felicja! – wrzasnęłam i z całej siły uderzyłam cegłą w okno. Od miejsca, w które trafiłam, rozeszła się sieć drobnych pęknięć.

Huk zaskoczył ją tylko na sekundę. Okręciła się i bez wahania wystrzeliła w moją stronę.

Ujrzałam, jak Tolliver rzuca się na nią, a szyba pęka mi przed nosem. Słyszałam świst kuli, która o włos minęła mi ucho. Dosłownie. Tafla zadrżała – pomyślałam, że spadnie, siekając mnie na miazgę. Czułam, jak kawałki szkła ranią mi policzki, a krew spływa po szyi. Odskokczyłam do tyłu, padając na posadzkę patio. Nim zakryłam twarz, widziałam jeszcze, jak Tolliver wyrywa Felicji broń i uderza ją lufą w głowę.

Tylko raz.

Siedziałam pod stolikiem, blat i podłogę wokół mnie zaścielały odłamki szkła. Cała się trzęsłam.

Tolliver otworzył drzwi od wewnątrz, wybiegł na patio, krzycząc, czy jestem cała. Zawlókł mnie do domu, do kuchni, gdzie chwycił ścierkę i zaczął przecierać mi twarz. W skórze tkwiły kawałeczki szkła i to bolało, więc starałam mu się o tym powiedzieć. Potem usłyszeliśmy syreny policyjne, a on objął mnie i przytulił. I było po wszystkim.

Lekarka z pogotowia manipulowała przy moim policzku. Wyciągała drobiny szkła, co było bardzo bolesne. Oczywiście, nie tak jak postrzał. Powtórzyła mi to kilkakrotnie, a ja za każdym razem przyznawałam jej rację, choć z coraz mniejszym entuzjazmem.

Policja z Germantown zgodziła się uprzejmie, by funkcjonariusze Young i Lacey przybyli na miejsce zbrodni. Wszyscy słuchali zeznań Tollivera. Zdążył już opowiedzieć o wizycie Freda w hotelu oraz o tym, że nasz gość był pijany.

Potem zaczął mówić o telefonie od Felicji.

– Nalegała, żebym przyjechał, mówiła, że chce się dokładnie dowiedzieć, jak wyglądała wizyta jej ojca u nas i w jakim był stanie. Pomyślałem, że chce się ze mną spotkać, bo... umówiliśmy się kilka razy. Od tamtej pory wydzwaniała do mnie dość często. Myślę, że chciała wiedzieć, gdzie jesteśmy w razie, gdyby nas potrzebowała. I faktycznie wykorzystała tę wiedzę.

– Po co was potrzebowała? – spytała Young. Najwidoczniej była w domu, gdy poinformowano ją o sprawie, bo jej włosy znajdowały się w nieładzie i miała na sobie dres oraz sportowe buty.

– Chciała, żebyśmy odnaleźli Tabitę. – Tolliver wziął mnie za rękę, starając się uśmiechnąć.

– Czyli przyznała się do wszystkiego – wtrącił Lacey.

– Tak. Opowiedziała o wszystkim. Wiedziała, że Tabita z nią pojedzie. Wzięła samochód ojca, żeby nikt nie skojarzył jej auta. Przewidziała, że ktoś może zobaczyć lexusa i powiedzieć o tym, co wskazywałoby na Joela. Ale zadzwoniła do niego do pracy upewniając się, że będzie miał mocne alibi. Myślała, że jeśli Diana zacznie podejrzewać męża, rozwiedzie się z nim albo że Joel będzie obwiniał Dianę i zostawi ją. Liczyła, że nawet jeśli nie dojdzie do gwałtownej katastrofy, stres związany z tą sytuacją w końcu rozbije ich małżeństwo. Poza tym żywiła niechęć do Tabity. Uważała, że z jej powodu Wiktor jest gorzej traktowany. A zabicie Diany mogło w niczym nie pomóc. Podobnie jak śmierć siostry Felicji, pierwszej żony Joela.

– Uważa pan, że miała coś wspólnego ze śmiercią Whitney?

– Nie wiem, jak mogłaby wywołać chorobę siostry. Ale uważała, że jej odejście da jej szansę. Bardzo się starała, gdy Whitney leżała w szpitalu i później po jej śmierci. Często jeździła do Nashville, zajmowała się Wiktorem jak matka, zaproponowała nawet, że się do nich wprowadzi na

jakiś czas.

– A on nie połknął przynęty – podsumowała Young.

– Właśnie – zgodził się Tolliver. – A więc Felicja musiała wymyślić coś innego. Długo to planowała. Przywiozła Tabitę do domu ojca i tu ją udusiła, na kanapie.

W tejże chwili rozpoznałam te poduszki. Błękitne poduszki. Od razu wpadły mi w oko, gdy byłam tu po południu. Nie posłuchałam wewnętrznego głosu, który coś mi wtedy podpowiadał.

– Felicja owinęła Tabitę w plastikową płachtę i pochowała w ogrodzie. Fred robił wtedy nowe klomby, pogrzebała ją głęboko pod jednym z nich.

– Czemu postanowiła ją przenieść?

– Jej plan nie zadziałał. Diana zaszła w ciążę, co było dla Felicji ciosem prosto w serce. Zdecydowała, że czas znowu działać. Miała asa w rękawie, moją siostrę. Możliwe, że to odnalezienie ksiąg parafialnych nasunęło jej ten pomysł. Znała Clyde'a Nunleya i wiedziała, że jeśli odpowiednio nad nim popracuje, dużo dla niej zrobi. Uknęła wszystko tak, żeby Nunley zaprosił Harper do Memphis. Korzystając z chwilowej nieobecności ojca, wykopała zwłoki. To stało się około trzech miesięcy temu, nie mówiła dokładnie. Ale Fred wrócił nagle i przyłapał ją na wykopywaniu ciała. Nie wiedział, co robić. Była jego jedyną córką. Pomógł jej więc. Razem przewieźli i zakopali Tabitę na cmentarzu Świętej Małgorzaty.

Zadrzałam, a Tolliver mocniej ścisnął mi dłoń. Lekarka skończyła wyciągać okruchy szkła z moich ran i opatrzyła największe skaleczenie. Resztę tylko odkaziła. Zapisała kilka zaleceń i potrząsnęła głową, wręczając mi kartkę.

– Miała pani niesamowite szczęście – powtórzyła po raz setny. – Wyszła pani z tego z mniejszymi obrażeniami niż kobieta, która do pani strzelała. Felicja została zawieziona do szpitala na prześwietlenie głowy. Zwłoki Freda Harta były w drodze do kostnicy. Felicja zabiła go na wszystkie sposoby, na jakie córka może zabić ojca. Tyle czasu żył, wiedząc, co zrobiło jego dziecko. Dziwiłam się, że wytrzymał tak długo. Trzy miesiące, dzień po dniu, żył w tym wielkim domu ze świadomością, do czego była zdolna. Na myśl o tym przeszedł mnie dreszcz.

– Co jeszcze panu powiedziała? – spytał Lacey. Podobnie jak partnerka był osobliwie ubrany. Miał na sobie dzinsy oraz kowbojską koszulę – jakby tego było mało, z perłowymi zatrzaskami zamiast guzików. Stroju dopełniały kowbojki. Zastanawiałam się, jak udało mu się je samodzielnie włożyć przy tak wielkim brzuchu.

– Przyznała, że chciała zwalić na mnie winę za śmierć ojca. Zachowała szpadel, którego używali

do pogrzebania Tabity. Dzisiaj przyniosła go do ogrodu. Nadał była na nim ziemia z cmentarza. Kiedy powiadomiliśmy ją, że ojciec leży pijany w domu, przyjechała tu i uderzyła go szpadlem w głowę. Przestraszyła się, że chce ją zdradzić. Planowała obwinić go o śmieć Tabity, a mnie obciążyć jego zabójstwem.

– Czemu miałby pan zabić Freda Harta?

– Na pewno coś by wymyśliła – odparł Tolliver znużony. – W końcu, jeśli ktoś taki jak ja zabija kogoś takiego jak Fred Hart, nie szuka się dogłębnie przyczyn. Pozbyłaby się zakrwawionego ubrania. Może gdyby udało jej się wymyślić jakiś sposób na poplamienie krwią mojego – tak, żeby to wyglądało naturalnie, mnie też by zabiła. Potem mogłaby powiedzieć, że zastała mnie tu z trupem ojca. Któż by jej nie uwierzył? Policjantom nic podobało się to, co mówił, ale ja wiedziałam, że ma rację.

– Felicja nie przewidziała tylko jednego. Że zjawi się tu Harper. – Tolliver pocałował mnie w policzek. – Nigdy w życiu się tak nie ucieszyłem, jak na widok ciebie za tą szybą.

– Ruszyła pani na nią tak sobie? Bez żadnej broni? – zaciekawiał się jeden z policjantów.

– Nie lubię broni – odpowiedziałam. – Nigdy jej nie mieliśmy. Pokręcił głową, jakbym była niespełna rozumu. I może miał rację. Ale gdybym miała broń, zastrzeliłabym Felicję. Strzelałabym do niej, dopóki nie opróżniłabym magazynka. A tak, żyła i odpowie za wszystko, co zrobiła. Myśl o tym sprawiła mi wielką satysfakcję.

Wyglądasz, jakby w ciemnym zaułku napadł cię kot – oświadczył Wiktor.

Popatrzyłam na niego z wyrzutem. – Dobra, dobra, to nie było zabawne – wycofał się. – Trochę się denerwuję.

Już chciałam się przyznać, że ja także, ale powstrzymałam się. Coś takiego by go nie uspokoiło, a chłopak nie potrzebował dodatkowych stresów.

Doszłam do wniosku, że przyda mu się coś, co oderwie jego myśli od sytuacji rodzinnej, a jednocześnie poszerzy horyzonty. Dlatego zaproponowałam, aby poszedł z nami na cmentarz, gdzie zamierzaliśmy pomóc duszy Josiaha Poundstone'a. W tym momencie żałowałam tej decyzji. Wiktor był aż za bardzo podekscytowany, choć zdawał się cieszyć, że zaprosiłam go tutaj.

Uścisnął mnie mocno na powitanie, czym wprowadził mnie w osłupienie.

Manfred na ten widok uniósł brwi.

Nie wiedziałam nic o zapewnianiu duchom spokoju, więc zadzwoniłam po Xyldę, którą oczywiście przywiózł wnuk. Manfred, wystrojony w skórę i srebro, przywitał się ze mną, całując w policzek, a Wiktorowi uścisnął dłoń. Trzymał rękę chłopca nieco dłużej niż to konieczne, więc pomyślałam, że pewnie stara się coś z niego wyczytać. Nie przystawiał się do niego, Manfred wołał kobiety. Przynajmniej tak sądziłam.

Xyllda potoczyła wzrokiem po cmentarzu.

– Powiedz mi coś o nim – zażądała. Wyjaśniłam, co czułam i widziałam przy tamtym spotkaniu. Xyllda wydawała się poruszona i skoncentrowana.

– A więc jest tutaj jego ciało i dusza. Zmarł na posocznicę, tak? Po zranieniu nożem, w bójce?

– Tak. Praktycznie rzecz biorąc, został zamordowany. Nie wiem, kto to zrobił, ale podejrzewam najukochańszego brata – powiedziałam. – Mam wrażenie, że ten nagrobek wskazuje na wyrzuty sumienia. Oczywiście, mogę się mylić, może faktycznie brat bardzo go kochał. Ale to nieistotne. Ważne, że duch Josiaha jest niespokojny, bo nie wie, dlaczego zginął i czemu tyle się dzieje wokół jego mogiły.

– Chcesz, żeby jego dusza mogła przejść na drugą stronę? Nie chciałam nawet rozważać, jakie inne

rozwiązania Xyllda mogłaby mi zaproponować.

– Tak, właśnie po to tu jesteśmy.

– To dobrze – stwierdziła Xyllda enigmatycznie. – Wyczuwasz go teraz? Noc była chłodna, ale tym razem przynajmniej nie padało. Cmentarz wydawał się tak samo straszny, jak podczas naszych ostatnich nocnych odwiedzin. Przytłumione odgłosy miasta, nierówna ziemia – ale sam grób został już zasypany. Sprawdziliśmy to w dzień, kiedy przyświecało stare, dobre słońeczko.

Kolejny raz weszłam na tę nadmiernie wykorzystywana mogiłę i sięgnęłam w dół. Poczułam obecność Josiaha Poundstone’a nie tylko pode mną, ale także wokół.

– Tak – rzekłam. – Jest tutaj.

Wiktor zatrząsł się i zerknął przez ramię, jakby spodziewał się ujrzeć mglistą postać zbliżającą się do grobu.

Zerknęłam na zegarek. Musieliśmy się spieszyć. Nie powinno nas tu w ogóle być.

Rozważałam, czy nie zadzwonić na uczelnię, by zarząd wyraził zgodę, ale doszłam do wniosku, że nigdy nam jej nie udzielią. Chciałam zakończyć to wszystko i opuścić teren Bingham zanim pojawią się tu strażnicy.

Postępując według wskazówek Xylldy, otoczyliśmy mogiłę, w której jakiś czas leżała Tabita. Chwytając się za ręce, utworzyliśmy wokół ciasny krąg. Manfred, pomimo niewielkich dłoni, miał mocny uścisk. Wiktor trzymał mnie za drugą rękę dużo słabiej.

Xyllda zaczęła mówić coś w języku, którego nie rozumiałam. Nie dałabym głowy, czy ona sama go rozumiała. Ale cokolwiek mówiła, działało. Pośrodku kręgu zaczął tworzyć się kłęb mgły, a w niej pojawiła się twarz, której nigdy nie widziałam ożywionej, w ruchu.

– Jezus Maria – wyszeptał Manfred.

– O Boże... – jęknął równocześnie Wiktor. Nie bałam się.

– Dziękuję – zwróciłam się do ducha. – Dziękuję, Josiahu. – W końcu ocalił mnie przed wpadnięciem do grobu. – Nikt już nie zakłóci ci spokoju. Wszyscy, których znałeś, już odeszli. Ty też powinieneś iść. Miałam wrażenie, że się uśmiechnął.

– Nie szukaj sprawiedliwości, szukaj spokoju – odezwała się Xyllda, a twarz zjawy zafalowała i zwróciła na nią oczy, w których malowała się niepewność. Potem ujrzałam, jak mgliste powieki

opadają i pozostają zamknięte. Wiktor wydał zduszony jęk; wiedziałam, że płacze, widząc odchodzącego Josiaha. Twarz straciła wyrazistość, jej rysy powoli się rozmyły. Po chwili zniknęła i mgła. Powietrze było przejrzyste jak wcześniej. A na cmentarzu nie pozostał nikt prócz nas.

Nigdy nie będę w stanie tego nikomu wyjaśnić.

Dotychczas nawet nie wierzyłam w takie rzeczy. Owszem, wyczuwałam czasem obecność dusz. Ale nigdy nie spotkałam takiej, która pozostawała na tym świecie dziesiątki lat, była tak silna, by fizycznie zmanifestować swoją obecność. Josiah Poundstone musiał być wyjątkowym człowiekiem, może posiadał podobny urok, jak Joel Morgenstern? Spotkanie z duchem odmieniło mnie. Być może odmieniło wszystkich, którzy dzisiaj tu byli. Zastanawiałam się, co Fred Hart powiedziałaby mi, gdybym go zapytała:

– Co widzisz nocą w swoim ogrodzie?

Lacey wspomniał o czymś interesującym. Clyde Nunley naprawdę chciał być pogrzebany na cmentarzu św. Małgorzaty. Argumentował to tym, że kocha tę uczelnię i na zawsze chce tu zostać. Uważałam, że to zadziwiające, a jeszcze bardziej zdumiała mnie zgoda uczelni. Lacey nie podał mi żadnych szczegółów dotyczących ceremonii pochówku Nunleya, a ja nie pytałam. Felicja tak mało zwracała uwagi na wykładowcę, że jego zabicie potraktowała incydentalnie. Funkcjonariusz Lacey, który zaczął się odnosić do mnie z pewnym szacunkiem, powiedział, że Felicja przyznała się do tego morderstwa przy okazji, zupełnie obojętnie. Był dla niej postacią marginalną, ledwie przypisem w jej wielkim planie.

– Zaczął się zachowywać, jakby miał do mnie jakieś prawo – wyjaśniła. Podejrzewałam, że usiłował ją szantażować. W pogoni za awansem towarzyskim mógł pomyśleć o rozwodzie z Anną i poślubieniu Felicji. Może zasugerował, że wyjawii policji, kto poddał mu pomysł ściągnięcia mnie na „demonstrację”. Gdyby naprawdę ją znał, wiedziałby, że tym samym wydaje na siebie wyrok śmierci.

Felicja sypiała z mężczyznami tylko wtedy, gdy służyło to jej celom. Tollivera uwiodła po to, by potem trzymać rękę na pulsie i wiedzieć, gdzie jesteśmy, żeby Clyde mógł się z nami skontaktować. To, że Anna się mną zainteresowała i wspomniała Clyde’owi przy okazji odnalezienia rejestrów cmentarza było tylko dodatkową, sprzyjającą jej okolicznością. Felicja zeszła się z Nunleyem, aby mieć informacje o przebiegu kursu i zyskać pewność, że zjawię się w Memphis. Nie uważała, że seks z Tolliverem czy Clyde’em ma jakikolwiek związek z jej miłością do Joela, która była taka czysta, taka wzniosła. Media rozdmuchiwały tę sprawę do czasu, aż Diana urodziła syna. Joel zadzwonił, by nas o tym poinformować, a my wysłaliśmy im drobiazg dla dziecka, choć nie byłam pewna, czy Diana ucieszy się z podarunku od nas. Czuliśmy się zobowiązani. Ich małżeństwo przetrwało, pomimo że Diana dowiedziała się, iż jej córka zginęła w imię miłości, jaką inna kobieta żywiła do jej męża. Diana to kobieta o wielkim sercu, wiedziała, że nie było w tym winy Joela.

W trakcie procesu Joel stanowczo zaprzeczył, że w jakikolwiek sposób zachęcał czy dawał Felicji nadzieję, mimo że tego właśnie próbował dowieść jej adwokat. Musieliśmy wziąć udział w części procesu, co oczywiście było dla nas bardzo nieprzyjemnym przeżyciem. Rzecz jasna, na kobiety z ławy przysięgłych działał urok Joela, więc podejrzewałam, że Felicja zostanie skazana za wszystkie zarzuty. Policja dostarczyła ekspertyzy, które potwierdzały historię, jaką Felicja przedstawiła Tolliverowi. Rick Goldman zrobił dobry interes na swym małym udziale w tej sprawie. Był typem człowieka, który potrafił wyeksponować odpowiednio swoje zaangażowanie, więc jego reputacja jako prywatnego detektywa znacznie zwyżkowała. Przysłał nam list z ulotką, wizytówką oraz adresem internetowym swojej agencji.

Agent Seth Koenig zrezygnował z pracy w FBI, przerzucając się na sektor prywatny. Specjalizuje się w odnajdywaniu zaginionych dzieci. Także przysłał nam ulotkę oraz wizytówkę. Strony internetowej jeszcze się nie dorobił. Tolliver unika rozmów o Felicji. Mam nadzieję, że jej nie kochał; nie sądzę, by tak było. Jeśli kiedyś będzie mi coś chciał na ten temat powiedzieć, zrobi to. Udało nam się pojechać na mecz Marielli. Jej drużyna wygrała. Zdobyła dwa wrzuty i triumf uskrzydlił ją niewiarygodnie. Była tak szczęśliwa, że spędziła z nami cały wieczór. Gracie zaśpiewała dla nas, a nam udało się ani razu nie skrzywić. Iona i Hank zachowywali się w stosunku do nas niemal uprzejmie, czyli lepiej niż dotychczas.

Manfred dzwoni do mnie od czasu do czasu. Rozmowy te są krótkie, utrzymane w żartobliwym tonie. Opowiada o swojej babce oraz kolejnych tatuażach i kolczykach, które dodaje do swojej kolekcji.

– To tylko pretekst, by z tobą porozmawiać – stwierdził Tolliver pewnego wieczoru w Tucson.

– Szczęnięca fascynacja – zbyłam go.

– Wiesz, że to coś więcej. Jest mężczyzną i zależy mu na tobie. Może to niezbyt głębokie uczucie, ale podziwia cię.

– Wiem – przyznałam skruszona. – Ale nie plasuje się wysoko na mojej liście.

– Nadejdzie taki dzień – zaczął Tolliver, a ja poczułam ucisk w żołądku. – Któregoś dnia spotkasz kogoś i już nie będziesz chciała, bym to ja ci towarzyszył.

– Ty też kogoś spotkasz – powiedziałam. – I ten ktoś będzie miał wielkie szczęście. Roześmiał się. Po tej wymianie zdań długo jechaliśmy w milczeniu.